

**Wiesław Paślawski**  
**Al. Niepodległości 73/76**  
**02-626 Warszawa**  
**Tel. 0696 549 488**  
[wieslaw@540.it.pl](mailto:wieslaw@540.it.pl)

## **Szynkadela - produkt polski**

Gęsi, gęsi. Niby te Wodziejowice wcale nie takie małe miasto, a tu w samym centrum, po ulicy gęsi łażą i gęgają.

- A sio! – machnął ręką jadący na rowerze mężczyzna i dodatkowo popędził je dzwonkiem.

Liczące kilka sztuk stadko ptaków, z głośnym sykiem zeszło z jezdni i czmychnęło w boczną uliczkę.

Pan Mieczysław właśnie wracał z sąsiadującej z Wodziejowicami wioski, gdzie u jednego z gospodarzy stawiał piec kaflowy. Zgodnie z umową gospodarz nie częstował go obiadami – miało to na celu obniżenie kosztów robocizny. Dlatego Pan Mieczysław zwykł po pracy, zaglądać do sklepu z mięsem i wędlinami, w którym kupował pęto kaszanki by załagodzić głód po drodze do odległego o osiem kilometrów domu, gdzie czekał niego gorący posiłek. Kupowane w sklepie firmowym masarni „BykRol” kaszanka zawsze smakowała że palce lizać. Nic też dziwnego – wypracowane przez lata funkcjonowania zakładu receptury i częste świeże dostawy, powodowały, że produkty tej masarni nie miały sobie równych na rynku (a już najlepiej smakowały właśnie te kupowane bezpośrednio w sklepie firmowym na ulicy Mięsnej).

Blisko sześćdziesięcioletni zdun zjechał z ulicy na chodnik, oparł rower o ścianę parterowego budynku i machinalnie sprawdziwszy, czy włożony do kieszeni w marynarce portfel znajduje się na swoim miejscu, wszedł pośpiesznie do sklepu. Poczul przyjemny chód, zapach wędlin i powiewy wiatru od kręcącego się pod sufitem wiatraka. Wprawdzie w kolejce stało kilka osób, lecz znany w tym sklepie jako stały klient, mrugnął powieką do układającej towary na półce ekspedientki i powiedział żartobliwym tonem:

- Pani Jadziu, pani poda to co zwykle!

Ekspedientka uśmiechnęła się w odpowiedzi i podczas gdy jej koleżanka obsługiwała stojących w kolejce klientów, sama zważyła pętko kaszanki, zwinęła je w papier i położyła na ladzie.

- To z najświeższej dostawy – poinformowała śmiejąc się krotocwilnie. – Że też ta kaszanka nigdy się panu nie znudzi...
- A to dlatego że taką dobrą robicie! – odparł mężczyzna. - Żeby nie dieta, co mi ją lekarz po operacji na wyrostek zalecił, kupowałbym jeszcze więcej.
- Te lekarze niby takie mądre a sami też papierosy palą, wódkę piją, innym tylko przez te zakazy życie uprzykrzają! – zezłościła się kobieta. – Mojemu Jaškowi kazali rzucić palenie, a on nie rzucił! Żyje do tej pory a lekarz w zeszłym tygodniu przeniósł się na tamten świat. Na raka płuc umarł – dodała.
- O widzi pani... - mruknął Pan Mieczysław wrzucając pętko kaszanki do torby. – Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – podsumował.

Zdun położywszy wyliczone pieniądze na ladzie pożegnał się z ekspedientką i wyszedł ze sklepu. Podszedł do roweru, zawiesił na kierownicy skórzaną torbę, nastawił pedał tak, aby mógł sprawnie ruszyć i usadowił się na siodelku. Odbił się nogą od ściany, zjechał z chodnika i podążył drogą przez miasto. Nie ujechał nawet stu metrów, kiedy czując głód sięgnął do torby i wyjął z niej dopiero co zakupione pętko kaszanki. Była jeszcze ciepła. Pewnie przed chwilą przywieziono ją z masarni. Ugryzł kawałek i to co poczuł wprowadziło go w zakłopotanie. Kwaśna jakaś! Cierpka! Nigdy taka nie była! Początkowo myślał, że ulega złudzeniu. Kiedy jednak kwaskowaty smak stał się tak nieznośny, że musiał wypluć wszystko co miał w ustach na ziemię – nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, że z tą kaszanką coś jest nie tak. Nie był z tych co dają sobie robić w balona! Natychmiast zawrócił i pojechał do sklepu.

Nie minęła nawet minuta kiedy z powrotem stał przy ladzie.

- Pani Jadziu! Co mi pani sprzedała! – wołał z oburzeniem. – Przecież tego nie da się wziąć do ust! To jest co najmniej nieświeże!
- Jak to? – zdziwiła się sprzedawczyni. – Dopiero co przywiezione z masarni! Coś pan zmyśla!

- Tam się musiała dostać trutka na szczury! – snuł przypuszczenia Pan Mieczysław – Albo jakieś inne cholerstwo. Niech pani sama spróbuje!

Kobieta z wyrazem sceptycyzmu na twarzy odcięła nożem kawałek kaszanki i wzięła go do ust. Po chwili jej policzki wydeły się, a oczy zrobiły okrągłe jak pięciozłotówki. Przysłaniając usta ręką, pobiegła na zaplecze sklepu. Wróciła po minucie z wyrazem niesmaku na ustach.

- Panie Mieczysławie, ma pan racje! – oznajmiła ze wzburzeniem w głosie. – Okropnie kwaśna! Czuć ją, taką trutką na muchy. Jak to się nazywało... mucho...mucho – usiłowała sobie przypomnieć.
- Muchozolem! – podpowiedział zdun.
- Właśnie! Muchozolem! – przytaknęła sprzedawczyni.
- Co robimy? – zapytał mężczyzna. – Ja chcę tą dobrą kaszanke, albo zwrot pieniędzy!

Ekspedientka podeszła do rogu pomieszczenia, w którym zawieszono na wbitym do ściany gwoźdźniku książkę skarg i zażaleń. Położyła ten mocno zakurzony i dawno już nie używany dokument na ladzie, a następnie przewróciwszy kilka kartek wskazała miejsce na wykonanie nowego wpisu.

- Musimy złożyć reklamacje – orzekła patrząc na Pana Mieczysława.
  - To stanowi podstawę do zwrotu pieniędzy.
- Co mam wpisać? – zapytał mężczyzna niezgrabnie obracając długopis w ręce.
- Co pan uważa.

Pan Mieczysław nachylił się i tuż pod wpisem z osiemdziesiątego czwartego roku, w którym ktoś żalił się na niedosolone śledzie zamieścił krótką uwagę: „Kaszankę czuć Muchozolem”. Ekspedientka wzięła książeczkę i z powrotem powiesiła ją na gwoźdźniku.

- Już dzwonię do BykRolu – powiedziała odchodząc na zaplecze. – Swoją drogą to bardzo dziwne, że taka dobra masarnia wypuściła taki bubel! Coś musiało się stać na linii produkcyjnej! – w progu odwróciła się i zawołała do Pana Mieczysława: - Przepraszamy za cały kłopot!
- Nic się nie stało. Do widzenia! – odpowiedział wychodząc ze sklepu.

## Genewa

Słynny Zegar Kwiatowy mieszczący się w położonym nad brzegiem Jeziora Genewskiego parku Jardin Anglais wskazywał godzinę 15:30 kiedy Zenon Orłowski – prezes BykRolu i Austriak Hans Roithner - właściciel kilku zakładów mięsnych w Wiedniu uścisnęli sobie ręce, przypadkowo spotkawszy się na korytarzu w gmachu, w którym od kilku dni trwało spotkanie przedstawicieli Lubelskiego Stowarzyszenia Przetwórstwa Mięsnego z delegatami Zrzeszenia Masarzy Regionu Wiedeńskiego. Zgromadzeni w tym miejscu fachowcy od technologii, produkcji i marketingu obydwu organizacji mieli za zadanie ustalić zasady współpracy w zakresie prowadzenia wspólnej polityki rynkowej po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Do tego przełomowego momentu pozostał zaledwie rok, a ogrom prac wyznaczonych do osiągnięcia założonych celów, zdawał się przypominać czyszczenie mitycznej stajni Augiasza. Każdy rozwiązany problem, wydobywał na światło dzienne kolejne dwa, z którymi trzeba było się uporać.

Przestarzały park maszynowy polskich masarni wymagał gruntowniej restrukturyzacji. Bez poprawy stanu technicznego maszyn oraz wykorzystania nowoczesnych technologii, polskie produkty nie były w stanie sprostać ostrym normom stosowanym w krajach Unii Europejskiej. Poprawa zaplecza technicznego niosła za sobą ogromne koszty, których masarze z Lubelskiego nie byli w stanie ponieść nawet w dziesiątej części. Dlatego też duże nadzieje wiązano z osobą Hansa Roithnera, który poważnie podchodził do inwestycji w zakłady mięsne na terenie Lubelskiego.

Oznaczało to że Austriak uzyska znaczny wpływ na dalszy los tychże zakładów. To było do przewidzenia, że nowy inwestor zacznie zaprowadzać swoje porządki, co niekoniecznie oznaczało pozytywne zmiany dla zatrudnionych pracowników. Doświadczenie uczy, że w takich okolicznościach często dochodziło do grupowych zwolnień, mających na celu obniżenie kosztów produkcji. Pomimo tych obaw w obliczu ujednoczenia rynku z Unią, propozycja Roithnera była jedynym sensownym rozwiązaniem, mogącym uchronić masarnie Stowarzyszenia przed bankructwem, spowodowanym zalaniem lokalnych rynków lepszymi jakościowo i tańszymi produktami z zachodu Europy. Dlatego ośmiu prezesów zakładów mięsnych z

Lubelskiego, wykorzystywało każdą sposobność, aby zyskać przychylność bogatego Austriaka w celu otrzymania możliwie największych środków na rozbudowę kierowanych przez siebie placówek.

Kiedy tak wszyscy nadszkakiwali Roithnerowi, Zenon Orłowski zdawał się całkowicie go ignorować. W ogóle sprawiał wrażenie, że jego obecność na spotkaniu w Genewie spowodowana jest taktem i grzecznością jaką chciał zachować dla swych obecnych współpracowników w Polsce i przyszłych w Austrii. Gdyby jednak faktycznie taki przyświecał mu cel, to poniósł on całkowitą porażkę gdyż notorycznie spóźniał się na posiedzenia, momentami okazywał jawne oznaki znudzenia i braku zainteresowania tematem ( ziewał i bez skrępowania rozmawiał przez telefon komórkowy). Ta arogancka postawa prawdopodobnie wynikała z faktu, że BykRol nie potrzebował żadnego inwestora, a wręcz nawet go nie chciał. Firma została gruntownie zrestrukturyzowana jeszcze kilka lat temu. W owym okresie gdy na parkingach zarządów konkurencyjnych zakładów pojawiały się luksusowe samochody, do BykRolu przyjeżdżały ciężarówki z maszynami stanowiącymi elementy nowej linii produkcyjnej. Gdy członkowie zarządu konkurencji wyjeżdżali po kilka razy w roku na wczasy do położonych w egzotycznych miejscach kurortów, pracownicy masarni w Wodziejowicach udawali się na szkolenia do Holandii. Dziś efekt tak różnego potraktowania dostępnych kilka lat temu środków finansowych był taki, że BykRol funkcjonował znakomicie, podczas gdy inne zakłady ledwo przędły.

Orłowski do tego stopnia był przekonany co do jakości swoich produktów, że zaproponował Roithnerowi test polegający na rozprowadzeniu po sieci sklepów z wędlinami we Wiedniu partii wędlin wyprodukowanych w BykRolu. Austriak zgodził się na przeprowadzenia tego ciekawego eksperymentu. Dwie tony wyprodukowanych w Wodziejowicach parówek, po uprzednim przebadaniu przez odpowiednie służby, trafiło do kilkunastu sklepów w stolicy Austrii. Już pierwsze dni miały rozstrzygnąć czy wyroby z Wodziejowic utrafiły w gusta Wiedeńczyków, czy mieszkańcy tego miasta w ogóle się nimi nie zainteresowali. Jak się prędko okazało rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. O parówkach z Wodziejowic napisano nawet w stołecznej prasie!

Hans Roithner był dobrze trzymającym się pięćdziesięcioletkiem. Wyglądałby o co najmniej pięć lat młodziej gdyby nie rozległa łysina na czubku głowy. Mając sporą tuszę często męczył się i pocił, dlatego zawsze w prawej ręce trzymał różową chusteczkę, którą co chwile ocierał twarz i ową łysinę na głowie (już nawet ta czynność powodowała, że dostawał zadyszki). Wszędzie poruszał się z swoim nieodłącznym pupilkiem – małym białym prosiaczkiem. Hans prowadził go na smyczy tak jak małego pieska. Prosiak co jakiś czas był wymieniany na młodszy i mniejszy okaz. To posunięcie podyktowane było względami Public Relations, ponieważ Austriak doszedł do wniosku, że mając u boku wyrosniętą świnię wyglądałby nie jak biznesmen, lecz jak pastuch. Był on człowiekiem z natury łagodnym i spokojnym, jak przystało na właściciela od lat dobrze prosperującej firmy.

W chwili gdy spotkał się z Orłowskim towarzyszyła mu młoda asystentka. Dziewczyna trzymała w ręku wiklinowy koszyczek, nakryty białą serwetką. Musiało wydarzyć się coś niedobrego, ponieważ naturalny spokój ducha Austriaka został gwałtownie zaburzony. Dało się to poznać po nerwowym kroku i szybkiej gestykulacji w trakcie rozmowy z asystentką.

Prezes BykRolu traktował Roithnera jako konkurenta. Nie tylko nie chciał oddać władzy nad BykRolem, lecz ufając jakości swych produktów zamierzał wyłamać się z Lubelskiego Stowarzyszenia Producentów Przetwórstwa Mięsnego i prowadzić działalność na własną rękę. Obranie takiej polityki stwarzało możliwość podbicia rynków Unii Europejskiej i osiągnięcia nie ulegających podziałowi zysków. Jednak gdyby wyroby BykRolu nie sprzedawały się, to mogło to spowodować sromotną klęskę całego przedsięwzięcia. Gra była jednak warta świeczki i Orłowski był gotów to ryzyko podjąć.

- Hallo mister Orłowski! – wołał Hans Roithner, wchodząc do przestronnego holu. – I was looking for you almost the whole day!

Prezes BykRolu rozpaczliwie rozejrzał się wokoło za tłumaczką, która w czasie biznesowych wizyt nie odstępowała go ani na krok. Nie znał angielskiego w ogóle, co w panujących do tej pory realiach zupełnie nie przeszkadzało mu w prowadzeniu interesów. Warunki jednak się zmieniały i czasami z zażenowaniem stwierdzał, że nie jest do nich dostosowany. Przewidując zapisał się na kurs łamania języka jeszcze rok temu, ale jest tyle naglących spraw na prezesowskiej głowie...

Gdzie jest ta tłumaczka?! Rozmawia przy recepcji z jakimś Szwajcarem! Po francusku! Co za dziwny kraj ta Szwajcaria – jedna narodowość a cztery języki! Istna wieża Babel! Trzeba być poliglota aby żyć tym kraju!

Tłumaczka szybko oceniwszy sytuację, stwierdziła że jej obecność u boku swego pracodawcy jest teraz nieodzowna. Przerwała prędko rozmowę z Szwajcarem i po chwili stała już obok Orłowskiego.

- Czy pan zdaje sobie sprawę z tego co mi pan zrobił?! – wołał z oburzeniem austriacki przedsiębiorca wymachując trzymaną w ręku gazetą. – Dobrze imię zakładów Wien Fleisch Fabrick, zostało na zawsze utracone! Nigdy więcej nie zgodzę się na takie eksperymenty! Żądam rekompensaty i sprostowania w mediach!
- Chwileczkę! – przerwał gwałtownie Orłowski. – Raczy pan najpierw wyjaśnić o co chodzi?

Austriak potrząsnął gazetą, przewrócił kilka pierwszych stron i wskazał ręką krótki artykuł opatrzony zdjęciem pacjenta leżącego na szpitalnym łóżku.

- Proszę pana! To skandal! – Roithner wcisnął Orłowskiemu do ręki gazetę. – Pięć osób trafiło do szpitala, po zatruciu się waszymi polskimi, prowincjonalnymi wędlinami! Ja firmowałem swoim nazwiskiem te kiełbasy! Czy pan wie co to dla mnie znaczy? Utrata zaufania klientów, to ogromne straty finansowe, nie mówiąc już o czasie i zabiegach, które trzeba włożyć w odbudowę marki! – Austriak otarł chusteczką zapocone czoło i łysinę. Jego oczy strzelały piorunami. – Może u was w Polsce, to normalne, że ludzie się zatrują waszymi produktami, ale u nas w Austrii nie!
- To z całą pewnością jakieś nieporozumienie! – Zenon Orłowski demonstracyjnym ruchem przedarł gazetę na pół i zgniótłszy ją niedbale, wyrzucił do stojącego obok kosza na śmieci. – Wyroby BykRolu w niczym nie ustępują waszym – austriackim. Nasze linie produkcyjne w Wodziejowicach są sterylne czyste! Sprawę zatrucia należy dokładnie zbadać!
- To się skończy w sądzie! – groził Roithner.
- A idź pan z tym kiełbasami nawet do Trybunału Konstytucyjnego w Hadze! – zirytował się Orłowski. – I tak racja będzie po naszej stronie!
- Kiełbasy to ja dla was przyniosłem – rzekł Austriak z pogardą w głosie. Skinął ręką na asystentkę, która podeszła do prezesa

BykRolu i wręczyła mu wiklinowy koszyczek, przykryty serwetką. Spojrzała wyniosłe w oczy wyższemu od niej o pół głowy Polakowi i odwróciwszy się na pięcie, wróciła za szerokie plecy swojego szefa.

- Co to jest? – zapytał Orłowski nieufnie przyglądając się trzymanemu w rękach koszyczkowi.
- To trzy kilogramy wędlin z zakładów Wien Fleisch Fabrick. Wieźcie je do Polski i uczcie się jak się robi porządne kiełbasy! – wyjaśnił austriacki przedsiębiorca. – Niestety daleko im jeszcze do naszych...

Na twarzy prezesa BykRolu pojawiły się czerwone wypieki. Krew zaszumiała mu w uszach. Powstrzymał jednak wybuch gniewu i odezwał się spokojnym, sztucznym tonem:

- Podarunek przyjmujemy. Może nawet czegoś się nauczymy – machnął wiklinowym koszyczkiem i nie wiedzieć czemu dodał. – Nie dla psa kiełbasa!
- Co słucham? – spojrzał na niego Roithner.
- Nic, nic nie ważne – odparł Orłowski. Popatrzył ostentacyjnie na zegarek i rzucił krótko. – Interesy wzywają. Żegnam!
- Good bye! – odpowiedział Austriak. Pociągnął za smycz prosiaczka i wolno podreptał ku wyjściu. Jednak w połowie drogi odwrócił się i zawołał:
- Mister Orłowski!

Polak zatrzymał się i popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Pan się stanowczo za często spóźnia. To musi się zmienić! – powiedział Roithner. Podeszedł po zdumionego tą uwagą prezesa polskiej firmy i zdjął ze swojej ręki zegarek z grubą złotą bransoletą. Otarł chusteczką spoconą twarz i rzekł: - Oto mój Rolex. Skoro mamy współpracować, to proszę pamiętać o tym, że czas to pieniądz, a szczególnie w moich zakładach Wien Fleisch Fabrick. Czy to jest jasne?
- Tak – odparł Orłowski. – W BykRolu nie marnujemy go na posiedzenia – dodał hardo i wsunąwszy sprezentowanego Rolexa do kieszeni w marynarce wybiegł po schodach.

## **Wodziejowice**



Zza zasłoniętego drzewami zakrętu dochodziło charakterystyczne dudnienie silników motocyklowych. Dwa lśniące chromem i błyszczące nowiutkim fabrycznym lakierem Hayrele Electra wytoczyły się zza zakrętu i jadąc z wolną, spacerową prędkością pokonały mostek nad niewielką rzeczką a następnie po dodaniu gazu na krótkim odcinku prostej, zatrzymały się tuż za bramą wjazdową do BykRolu. Siedzący w portierce mężczyzna z zainteresowaniem wyjrzał przez okno i sądząc, że motocykliści zamierzają wjechać na teren zakładu wcisnął przycisk otwierający szlaban. Pomalowanie biało-czerwoną farbą ramię uniosło się do góry. Jeden z Harleyowców dał ręką znać, że nie zamierzają wjeżdżać za bramę. Portier opuścił szlaban i zaciekawieniem przyglądał się dwóm wspaniałym maszynom, które kosztowały więcej niż suma rocznych pensji wszystkich pracowników BykRolu. Tymczasem obydwaj motocykliści zdjęli kaski. Na tle ich czarnej jak heban skóry błyskały białka oczu i białe zęby. Byli murzynami. Postawili Herleye na bocznych stopkach i stanawszy obok siebie, przyglądając się zabudowaniom BykRolu rozmawiali ze sobą w jakimś niezrozumiałym, z pewnością nieeuropejskim języku. Zaskoczony widokiem egzotycznych gości portier wychylił się przez okno i wykrzyknął nazwę jedyne państwa afrykańskiego państwa jakie znał:

- Kambodża?

- No, no! – zaprotestowali przybysze. - Kalifornia!

- O! Kalifornia – zawołał portier. – Kalifornia blues!

Na chwile znikł w budce, aby otworzyć szlaban ciężarówce wyjeżdżającej z zakładu, po czym wyszedł na zewnątrz i ciekawością przyglądał się dwóm pięknym Harleyom. W tym czasie obywatel czarnoskóry obcokrajowiec rozmawiali ze sobą z ożywieniem pokazując rękoma budynki na terenie zakładu.

Akurat tak się złożyło, że staremu Kazimierskiemu, nie wypłacono jeszcze renty w tym miesiącu. Czekał dwa tygodnie, co dnia wyglądał listonosza, a tu renty nie ma i nie ma. A przecież z czegoś trzeba żyć. Założył więc pięcioletniemu bykowi powróż na rogi i pociągnął go ze sobą do skupu żywca przy zakładach BykRolu.

Byk już od dawna był przeznaczony na sprzedaż. Kazimerski chował go do rozplodu, ale zimą ważący dziewięćset kilogramów

zwierz nadepnął mu na nogę. Minęło pół roku, a rana wciąż nie chciała się zagoić. Wreszcie Kazimierski po bezskutecznych kuracjach różnymi maściami od znachorki wybrał się do lekarza. Ten obejrzał nogę i mówi: „ - Gangrena! Palce trzeba amputować, albo dwa lata leczyć”. Jak się łatwo domyśleć Kazimierski wybrał leczenie, a koszty miał pokryć winowajca, czyli byk. Przy tej wadze, w skupie miał wziąć za niego około osiem tysięcy, co w zupełności wystarczało na opłacenie lekarzy i leków.

W chwili gdy Kazimierski utykając na jednej nodze pojawił się na mostku ze swoim wielkim, bykiem którego prowadził na grubym powrozie, z wystającego pręta na przyczepie ciężarówce odczepił się kawałek czerwonego, płótna służący do zasygnalizowania wystającego elementu. Płótno porwane wiatrem przez chwile leciało w powietrzu i upadło na jeden z stojących przy bramie Harley. Zaczepiło się o kierownice i łopotało na wietrze. Byk kiedy to zobaczył, wypuścił parę z nozdrzy i puścił się biegiem. Drobnym Kazimierski nie był w stanie go utrzymać. Powróż został wyszarpanięty mu z rąk. Murzyni słysząc dudnienie spojrzeli w stronę mostku. Zobaczyli sadzące na nich wielkie rogate bydle. Dostrzegłszy czerwone płótno na Harley`u zorientowali się, jaka jest przyczyna i jednocześnie cel szarzy byka. Właściciel pięknego motocykla podbiegł i usiłował zerwać czerwone płótno. Daremnie jednak! Zaczepiło się o coś i nie chciało puścić! A pędzący byk był już tylko, ze dwadzieścia metrów z tyłu! Murzyn chcąc ratować drogą maszynę przed staranowaniem, wskoczył na siedzenie, odpalił silnik i ruszył na wysokich obrotach z miejsca. W samą porę, gdyż rozwścieczona bestia niemal już dosięgała go rogami!

Murzynowi na pewno udałoby się uciec przed bykiem, jednak nie miał gdzie, bo z naprzeciwka pędziła ciężarówka. Skreślił więc w polną drogę, a byk mając przed oczami czerwoną płachtę cały czas pędził za nim. Niestety po pełnej wykrotów i wybojów drodze nie dało się szybko jechać. W zasadzie Harley i pędzący za nim byk zachowywali tą samą prędkość, a dystans między nimi skracał się bądź wydłużał zaledwie o kilka metrów.

Jakiś stary dziadek, który kosił trawę na łące aż opuścił kosę ze zdumienia jak zobaczył jadącego polną drogą murzyna na lśniącym chromem motocyklu i goniącego go potężnego byka.

Kiedy tak kalifornijski murzyn uciekał na Harleju przed Kazimierowskim buhajem, mieszkająca na skraju Wodziejowic znachorka opraciała uroki próbując odpędzić gorączkę, na którą skarżył się jeden z jej stałych pacjentów – Antek Gruszka – rolnik na czterdziestohektarowym gospodarstwie. Próbowała ziół, maści przeróżnych, ale nie dawało do żadnego skutku. W końcu mówi do obecnej przy tych wszystkich zabiegach Antkowej:

- No nic. Trzeba by go do pieca na trzy zdrowaśki wsadzić!
- Jak trza, to trza – zgodziła się Antkowa. – Żeby tylko chłop szybko wydobrzeł, bo żniwa idą.

Obydwie baby położyły otumanianego ziołami chłopca na desce, przykryły prześcieradłem i wsunęły do pieca w miejsce gdzie wypieka się chleb. W palenisku płonął już ogień. Odmawiając zdrowaśki co jakiś czas zagadywały do Antka, żeby wiedzieć czy nic mu się nie dzieje. Antek mówił, że wszystko w porządku, tylko że niemiłosiernie gorąco. Po trzech zdrowaśkach wyjęły go z pieca i zniosły do sadu, „żeby wystygł” – jak mówiła znachorka. Zostawiły chłopca przykrytego prześcieradłem, na ławce pod śliwą i wróciły do chaty. A Antkowi, który dzisiaj wypił już ze trzy litry wywarów z ziół, mała pęcherz nie pękł, tak chciało mu się sikać. Zdjął z siebie prześcieradło, wstał z ławki i pobiegł do wychodka, który stał parę metrów dalej obok gnojowiska.

Nie mógł zobaczyć tego momentu, kiedy pędzący przez łąki Harley, wpadł na drewniany płot, rozwalił go w drzazgi i wjechał do sadu. Tuż za nim bieżył mocno już zdyszany buhaj. Motocykl uderzył w gruszę i wywrócił się na bok. Kierujący nim murzyn, poleciał na ziemię. Widząc nabiegającego byka zerwał się i zaczął uciekać przez sad. Zwierz zatrzymawszy się na chwilę nad leżącym motocyklem zdarł rogiem szmatę i puścił się w pogoń za uciekającym murzynem. Czarnoskóry mężczyzna biegł na oślep między drzewami, okrążył oborę i zobaczywszy wychodek próbował go otworzyć, żeby się w nim schować. Drzwi jednak były zamknięte. Aby ukryć się przed goniącym go po sadzie bykiem położył się na stojącej obok ławce i nakrył prześcieradłem. Tymczasem rozwścieczone zwierze nie mogąc odnaleźć swojej ofiary wybiegło, przez połamane ogrodzenia z sadu i pognało w pola.

Ankowa wyszła z chaty, żeby zobaczyć jak czuje się jej mąż. Czy już całkiem wystygł, czy jeszcze nie? Podeszła do ławki, zerwała prześcieradło i ujrawszy czarnego człowieka ryknęła w niebogłosy:

- Jezusicku! Maryjo! Antek cały się spiekł!

\* \* \*

Dwa kręcące się tuż pod sufitem wiatraki znakomicie radziły sobie z schładzaniem gorącego powietrza w sali konferencyjnej BykRolu, jednak w żaden sposób nie mogły rozpedzić nerwowych fluidów, które krążyły wśród zgromadzonych tutaj pracowników marketingu i działu kontroli jakości. Leciutkie powiewy wiatru poruszały stosem faksów z przysłanymi reklamacjami. Od wczoraj nadeszło ich już kilkanaście. Zakład jeszcze nigdy nie wypuścił tak feralnej partii produktów. Do tej pory nie wykryto co jest przyczyną, częstych zatruc i niemiłej woni wędlin, kaszanki i parówek, które wyprodukowano kilka dni temu. Sprawą tą od kilku godzin zajmowało się zakładowe laboratorium a wyniki analizy miały być dostępne lada moment.

Na przykrytym białym obrusem długim stole konferencyjnym znajdowały się dwa stojące obok siebie talerze z wędlinami. Jeden z nich był biały a drugi czarny. Przyniesiono je tutaj przed chwilą na polecenie Orłowskiego. Nikt nie potrafił domyśleć się jaki za tym posunięciem kryje się cel. Wszak jeśli nawet wędliny zawierały substancję, która spowodowała zatrucia, to i tak nie będzie jej widać gołym okiem.

Około dwudziestu osób oczekiwało w nerwowym napięciu na przybycie szefa. Jedni ukrywali swe emocje pod maską sztucznego spokoju, drudzy jawnie okazywali oznaki podenerwowania. Żaden z nich, znając porywczosć swego pryncypała, nie mógł być pewien swego losu. Zresztą wszystko zależało od wyniku analiz laboratoryjnych, które wskażą przyczynę oraz winnych tej porażki, a prezes zadecyduje, jak ich ukarać.

Zenon Orłowski gwałtownie wkroczył do sali. Zatrzasnął drzwi, energicznie podszedł do stołu i rzucił na blat skórzaną aktówkę z wyglądającym z niej plikiem dokumentów. Wyprostował się i potoczył pałającym gniewem wzrokiem po zgromadzonych w sali podwładnych.

- Klęska! Nieprawdopodobny brak odpowiedzialności i rażące zaniedbania! – wyrzucił z siebie po chwili pełnej napięcia ciszy. – Zawiódł dział kontroli jakości i dział produkcji.

Nikt nie miał odwagi się odezwać. Wszyscy wiedzieli jakim nerwowym człowiekiem jest prezes i wielokrotnie byli już świadkami, podejmowanych przez niego pod wpływem impulsu, pochopnych i radykalnych decyzji. Mimo tego musiał być jednak dobrym menadżerem skoro potrafił doprowadzić BykRol do tak znaczącej pozycji na rynku. Stąd też nawet jeśli jego decyzje były podejmowane pod wpływem impulsu, to jednak w ogólnym rozrachunku zawsze racja była po jego stronie. Rozległo się kilka nerwowych kaszlnięć, szuranie butów po podłodze.

- Panie Zenonie, może trochę więcej szczegółów – mocnym głosem odezwał się szef produkcji. – Ciekawi jesteśmy co konkretnie się stało?

Orłowski pochylił się nad stołem, wyjął ze skórzanej aktówki kilka kartek papieru i zamachał nimi w powietrzu.

- W laboratorium stwierdzono, że partie produkcji z ostatnich kilku dni, w tym również ta reprezentacyjna, która poszła do Austrii, zawierały dziesięć razy większą niż przewidują normy dawkę kwasu mazatanowego – rzucił na stół kartki z wynikami analiz i potoczył wśród zgromadzonych gniewnym, oskarżycielskim spojrzeniem.- Nie rozumiem jak można było dopuścić się takiego niedopatrzenia!
- To niemożliwe! – zaprotestował szef produkcji. – Robiliśmy wszystko zgodnie z procedurami! Osobiście nadzorowałem prace!
- Porozmawiamy o tym nadzorowaniu w moim gabinecie! – rzucił krótko Orłowski.
- Czy oby w wynikach analiz nie doszło do pomyłki? – odezwał się kierownik działu kontroli jakości. – Ze swojej strony mogę panu przedstawić wyniki analizy, w których czarno na białym stoi, że składniki w tej partii produkcji były dobrane zgodnie z recepturą i procedurami – wąły i chudy mężczyzna odpowiedzialny za kontrolę jakości przemieścił się kilka kroków w stronę drzwi. - Proszę poczekać, zaraz przyniosę wyniki.

- Niech pan nigdzie nie odchodzi! – prezes zatrzymał go w miejscu. Kilkanaście zaskoczonych spojrzeń spoczęło na wysokiej szczupłej postaci Zenona Orłowskiego. Ten zaś energicznym ruchem głowy

odrzucał do tyłu spadającą na czoło kruczoczarną grzywkę i wskazując na dwa położone na stole talerze powiedział:

- Zrobimy teraz mały sprawdzian z wiedzy o firmie – podszedł do środka długiego stołu. – Na jednym z tych talerzy znajdują się parówki z Austriackich zakładów Wien Fleisch Fabrick, a na drugim nasze z BykRolu – zrobił kilka kroków do tyłu i mówił dalej: – Zasady są proste. Należy odgadnąć, które są nasze, a które z Austrii. Kto stwierdzi, że nasze są na białym talerzu, ustawia się w tym rogu sali – wskazał ręką na lewo – a kto uważa, że na czarnym, ustawia się tam przy drzwiach – skinął ręką w prawo.

Przez chwile zapanowała cisza. W kilka sekund później rozległy kpiarskie, skrywane pod przysłoniętymi dłońmi ustami prześmiejki. Wygląda na to, że szef z tych nerwów kompletnie ześwirował! Robi z siebie błazna! Jak można nie poznać wędlin przy których pracuje się od lat?

- A to nam pan prezes szaradę wymyślił! – roześmiał się w głos szef produkcji. Podszedł do stołu, pochylił się nad talerzami, chwilę pomyślał i rzekł: - Ja nawet patrzeć nie muszę, już po samym zapachu poznaje, że te na czarnym, to nasze są!
- W takim razie proszę na prawo – rzekł Orłowski z nie zdradzającą żadnych emocji miną pokerzysty.

Do stołu zbliżył się ów chucherkowaty człowieczek odpowiedzialny za kontrolę jakości. Popatrzył niepewnie na dwa talerze z wędlinami i zapytał:

- A czy mogę spróbować?
- Ależ oczywiście – zgodził się prezes.

Człowieczek wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i odkroił kawałek kiełbasy z czarnego talerza. Wziął go do ust, chwilę posmakował i przełknął. Tej samej degustacji poddał wędlinę z drugiego talerza. Ogłoszony pewnym głosem werdykt brzmiał:

- Zgadza się z szefem produkcji. Nasze są w czarnym półmisku.
- Zatem proszę na prawo i zapraszam dyrektora marketingu – powiedział chłodnym tonem Orłowski.

Gładko ogolony, ubrany w granatowy garnitur mężczyzna około czterdziestki zbliżył się do stołu mając na twarzy starannie dobrany ironiczny uśmiech. Niech wszyscy wiedzą co on sobie myśli o tym kretynie – Orłowskim i jego idiotycznym testowaniu pracowników.

Nawet nie pochylając się nad talerzami, rzuciwszy nań tylko przelotne spojrzenie orzekł:

- Ależ nie ulega najmniejszych wątpliwości, że nasze są na tym czarnym!

Orłowski bez słowa skinął ręką na prawo. Dyrektor marketingu dumnym krokiem oddalił się w kierunku drzwi.

W dalszej kolejności do stołu pochodzili pracownicy zajmujący podrzędne stanowiska. Niejednokrotnie ludzie zajmujący się produkcją. Choć było kilku takich, którzy mieli odmienne zdanie, niż większość i chętnie stanęliby po lewej stronie, to jednak ulegając psychologii tłumu woleli nie wyróżniać się od reszty, uważając że w kupie zawsze bezpieczniej. Zwłaszcza że w tej licznej grupie znajdowali się ich szefowie. Na samym końcu, do stołu podeszła młoda dziewczyna pracująca jako rozbieraczka, zatrudniona jeszcze na okresie próbnym. Stała przy stole i nie mogąc się zdecydować wpatrywała się to w jeden to w drugi półmisek.

- Nad czym się pani tak długo zastanawia? Proszę wybierać i iść w prawo lub lewo! – popędził ją Orłowski.

- Kiedy, panie prezesie, mnie się wydają, że ani jedno, ani drugie nie są nasze... – odpowiedziała dziewczyna nieśmiało, widząc w wyobraźni kadrową rozkładającą bezradnie ręce ze słowami: „chyba jednak nie zdecydujemy się przedłużyć pani umowę o pracę”.

Stojąca przy drzwiach kilkunastoosobowa grupka ludzi skomentowała tą odpowiedź salwą śmiechu. Ta ogólna wesołość jednak nie trwała długo. Śmiertelnie poważna mina Orłowskiego, zamroziła śmiechy.

- Zgadza się - odparł szef BykRolu. Obciągnął poły marynarki i włożywszy ręce do kieszeni zwrócił się do stojącej obok drzwi grupy zaskoczonych pracowników. – Sprawdzian miał jeden mały haczyk: żadna z tych wędlin, nie została wyprodukowana ani w naszych zakładach, ani w austriackich zakładach Wien Fleisch Fabrick. Wszystkie pochodzą od konkurencyjnej firmy Rolpex.

Szmer zaskoczenia przebiegł przez sale.

- Pan chyba sobie z nas żartuje, panie prezesie! – oburzył się dyrektor marketingu. – Nie rozumiem jak można poddawać nas, wieloletnich doświadczonych pracowników tego zakładu, tak podchwytliwym testom?! To zakrawa na kpinę! Co pan chce przez to osiągnąć?

Zenon Orłowski poniósł teczkę z wynikami analiz i potrząsając nią w prawej ręce opowiedział:

- Zbadać zaangażowanie pracowników, ich stan wiedzy o produkcie a także stopień identyfikacji z firmą – rzucony przez niego plik dokumentów z traskiem wylądował na stole. – Niestety żaden z testów nie dał pozytywnego wyniku – dodał z przygnębieniem. Usiadł zrezygnowany na krześle i mówił dalej bez cienia gniewu, czy wyższości w głosie: - Idą nowe czasy. Większe wymagania i ostrzejsza konkurencja. Nowy rynek to będzie nieustanna bitwa o klienta. Z takim zespołem jak wy nie podołam – wstał z krzesła, włożył ręce do kieszeni w spodniach i przespacerował się kilka kroków w milczeniu. – Ale ja przewidywałem, że wy możecie nie zdać tego egzaminu i przygotowałem na tą okazję coś specjalnego... – w jego prawej ręce pojawił się telefon komórkowy. Wybrał z pamięci numer i odezwał się krótko do słuchawki: – Pani Zosiu, zapraszam do konferencyjnej.

Kliknięcie rozłączanej rozmowy i pełna napięcia cisza.

- Co to ma znaczyć? – odezwał się nieufnie szef produkcji. – Co pan znowu knuje?
- Knuje? – obruszył się Orłowski. – Ja nic nie knuje, ja was wszystkich zwalniam!

Wybuchł gwar rozmów. Rozległy się gwizdy. Ktoś wywrócił krzesło, które z rumorem poleciało na podłogę.

- Czy mnie słuch nie myli?! – odezwał się szef produkcji. – Chce pan zwolnić prawie połowę pracowników?! – wysunął się do przodu i stanął kilka kroków od przełożonego. – Ponad trzydzieści osób wykwalifikowanego personelu? Skąd pan weźmie ludzi na ich miejsce? Ta firma nie poradzi sobie bez nas! – drżącymi rękoma wyjął paczkę papierosów i machinalnie szukał zapalniczki. Znalazł ją w kieszeni marynarki. Próbował odpalić, lecz nie wy dobył się zeń nawet najmniejszy płomyk ognia.
- Nie ma ludzi niezastąpionych – odparł Orłowski. Wyjął z kieszeni swoją benzynową zapalniczkę i wręczył ją byłemu szefowi produkcji. – Proszę użyć mojej. Pańska się już wypaliła – usiadł na krześle i założywszy nogę na nogę swobodnym tonem dodał: - Przy dzisiejszym bezrobociu łatwo zastąpić starego pracownika nowym. Tak jak zużyta zapalniczkę.



Rozległy się okrzyki oburzenia. Zuchwały prezes BykRolu zachowywał się wręcz skandalicznie! Bezkarne truteń, który zrobił karierę rękoma dziesiątek przeciętnych ludzi wykonujących nudną, taśmową robotę. Czy nie było nikogo nad nim, aby mógł ukrocić jego fanaberie i przywołać go do porządku?!

Otworzyły się drzwi. W progu pojawiła się krępa postać kadrowej. Kobieta weszła do sali trzymając w rękach gruby plik kartek. Z zapytaniem w oczach spojrzała na prezesa.

- Proszę wręczyć wypowiedzenia! – powiedział Orłowski oschle. – Wszyscy tutaj zgromadzeni z dniem dzisiejszym kończą pracę w BykRolu! – wstał z krzesła i zobaczywszy stojącą wciąż przy stole dziewczynę, która pomyślnie przeszła test, poprawił się: - Przepraszam, oczywiście ta pani pracuje nadal.

Początkowy szok i zdziwienie wśród zgromadzonej w sali licznej grupy pracowników przeistoczył się w złość i agresję przeciwko butnemu i pewnemu sobie prezesowi. Ten człowiek zdecydował o wyrzuceniu ich na bruk z łatwością jakby chodziło o usunięcie zużytego tonera do drukarki! Żeby chociaż oni czuli wypaleni zawodowo, to mogłoby zmieniać postać rzeczy. Lecz oni wciąż byli pełni zapału do pracy, wspólnie doprowadzili firmę do rozkwitu, a tu raptem spada na nich jak grom z jasnego nieba wiadomość: „Przy dzisiejszym bezrobociu łatwo zastąpić starego pracownika nowym, jak użytą zapalniczkę. Zwalniam was!”.

Jakiś mocno podenerwowany, rosły mężczyzna przebił się przez tłum, złapał leżące na podłodze krzesło i ruszył z nim na Orłowskiego: - Ty sk.....u! Kredyt na mieszkanie wziąłem! Zaraz rozwalę ci łeb! – wołał przygotowując się w biegu do zadania ciosu drewnianym oparciem. – Władza ci odbiła! Ale to się skończy!

Powstał rwetes. Kobiety zapiszczały, mężczyźni sypnęli przekleństwami. Jednak nikt nie kwapił się powstrzymać wielkoluda. Rzucone przez niego z mocą krzesło poszybowało w powietrzu i pewnie trafiłoby Orłowskiego w samą głowę, lecz ten ułamek sekundy wcześniej uchylił się i dał nura pod stół. Krzesło z impetem uderzyło w ścianę i zsunąwszy się po niej upadło na podłogę.

- Wezwać ochronę, wezwać ochronę! – krzyczał Orłowski biegnąc na czworaka pod stołem. – Zadzwoń na policję! Natychmiast!

Ogromny mężczyzna chyba rzeczywiście postanowił zrobić mu krzywdę, gdyż nie dając za wygraną złapał za nogę stołu i

gwałtownym szarpnięciem odsunął ten ciężki mebel o dwa metry w bok. Orłowski leżał na podłodze wystraszony jak karaluch, który po podniesieniu miotły, nagle znalazł się w zasięgu światła dziennego. Widząc idącego w jego stronę wielkoluda, zerwał się na równe nogi i wyskoczył na parapet okna. Przez moment na jego twarzy pojawiło się wahanie, lecz dostrzegłszy kątem oka swego prześladowcę zaledwie kilka kroków za swoimi plecami, zacisnął zęby, zwarł się w sobie i wyskoczył przez okno.

Leciał około dwóch metrów gdyż sala konferencyjna mieściła się na pierwszym piętrze. Wylądował na hałdzie węgla, która zamortyzowała upadek. Podniósł się, wytarł chustką pobrudzone ręce i zszedł w dół na betonową podmurówkę. Słyszając wybuch śmiechu w sali konferencyjnej, spojrział w górę na otwarte okno i mruknął:

- Nie dla psa kiełbasa. Tfu!

\* \* \*

Z górującej nad miastem fary dochodziło donośne bicie dzwonów. Zgromadzeni na dorocznym odpuscie mieszkańcy Wodziejowic gęstym wiankiem otoczyli kościół oraz wylegli na biegnącą obok niego ulicę. Głośniki rozbrzmiewały statecznym, spokojnym głosem proboszcza. Dzieci biegały od kramu do kramu i zachwytem przyglądały się rozłożonym na stolikach kolorowym zabawkom. Nastrój uduchowienia mieszał się z odgłosami trąbek, brzęczydełek, gwizdków, fujarek, strzałów z pistoletów na kapsle i na korki. Co chwilę rozlegały się też salwy gromkiego męskiego śmiechu. Odpust stwarzał znakomitą okazję do spotkania i pożartowania z sąsiadem zza miedzy, kolegą ze szkoły i znajomym z pracy. Stanowił też doskonałą sytuację wyjściową do umówienia się na piwo w „Weku” – miejscowej pijalni tanich napojów wysokowych.

Rozległ się śpiew chóru dziewczęcego, mocnej zabiły dzwony. Czyniono przygotowania do wyjścia na procesję.

Lśniące czerwonym lakierem Porsche Carrera nadjechało od strony niewielkiego ryneczku i zaczęło wolno przeciskać się przez stojący na ulicy tłum wiernych. Widok luksusowego samochodu wzbudził sporą sensację wśród mieszkańców małego miasteczka. Dziesiątki zaciekawionych spojrzeń próbowało przebić przyciemniane szyby i

dojrzyć kierowcę nieosiągalne drogiego dla przeciętnych obywateli auta. Jednak nałożona na szyby ciemna powłoka antyrefleksyjna skutecznie uniemożliwiała zlustrowanie wnętrza pojazdu. Pomimo tego dla niektórych nie było tajemnicą, kto prowadzi ten sportowy wóz. Człowiek ten należał on do jednych z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Wodziejowicach.

Zenon Orłowski – on to bowiem zasiadał za kierownicą Porsche, ostrożnie przejeżdżał przez stojący na ulicy tłumek. Zaskoczone i pełne podziwu spojrzenia jakimi obdarzano jego samochód wywoływały w nim poczucie dumy. Zakupione rok temu w salonie nowiutkie Porsche było dla niego czymś więcej niż samochodem – oto wyjeżdżał na drogę i czuł się kimś wyjątkowym. Przy powszechnych Toyotach, Nissanach, BMW, Mazdach, Fiatach i innych autach dla przeciętnych zjadaczy chleba, jego piękny czerwony bolid prezentował się jak urodziwa królewna wśród gromady wiejskich dziewczuch. Stanowił też namacalny i niepodważalny dowód życiowego sukcesu i jednocześnie świadczył o właściwych metodach postępowania właściciela, które doprowadziły go do osiągnięcia dobrobytu i powodzenia.

Pogląd ten całkowicie wytłumiał wątpliwości związane ze zwolnieniem jednej trzeciej załogi BykRolu. Zapewne większość lokalnych pseudobiznesmenów uznałaby to posunięcie za błąd w sztuce lecz on - nieomylny Zenon Orłowski – podświadomie czuł, że jest to kolejny krok w drodze do sukcesu firmy. Co prawda jeszcze nie wiedział w jaki sposób szybko uzupełnić braki kadrowe, tak aby nie doszło do przerwy w produkcji, wierzył jednak w swoją nieprzeciętną pomysłowość i obrotność. Wszak gdyby nie posiadał tych cech, jeździłby dziś co najwyżej zdezelowanym Citroenem a nie Porsche! Liczył na to, że w stosownym czasie przyjdzie mu do głowy odpowiednie rozwiązanie.

Obawiając się zemsty ze strony zwolnionych pracowników popadł w lekką paranoję. Wynajął firmę ochroniarską, która obstawiła dom, kupił i nosił przy sobie pistolet gazowy a ponad to zastanawiał się nad sprawieniem sobie ochrony osobistej – wysportowanego dobrze władającego bronią palną goryla. Po głębszym przemyśleniu odrzucił jednak ten pomysł, ponieważ obecność osobistej ochrony byłaby jawną oznaką strachu, a tego nie chciał po sobie okazywać. Wręcz odwrotnie, w tej sytuacji zamierzał promieniować odwagą i

pewnością siebie. Na szczęście tę aktorską grę, z racji zajmowanego stanowiska, od dawna miał opanowaną aż do perfekcji.

Ominąwszy stojący na ulicy różnobarwny tłum, skręcił w lewo na drogę prowadzącą do wylotu z miasteczka i po przejechaniu kilkuset metrów zatrzymał się na czerwonym świetle. Przed nim rozpościerał się długi liczący co najmniej pięć kilometrów odcinek prostej dwupasmowej szosy. Przygotowując się do szybkiej jazdy na wprost, czekał na zmianę świateł. Trzymając mocno zaciśnięte ręce na kierownicy, usłyszał dźwięk nadjeżdżającego z prawej strony samochodu. Granatowe Subaru Impreza zrównało się z jego Porsche na białej linii zatrzymania przed światłami. Dwóch ogolonych na łyso z grubymi tłustymi karkami dresiarzy, śmiało się do niego przez opuszczoną szybę. Prowadzący sportowe auto dwudziestokilkuletni mężczyzna dodawał i ujmował gazu powodując, że Subaru rozbrzmiewało głębokim basowym głosem silnika. Jednocześnie dawał rękoma znaki, że chce się ścigać. Zenon Orłowski spokojnie czekał na zmianę świateł. Jeszcze tylko kilka sekund i zapali się zielone. Jest już żółte. Nogą wcisnął gaz i z przyjemnością wsłuchał się w muzykę, wkręcającego się na wysokie obroty silnika Boxtera. Stojące obok Subaru huczało wibrującym dźwiękiem załączonej turbiny. Obydwaj kierowcy wbili wyczekujące spojrzenia w stojący przy drodze semafor. Jest zielone! Dwa stalowe rumaki przeraźliwym z piskiem opon wyrwały przed siebie! Młodszy kierowca miał szybszy refleks i wcześniej wcisnął pedał gazu. Na pierwszych metrach Subaru wysunęło się o pół długości do przodu. Nie trwało to długo bo wkrótce kopnięty mocą czterystu dwudziestu koni mechanicznych Porsche, zerwał się jak przyczajony w zaroślach na ofiarę jaguar i rzucił się naprzód zachłannie i co raz szybciej połykając kolejne metry asfaltu. Z dziecinną łatwością wyprzedził idące na pełnej mocy turbiny Subaru i cały czas, jakby nie istniał dla niego opór powietrza, przyśpieszał i gnał przed siebie. Silnik wkręcił się na nieosiągalne dla przeciętnych samochodów obroty i dopiero teraz przy prędkości sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, poczuł się jak człowiek, który rozprostowuje kości po długotrwałym siedzeniu w fotelu. A strzałka licznika cały czas przechyla się w prawo: sto dziewięćdziesiąt, dwieście, dwieście dziesięć, dwieście dwadzieścia. Zewsząd dochodzi świst ciętego z dużą prędkością powietrza. Droga staje się wąska jak wstążka a rosnące obok niej drzewa migoczą jak

kadry w filmie, tworząc wysoki zielony szpaler zakończony błękitem nieba. Dwieście pięćdziesiąt, dwieście sześćdziesiąt! Za oknem huragan, a widziane w bocznym lusterku Subaru wlecze się gdzieś daleko w tyle jakby ciągnęło olbrzymią cysternę z paliwem. Głód wrażeń, głód prędkości, poziom adrenaliny wzrasta wraz z agresywnymi obrotami silnika a umysł domaga się jeszcze szybciej, jeszcze więcej, noga bezwiednie wciska gaz a prędkościomierz jakby nie istniała żadna ograniczająca go bariera przechyla się w prawo. Dwieście dziewięćdziesiąt, trzysta kilometrów na godzinę! Jedność - całkowite zintegrowanie się człowieka z maszyną i przestrzenią. Przetrzymać ten stan! Upajać się nim jak najdłużej, balansując na granicy życia i śmierci! Subaru już dawno przestało się liczyć w tej grze. A jednak skoncentrowany na prowadzeniu samochodu kierowca kątem oka dostrzegł zbliżający się z prawej strony cień. Z hukiem porównywalnym do dźwięku silnika odrzutowego czarny motocykl majestatycznie zrównał się z jego Porsche. Przez chwilę obydwa, prując przestrzeń z niesamowitą prędkością, pojazdy szły łeb w łeb, lecz schowany za szybką motocyklista, walcząc z ogromnym naporem powietrza, przylgnął szczelnie do swej maszyny i niemal dotykając już brodą chłodnego baku okrecił do końca manetkę gazu. Motocyklem szarpnęło. Posiadając jeszcze rezerwę mocy pomknął do przodu zostawiając za sobą superszybki bolid i jego rozgalopowane czterysta dwadzieścia koni mechanicznych.

„Dawca nerek” – przemknęło Orłowskiemu przez głowę. W chwilę potem przypomniał sobie, że sam ma żonę, dzieci i zaczął zwalniać przed odcinkiem gdzie kończyła się prosta, a zaczynały ostre zakręty. W ciągu kilku sekund wytracił prędkość do stu kilometrów na godzinę. Ustał świt powietrza, silnik wszedł na spokojniejsze obroty. Wyścig skończony.

Zaczęła się zwykła jazda.

Dopiero po minucie w lusterku pojawiło się sunąca z dużą prędkością Subaru. Prowadzony przez młodych ludzi samochód ledwo wyrobił na zakręcie i rósł w oczach. Wyprzedził Porsche i biorąc przednimi kołami pobocze wszedł w kolejny zakręt. Orłowski, już się nie ścigał. To która maszyna jest szybsza rozstrzygnęło się przed chwilą na długiej prostej. Wrócił do rozmyślań o trudnej sytuacji w jakiej znalazła się kierowana przez niego firma. Skąd wziąć dwudziestu kilku wykwalifikowanych pracowników i szybko ich

przeszkolić? Prawdopodobnie nie zbierze całego zespołu spośród ludności zamieszkałej w Wodziejowicach, a zatem musi naprędce zorganizować zakwaterowanie dla zamiejscowych. Przyszło mu na myśl, aby dogadać się z właścicielem taniego hotelu przy stacji kolejowej. Hotel mógłby być dobry na początek, później postawi się jakiś barak na terenie zakładu i wynajmie w nim pomieszczenia odpłatnie. Pomyślał sobie, że znowu jak kot spadnie na cztery łapy i jeszcze na tym zarobi.

Jadąc biegnącą przez las szosą, dostrzegł leżące w rowie Subaru, z którym przed chwilą się ścigał. Samochód spoczywał na prawym boku kilka metrów przed betonowym przepustem. Obok niego na drodze znajdowało się dwóch ludzi. Jeden z nich leżał na wznak z głową we krwi a drugi stał na poboczu dając Orłowskiemu znak aby się zatrzymał. „Proszę jak się gówniarzom śpieszyło!” – posumował w myślach tę sytuację czterdziestolatek. Wprawdzie nie cierpiał tego pokroju ludzi, jednak nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby przejechać obok nich obojętnie, bez udzielenia jakiegokolwiek pomocy. Zwolnił i zjechał na pobocze kilka metrów przed leżącym w rowie Subaru. Machinalnie wyrwał kluczyki ze stacyjki i energicznie otworzył drzwi. Wyprostowawszy się zauważył wycelowaną w jego głowę lufę pistoletu. „Zasadzka!” – śmignęła myśl jak błyskawica. Poczul jak ze strachu wiotczeją mu uda. Żeby tylko, nie chcieli zabić! Niech biorą Porsche i jadą, a jego zostawią w spokoju. Ubezpieczyciel...

- Dawaj kluczyki i spierdalaj w las! – powiedział stojący przed nim rosły mężczyzna w kominiarce. – Bo jak nie to rozwalę łeb!

Jego leżący na drodze współnik zerwał się, otarł rozpiętą koszulą czerwoną farbę z twarzy i otworzył tylne drzwi ich samochodu. Wyjął stamtąd kałasznikowa i przeładowawszy go zbliżył się do trzęsącego się ze strachu właściciela Porsche. Szturchnął go lufą w żebra i szepnął chłodnym jak stal głosem:

- Szybciej!

Dwa kluczyki spoczęły w żylastej ręce wysokiego draba.

- Spokojnie, panowie spokojnie – mamrotał Orłowski. – Bez paniki.

Nie jestem głupi. Bierzcie auto mnie dajcie spokój!

Rzezimieszek bez słowa ruchem głowy dał mu znać aby oddalił się do lasu. Orłowski odwrócił się i zaczął iść przez drogę. Cały czas z przerażeniem myślał, że mogą mu teraz strzelić w plecy. Ale słyszał tylko ciszę. Dopiero kiedy przyskoczył rów, rozległ się ogłuszający

wystrzał serii z karabinu, a w chwilę potem dał się słyszeć szyderczy śmiech. Co sił w nogach rzucił się w las wiedząc, że tam za grubymi pniami drzew trudniej będzie go trafić. Gnał przed siebie, a gałęzie chłostały go po twarzy. Potknąwszy się o gruby konar upadł. Ciężko dysząc, z twarzą w mokrej trawie, słyszał dźwięk odjeżdżającego wartego czterysta tysięcy złotych Porsche.

Ubezpieczyciel w zeszłym tygodniu próbował się z nim skontaktować w celu przedłużenia ubezpieczenia AC i od kradzieży, ale kiedy do licha miał się z nim spotkać, skoro w tym czasie przebywał w Genewie?! Mając do siebie masę pretensji, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił na Policję, aby zgłosić napad i kradzież samochodu.

\* \* \*

Pół kilometra dalej szedł drogą Kazimierski ze swoim wielkim bykiem. Podobnie jak poprzednio prowadził go na postronku do skupu żywca. Wtedy olbrzymie agresywne bydle, wyrwało mu się z rąk i przez trzy dni krążyło w okolicznych wioskach siejąc postrach wśród mieszkańców. Na domiar złego byk spowodował szkody materialne wpędzając biednego starca w niebotyczne długi. Sołtysowi rozwalił w drzazgi szopę, w sąsiedniej wiosce zdemolował przystanek autobusowy, jakiś człowiek uciekając przed nim na rowerze wpadł w skarpe przy drodze gdzie pogiął ramę i scentrował koła, badyłarzowi porozwalał grzędy z pomidorami, a wdowie po dróżniku zepchnął do rzeki bańkę na mleko. Ogółem szkody oszacowano na dwa tysiące złotych, co przy wynoszącej czterysta złotych rencie Kazimerskiego było kwotą przyprawiającą o zawrót głowy. Dlatego starzec nie miał już żadnych złudzeń, że musi byka – przyczynę swych problemów finansowych i zdrowotnych – czym prędzej sprzedać.

Nie wiadomo czym Kazimierski go karmił, ale fakt faktem, że buhaj na widok czerwonego koloru dostawał wścieklizny. Wpadał w szal i żadna siła nie była w stanie utrzymać go w miejscu. W tym względzie nie czynił żadnych wyjątków. Olbrzymi buhaj widząc jadący wolno z naprzeciwka lśniący czerwonym lakierem samochód, pochylił wieli łeb, wypuścił parę z nozdrzy i z impetem ruszył do ataku. Kazimierski trzymał powróż co sił w rękach i w wyobraźni

dodawał kolejne zera do swojego długu. Jednak powróż szarpnął nim tak mocno, że chudy starzec jak belka słomy przewrócił się na drogę i poturlał do rowu. Ogromny, ważący prawie dziewięćset kilo buchaj, dudniąc kopytami po asfalcie sadził do przodu wprost na jadące z prędkością piechura Porsche. Wziąwszy kilkanaście metrów rozpędu huknął łbem jak taranem w przednią maskę z taką siłą, że ważące półtorej tony auto zostało odrzucone do tyłu. Rozległ się jęk rozdzieranych rogami blach, brzęk tłuczonych reflektorów, eksplodowały poduszki powietrzne, załączył się wyjący wściekle alarm. Oszołomiony byk, stęknął żałościwie i padł na asfalt tuż przed samochodem. Siedzący w środku przestępcy, po tym jak poduszki powietrze uderzyły ich prosto w twarz, znajdowali się w stanie lekkiego zamroczenia. Usiłowali niezdarnie wygramolić się z auta, lecz uruchomienie alarmu spowodowało, że wszystkie drzwi zostały zablokowane, a opuszczenie szyb okazało się niemożliwe. Pech przyczepił się złodziei jak pijawka i nie chciał ich opuścić. W momencie kiedy wybili boczne szyby i próbowali przecisnąć przez okna swe grube cielska, za stojącym na środku drogi Porsche rozległ się dźwięk syreny policyjnej. Pędzący drogą radiowóz zatrzymał się przy luksusowym samochodzie, a dwóch odzianych w kamizelki kuloodporne i uzbrojonych w karabiny policjantów wyskoczyło z pojazdu i stanęło obok Porsche celując do przestępców. Ci, zakleszczywszy się w otworach okiennych, nie mogli dosięgnąć swej broni. Bezradni jak dzieci krzyczeli, że się poddają.

Wówczas z policyjnego poloneza wysiadł Zenon Orłowski. Obszedł swój samochód dookoła ostrożnie ominął leżącego na drodze zaćmionego od uderzenia łbem w maskę byka i rozżaleniem spojrzął na wgniecioną i porysowaną karoserię. W myśli obliczył, że koszty naprawy wyniosą około dwudziestu tysięcy złotych, ale to i tak nieporównywalnie mniej niż utrata całego samochodu. Na dobrą sprawę ten wielki byk, przyczynił się do odzyskania skradzionego Porsche. Ciekawe skąd on tu się wziął i kto jest jego właścicielem? Odpowiedz na to pytanie przyszła błyskawicznie:

- Panie Zenonie, litości! Ja już nie mam pieniędzy! – wołał Kazimierski kuśtykając wzdłuż pobocza. Podszedł do właściciela staranowanego pojazdu i dodał: - Za te szkody, niech Pan weźmie mojego byka!



Orłowski bez słowa zdjął z ręki złotego Rolexa, którego kilka dni temu dostał od Roithnera i wcisnął go do otwartej garści starego.

- Proszę to wziąć i nie pytać dlaczego – powiedział patrząc mu w oczy.
- Chyba pan żartuje? – niedowierzał Kazimierski. – Taki ładny zegarek za nic mam wziąć?
- Niech pan bierze bo jeszcze się rozmyśle! – pogroził Orłowski.
- No dobrze, jak dają to biorę, jak biją to uciekam – zgodził się starzec. Włożył Rolexa do kieszeni, podziękował i zajął się cuceniem byka, któremu powoli zaczynała wracać przytomność.

Policja zabrała przestępców na komisariat, Porsche zostało zawieszona na lawecie do firmy serwisowej, Zenon Orłowski wrócił taksówką do domu, a Kazimierski stwierdził, że dostawszy w prezencie złoty zegarek, buhaja już nie sprzeda i zaprowadził go spowrotem do chałupy.

\* \* \*

Szczupłe palce prezesa BykRolu nerwowo bębniły po dużym porcelanowym kubku. Podjęta przez niego decyzja o zwolnieniu jeden trzeciej pracowników została źle przyjęta przez Zarząd Stowarzyszenia. Jednak mając na uwadze jego dotychczasowe osiągnięcia w kierowaniu firmą, nie zastosowano wobec niego żadnych sankcji karnych. Na spotkaniu które odbyło się dziś rano, zapewnił wszystkich członków Zarządu, że wie co robi, i że po chwilowym zachwianiu BykRol prędko stanie na nogi i wkrótce zacznie osiągać jeszcze lepsze wyniki finansowe niż do tej pory. Mimo iż zapewnienie to spotkało się ze sporą dozą sceptycyzmu, nikt nie odważył się otwarcie zaprotestować i wyrazić swych wątpliwości, bowiem Zenon Orłowski niejednokrotnie już zaskoczył Zarząd swoimi nieszablonowymi i uwieńczonymi sukcesem pomysłami. Rozpoczęte w ponurym oskarżycielskim tonie spotkanie, upłynęło w atmosferze umiarkowanego optymizmu. Gdzieś w międzyczasie po uświadomieniu, że sytuacja jest pod kontrolą, ustąpiły niepokój i napięcie. Jednocześnie wzrosły oczekiwania wobec prezesa BykRolu i siłą rzeczy od tej pory każdy jego ruch miał być obserwowany jak pod

lupą. Doświadczony, czterdziestoletni biznesmen musiał się na nowo wykazać i miał na to bardzo mało czasu. Nie po raz pierwszy zresztą.

- Proszę usiąść – Orłowski wskazał wchodzącej do jego gabinetu dziewczynie krzesło naprzeciw swojego biurka. W rękę trzymał jej CV i przelatywał wzrokiem wersy opisujące jej długi kontakt z nauką i krótki przebieg pracy zawodowej. – Jest pani prosto po szkole – zauważył.
- Tak. To moja pierwsza poważna praca – potwierdziła dziewczyna.
- Uniwersytet Warszawski. Wydział Nauk Ekonomicznych i Zarządzania! – gwizdnął cicho pod nosem z podziwu. – No proszę kogo my tu mamy. Zna pani języki obce?
- Tak. Biegłe angielski i niemiecki, trochę gorzej rosyjski – odpowiedziała.

Orłowski pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak można znać tyle języków mając tylko dwadzieścia cztery lata?

- Czym zajmuje się pani u nas firmie? – zapytał patrząc na nią spod czarnych brwi.
- Pracuje na hali – odparła wzruszając ramionami.
- A dokładniej?
- Jako rozbieraczka.
- Hm, a nie myślała pani o czymś bardziej ambitnym? – rozsiadł się w fotelu i z ciekawością przyglądał się małej siedzącej przed nim kruszynie.
- Owszem – potwierdziła dziewczyna. – Ale sytuacja na rynku pracy jest trudna, a poza tym od czegoś trzeba zacząć.
- Słusznie – zgodził się prezes. Odłożył na bok jej życiorys zawodowy i zaproponował: - Co pani sądzi o stanowisku Dyrektora Marketingu w BykRolu?

Dziewczyna spojrzała na niego z zaskoczeniem w oczach. Prezes stroi sobie z niej żarty? Niedawno przyjęto ją do pracy i od razu, będąc jeszcze na okresie próbnym miałyby awansować na dyrektora marketingu? To chyba sen!

- To znaczy ja miałabym objąć tę funkcję? – upewniła się.
- Tak. Dokładnie to mam na myśli – odpowiedział Orłowski zdecydowanie.
- Trochę mi to przypomina bajkę o Kopciuszku... – powiedziała z niedowierzaniem w głosie. – Bajkę – powtórzyła.

Orłowski zabębnił nerwowo palcami po porcelanowym kubku. Wstał z fotela, przespacerował się do okna, zamknął je i wskazał na stos życiorysów, które przyniosła mu kadrowa.

- Bajka o Kopciuszku to nie jest dobre porównanie – mówił, niedbale przerzucając kartki z CV obecnie zatrudnionych pracowników. – Niebawem wejdziemy do Unii. Firma zacznie funkcjonować w międzynarodowym środowisku, a to wymaga zupełnie innych koncepcji marketingowych niż te, które się sprawdzały na rynkach lokalnych. Aby umieć poruszać się w tym świecie trzeba mieć pewną wiedzę – ponownie wziął do ręki jej życiorys. - Studiowała pani zarządzanie w jednym z lepszych uniwersytetów w kraju, zna pani użyteczne z punktu widzenia BykRolu języki obce, poznała pani naszą firmę i branżę. Wśród obecnych zatrudnionych osób, nie znalazłem lepszej kandydatury na to miejsce, a tych których zwolniłem z pewnością nie przyjmę na nowo – mówił mając w wyobraźni moment kiedy po wręczeniu wypowiedzeń wyskakuje z sali konferencyjnej przez okno na hałdę węgla. – Moja propozycja to układ korzystny dla obydwu stron. Więc jaka jest pani decyzja?

To co powiedział Orłowski brzmiało przekonująco. Dziewczyna poczuła jak mocniej zabiło jej serce. Wiedziała, że jest ambitna i że kiedyś zrobi karierę, ale nie spodziewała się, że ten pierwszy wznoszący ją wysoko do góry krok, nastąpi tak szybko.

- Jestem zaskoczona – odezwała się po chwili. – Byłoby błędem odrzucić taką ofertę. Oczywiście, zgadzam się.

Prezes BykRolu spokojnym kiwnięciem głowy zaakceptował ten fakt.

- Zapewne jest pani świadoma, że firma obecnie znajduje się w trudnej sytuacji – przejechał ręką po strapionym czole odrzucił do tyłu kruczoczną grzywkę. – Po wypuszczeniu tej feralnej partii wędlin, która spowodowała masę zatruć, zrezygnowało z nas wielu kooperantów. Mamy poważny niedobór personelu, a to grozi załamaniem się produkcji. Lokalna konkurencja odbiera nam klientów, a ta za granicą – mam na myśli należące do Roithnera zakłady we Wiedniu, zamierza nas wykupić – wstał z fotela i nerwowym krokiem przespacerował się po gabinecie. Wyjrzał przez okno, włożył ręce do kieszeni w spodniach i patrząc z góry na świeżo upieczoną dyrektora marketingu oznajmił: - Ale ja na to nie pozwolę! Musimy nie tylko wyciągnąć firmę z kryzysu, ale spowodować, aby działała ona lepiej niż poprzednio! – podszedł do

biurka. Wsparł się na nim obydwoma dłońmi i mówił dalej. – Działam w tej branży dwadzieścia lat. Popadłem w rutynę i niczego nowego już nie wymyśle. To czego od pani oczekuje, to pomysł! Pomysł na to jak przygotować BykRol, aby przebił się przez konkurencję w Unii i wszedł na tamtejsze rynki.

- To trudne i odpowiedzialne zadanie – zauważyła.
- Z całą pewnością – potwierdził Orłowski. – Daję pani trzy dni wolnego, na przygotowanie swojej koncepcji działania. W Poniedziałek rano widzimy się tutaj ponownie i zobaczymy co pani wymyśliła.

Dziewczyna widząc, że zanosi się na koniec spotkania wstała z krzesła i zapytała nieśmiałym tonem:

- A co z moją pensją? Czy dostanę jakąś podwyżkę?
- Ależ oczywiście, że tak – odezwał się Orłowski zawstydzony, że nie wspomniał o tak istotnym szczególe. – Proponuję połowę pensji na warunkach jakie otrzymał dotychczasowy dyrektor marketingu.
- To znaczy? – zapytała drżącym głosem.
- Dostanie pani siedem tysięcy złotych miesięcznie na rękę, plus premia zależna od wyników finansowych – sprecyzował prezes.

Dziewczyna ukradkiem przełknęła ślinę.

- Do Poniedziałku z całą pewnością coś wymyślę – powiedziała z przekonaniem. Oddaliła się do drzwi i nacisnęła kłamkę.
- Aha jeszcze jedno – zatrzymał ją Orłowski. – Jak pani godność?
- Anna Terlecka.
- Bardzo mi miło.
- Mnie również.

\* \* \*

Kuku, kuku, kuku – rozległo się w ciasnej pracowni zegarmistrzowskiej. Drewniany ptak schował się do środka wiszącego na ścianie zegara i zapadł na godzinną drzemkę. W chwilę potem rozbrzmiał przejmującym „ding dang, ding dang” stary drewniany zegar z dużym widocznym przez zakurzoną szybkę mosiężnym wahadłem.

- Zawsze się spóźnia o godzinę – wyjaśnił ubrany w kraciastą koszulę i dżinsy lekko łysiejący, pięćdziesięcioletni mężczyzna. Wytarł spocone ręce w założony na brzuch krótki granatowy fartuch i usiadł na krześle. – Niech pan to pokaże.

Kazimierski stojąc cały czas na nogach, od momentu kiedy wszedł do środka, sięgnął do wewnętrznej kieszeni w marynarce i wydobyl stamtąd drobny przedmiot zawinięty w płócienną chustkę do nosa. Błysnęło złoto. Stary człowiek położył na stoliku zegarek, który dostał wczoraj od właściciela pięknego czerwonego samochodu i zapytał:

- Ile mogę za niego dostać?

Zegarmistrz zmarszczył brwi i syknął z ze zdumienia.

- O niech cię лихо! Rolex! – podniósł zdziwione chytre spojrzenie na mientolącego w rękach chustkę starca. – Niech pan siada – przysunął stojące przy ścianie krzesło i zapytał ze sztuczną uprzejmością: - Kawy, herbaty?

Kazimierski usiadł i pokręciwszy przecząco głową dał znać, że nic nie chce. Bacznie obserwował ręce właściciela warsztatu.

- Trudno powiedzieć ile jest wart ten Rolex – mówił zegarmistrz. – Widzę, że bransoleta jest ze złota. Na cyferblacie kamienie szlachetne; szafiry chyba – włączył dającą mocną strugę światła lampę i wziął do ręki lupę. – Nie znam się zbyt dobrze na wycenie - z uwagą oglądał starannie wykonaną bransoletę. – Dobra próba złota – zauważył. Rozciągnął zegarek na otwartej dłoni i powiedział. – Mogę się mylić, ale według mnie jest wart około piętnaście tysięcy.
- Piętnaście tysięcy? – Kazimierski drgnął.
- Mniej więcej tyle – potwierdził zegarmistrz. – Ale ja mogę go kupić jeszcze dziś za dwa tysiące – odchylił się na krześle i spojrzał w oczy staremu. – Lepiej Kazimierski sprzedajcie go mnie, bo jak się ludzie dowiedzą, że macie w domu takie чудо, to prędzej nożem pod żebra zarobicie niż jakiego grosza – przestrzegł go. Sięgnął do szuflady w stoliku i wyjął stamtąd pękaty skórzany portfel. – Mogę już teraz wpłacić dwieście złotych zaliczki.
- Nie chce zaliczki – zaprotestował Kazimierski. Prędko złapał leżący na stole zegarek i wsunął go do kieszeni w marynarce. – Za osiem sprzedam. Taniej nie.

Skórzany portfel trafił spowrotem do szuflady.

- Trudno – zegarmistrz bezradnie rozłożył ręce. – Nie ubijemy targu bo więcej nie mam. Ale lepiej posłuchajcie mnie Kazimierski bo ja wam dobrze radzę...
- Pojadę do Warszawy i tam sprzedam – zdecydował starzec. Wstał z krzesła i zapytał: - Ile się należy?

Zegarmistrz machnął ręką.

- Nic – odpowiedział. Wyłączył lampkę i obrzucił starego pełnym podejrzliwości spojrzeniem. – A skąd go macie? Nie kradziony przypadkiem?
- W prezencie dostałem i świadków na to mam – rzekł twardo Kazimierski.

Założył położoną na metalowy wieszak czapkę i popatrzywszy nieufnie na zegarmistrza, wyszedł z ciasnego warsztatu. Gdy znalazł się na ulicy sprawdził, czy w kieszeni znajduje się jej drogocenna zawartość i rozglądając się ostrożnie dookoła ruszył przez miasto w kierunku dworca autobusowego.

W swojej oddalanej o pięć kilometr od Wodziejowic chacie znalazł się dopiero pod wieczór. Umyślnie zamiast dojechać autobusem, cały czas szedł polnymi drogami ponieważ obawiał się, że na przystanku lub w autobusie ktoś mógłby go napaść. W ogóle starał się unikać ludzi i nawet jak widział kogoś idącego tą samą ścieżką to umykał na bok.

„Piętnaście tysięcy złotych!” – nieustannie chodziła mu po głowie myśl głośna jak dzwon. Co chwilę sprawdzał czy wciąż jeszcze ma w kieszeni tą mały złoty przedmiot który był wart więcej niż jego chałupa, byk, cała zagroda i wszystek znajdujący się w niej inwentarz.

„Piętnaście tysięcy złotych!” zamiast się cieszyć, martwił się co zrobi z taką ilością pieniędzy. Cześć pójdzie na leczenie gangreny, ale co zrobić z resztą? Mógłby kupić coś do chaty, ale co skoro przecież wszystko co trzeba już jest? „Piętnaście tysięcy złotych!” wpłaci do banku i będzie trzymał na czarną godzinę, albo wyremontuje dach, albo wykopie staw i ryby wpuści i wieczorami będzie siedział za wędziskiem i łowił, albo sprzeda wszystko i pojedzie do brata w Kanadzie, albo da proboszczowi na kościół i czyścica się wykupi, bo jak tak nieraz sięgnie pamięcią wstecz, to grzechy przypominają mu

się takie, że aż ciarki przechodzą. Nie wiadomo nawet czy te piętnaście tysięcy wystarczy...

Znalazłszy się wieczorem w swej chałupie wszedł do spiżarni i rozejrzał się za miejscem gdzie można by schować zegarek. Był piątek a zamierzał zaraz po niedzieli pojechać pociągiem do Warszawy, bo tam spodziewał się uzyskać najwyższą cenę i spieniężyć ten drogi prezent. A więc chodziło o ukrycie go na kilka dni. Spojrzał na starą komodę. W górnej części przechowywał słoiki kiszonymi ogórkami, marynowanymi grzybami, buraczkami ćwikłowymi, duży gar kiszzonej kapusty i kilkanaście porozstawianych na półkach słoików z innymi przetworami. Wysunął z dolnej części komody szufladę ze jakimiś starymi cuchnącymi ciuchami, zużytymi butami, butelkami po winie i piwie. Przez chwile myślał nad tym, żeby zawinąć w szmatę zegarek i schować go w tej szufladzie. Uzmysłował sobie jednak, że jeśli ktoś będzie chciał go znaleźć, to pierwsze co zrobi, to właśnie wywali na wierzch wszystkie szuflady. Najlepiej ukryć tam, gdzie nikt nie spodziewa. Może ot po prostu zwyczajnie pod doniczką?. Komu przyjdzie do głowy szukać złotego zegarka pod stojącą na oknie doniczką z uschniętym badylem?

Rzeczywiście, jak pomyślał tak też zrobił. Wyjął wartego piętnaście tysięcy złotych Rolexa z kieszeni i umieścił go pod ciężką glinianą donicą i wyszedł z chałupy do sadu, żeby ukosić trawy. Kiedy ostrzył kosę jego wzrok mimowolnie biegł w kierunku okna i padał na donicę. Wydawała mu się ona podejrzenie przekrzywiona, tak jak gdyby coś się pod nią znajdowało. Pomyślał sobie, że coś mu się uroiło bo z tej odległości nie można osądzić czy stoi ona prosto, czy krzywo. Splunął w ręce i zabrał się do koszenia trawy. A jednak dręczył go pewien niepokój gdyż co chwile zerkał w kierunku okna. Od tego zerkania w jego oczach donica spuchła jak dynia i zdawała się stać tak ewidentnie krzywo jak wieża w Pizzie. Odłożył kosę na bok i teraz już popatrzył na chałupę na wprost, a nie tak jak wcześniej z ukosa kątem oka. I rzeczywiście jak się tak wyjdzie z lasu i popatrzy przed siebie, to wzrok najpierw pada na tę wielką donicę, a dopiero później na całą chałupę. Innymi słowy zdawała się ona przyciągać wzrok jak świecący w nocy drogowskaz. Jeśli przyjdzie złodziej popatrzy w okno i pomyśli: „donica stoi krzywo, pewnie Kazimierski włożył pod nią zegarek”.

W końcu starzec doszedł do wniosku, że nie jest to najlepsze miejsce na ukrycie małego kosztownego przedmiotu. Musi go schować tam gdzie nie sięga oko ludzkie. Ale na pewno nie zakopać w ziemi, bo pierwsze co przyjdzie złodziejowi do głowy to: „Kazimierski na pewno zakopał zegarek w sadzie i trzeba sprawdzić, gdzie leży świeża glina”, ani też pod drewnianą podłogą w chałupie bo złodziejaszek będzie rozumował: „ani chybi stary włożył go pod którąś deskę w podłodze bo siedząc w chacie cały czas może go pilnować, a podłoga jest duża i trudno jest znaleźć taką małą rzecz. Trzeba by zerwać wszystkie deski. To idealne miejsce na ukrycie zegarka”.

Głowił się starzec i głowił gdzie by tu ulokować tego Rolmeksa, czy jak mu tam, z powodu którego utracił spokój ducha. Wcześniej kiedy nie miał nic, mógł spać spokojnie bez obawy, że go ktoś napadnie lub okradnie. Teraz kiedy tak szybko i niespodziewanie się wzbogacił lękał się, że to „coś” zostanie mu odebrane i stał się podejrzliwy oraz nieufny. Już samo zachowanie zegarmistrza - konkretnie jego przestrogi - napawały Kazimierskiego dużym niepokojem. Słowa: „ja wam dobrze radzę...lepiej sprzedajcie go mi bo jak się ludzie dowiedzą.. to prędzej zarobicie nóż w żebra”, brzmiały jak autentyczne pogrożki! A do tego jeszcze ta chciwość w jego oczach. O tak! Musiał się dobrze pilnować, bo ludzie dla pieniędzy są gotowi zrobić wszystko, nawet zabić! Stary wyjąwszy złoty zegarek spod donicy rzucił na niego niechętnie spojrzenie i pomyślał, że póki co to ma z jego powodu więcej utrapienia niż radości. Ale to mogło się jeszcze zmienić...

Siedząc na ławce przed chatą wpadł na olśniewająco proste rozwiązanie: ukryje ten skarb w... swoim wielkim byku! Pomysł ten, w pierwszej chwili bzdurny i niedorzeczny, po głębszym przemyśleniu okazał się mieć trzy sensowne i mocne strony: po pierwsze nikomu nie przyjdzie do głowy żeby tam szukać złotego zegarka, po drugie do groźnego zwierza nikt nawet nie odważy się podejść, po trzecie byk wydali go po niedzieli, akurat wtedy kiedy otwarte już będą sklepy jubilerskie.

Kazimierski gratulując sobie pomysłowości poszedł do obory i odszukał blaszane wiadro w którym raz na kilka dni podawał bykowi paszę. Najpierw musiał przygotować metalowy przedmiot do odbicia długiej drogi przez układ pokarmowy zwierza. W tym celu zawinał



zegarek w mały foliowy woreczek zawiązany na gumkę wyciętą z dętki do roweru. Nasypał paszy do wiadra i postawił je pod nos roslému buhajowi. Ten zaczął od razu jeść swój przysmak, którym niestety jego właściciel nie obdarzał go zbyt często. Najwyraźniej wyczuł w paszy twardą grudę, bo na chwilę wytrzeszczył oczy i cicho zamuczał. Nie wypluł jej jednak z mordy, lecz podniósł do góry wielki łeb i przełknął ją do swej gardzieli. Kazimierski obserwował to z zadowoleniem. Kiedy byk zjadł całą paszę, w drugim wiadrze przyniósł mu wody ze studni i postawiwszy je przy źłobie wyszedł z obory. Późną nocą położył się spać. Wydawało mu się, że słyszy jakieś kroki, jakieś głosy, ale to chyba tylko z przemęczenia...

\* \* \*

Zwisający na grubej linie mosiężny żyrandol, w którym tkwiło dziesiątki, a może nawet setki lampek kształtem przypominających świeczki, kołysał się wolno i majestatycznie nad przestronną widownią Teatru Wielkiego. Powietrze rozbrzmiewało ariami i muzyką orkiestry symfonicznej. Miękki kobiecy alt przeplatał się ze zdumiewającym czystością głosu tenorem, do których czasem dołączał się chór. Na scenie żwawo przemieszczały się postacie góralek i górali ubranych w malownicze stroje ludowe. Na deskach Teatru Wielkiego toczyły się kolejne akty opery „Halka”.

Zenon Orłowski siedząc obok swej żony w jednym pierwszych rzędów, śledził co dzieje się na scenie i co chwilę rzucał krótkie spojrzenia na starszego, ubranego czarny frak dyrygenta. Przyglądał się mu z zazdrością; ludzie którymi kierował ten człowiek przychodzili tutaj dla przyjemności, dla pokazania światu swego talentu i umiejętności, za co oprócz wynagrodzenia pieniężnego otrzymywali także brawa publiczności. Pomyślał sobie, że dyrygent ma ułatwione zadanie ponieważ znajduje się przed nim gotowy i napisany plan działania w postaci nut, on zaś jako prezes firmy musiał ten nuty najpierw napisać, a następnie spowodować aby cały zespół zechciał je zagrać.

Kurtyna oparła. Zapaliły się światła. Rozpoczęła się pierwsza przerwa między aktami. Orłowski wykorzystawszy tę sposobność przeprosił żonę i udał się do toalety. Na korytarzu rozlegał się gwar rozmów. Elegancko ubrani ludzie przechadzali się i z zainteresowaniem oglądali rzeźby i obrazy czasem czytając

umieszczone obok nich opisy. Dużo przestrzeni, marmurowe posadzki i schody, kryształowe żyrandole – wszystko to sprawiało wrażenie niezwykłości i niecodzienności.

Znajdował się obok szatni kiedy zaczęło go dwóch ubranych w czarne garnitury mężczyzn. Jeden z nich zastąpił mu drogę i zapytał:

- Pan Zenon Orłowski?
- Ta... – odparł niepewnie.
- Proszę z nami – mężczyzna znacząco odchylił połą marynarki i pokazał czarną rączkę pistoletu.
- Co to ma znaczyć? – potoczył wokół dramatycznym spojrzeniem. Nikt na nich nie zwraca uwagi. Szatniarka czyta gazetę. Co to za jedni? Wołać pomocy? Nie! – Kto was przysłał?
- Dowie się pan w swoim czasie – odpowiedział wysoki jegomość. – Idziemy!

Ruszyli przez przestronny hol. Dwóch rośliwych mężczyzn po bokach i nieco niższy od nich Orłowski pośrodku. Z boku wyglądało to tak jakby był VIPem, a ci dwaj stanowili jego osobistą ochronę. Wyszli z gmach teatru na obszerny dziedziniec. Poczł podmuch ciepłego letniego powietrza. Szli przez plac w kierunku parkingu. Tuż przy drodze czekała na nich długa czarna limuzyna. Idący po prawej stronie dżentelmen w garniturze otworzył mu drzwi i ruchem ręki wskazał aby wszedł do środka. Orłowski spodziewał się, że już w samochodzie spotka osobę, która w tak drastyczny sposób zabiegała o spotkanie z nim. Jednak w limuzynie znajdował się tylko szofer. Obstaw zajęła miejsca tyłem do kierunku jazdy a on usiadł na szerokiej skórzanej kanapie mając widok na przód samochodu. „Porywacze” – tak ich nazywał w myślach nie okazywali oznak agresji, co więcej starali się nawet zagwarantować mu minimum komfortu w tej trudnej i niewygodnej dla niego sytuacji. Zapytali czy czegoś się napije, ale odmówił. Limuzyna ruszyła spod teatru i skręciła w lewo mijając oświetlony reflektorami Ratusz z prawej strony. Szofer prowadził samochód w kierunku Centrum.

- Gdzie jedziemy? – zapytał Orłowski, wcale nie będąc pewny czy uzyska odpowiedź.
- Do Mariottu – mruknął siedzący naprzeciw niego elegancki goguś.

Po kilkunastu minutach jazdy czarna limuzyna zatrzymała się przed wejściem do górującego nad centrum miasta hotelu. Człowiek z obstawy energicznie wysiadł na zewnątrz, otworzył drzwi i

przetrzymując je za klamkę dał znak Orłowskiemu, żeby opuścił samochód.

Szli prędko przez obszerny hol. Minęli recepcje i zbliżali się do wind. „Porywacz” – ten który pogroził mu rewolwerem w teatrze, widząc przy nich małe zgromadzenie oczekujących zdecydował:

- Pójdziemy po schodach. To tylko drugie piętro.

Dostali się do klatki schodowej i ruszyli w górę. Orłowski był w Mariocie po raz pierwszy, ale ze zrozumiałych względów nie przyglądał się otoczeniu. Pędził prędko po schodach. Prócz niepokoju czuł również niepohamowaną ciekawość, kto zadał sobie tyle trudu, aby go tu ściągnąć i to w taki sposób.

Wyszli na drugie piętro. Ludzie z obstawy poprowadzili go do restauracji. Tuż przy wejściu siedzi muzyk i gra na wiolonczeli. Wchodzą do środka. Kilkanaście stolików, kilka z nich zajętych przez dwu – trzyosobowe grupy gości. Szczupły kelner przyjmuje zamówienie od dwóch siedzących tuż przy wejściu kobiet. W dali siedzi samotnie mężczyzna w białej koszuli. Elegancko ubrani panowie idą w jego kierunku. Mężczyzna na widok Orłowskiego w asyście swych ludzi wstał i wyszedł kilka kroków naprzeciw.

- Dzień dobry, panie Zenonie – wyciągnął przyozdobioną w sygnet z rubinem rękę na powitanie. – Przepraszam, że tak brutalnie pana potraktowałem, ale musiałem to uczynić ze względu na zaistniałe, niezależne ode mnie okoliczności – mówił dobrą polszczyzną, ale z mocnym amerykańskim akcentem. - Nazywam się Albert Malinowski – przedstawił się z miłym uśmiechem na twarzy.

- Jakie okoliczności? – zapytał Orłowski z wyraźnym niepokojem w głosie. Machinalnie uściśnął miękką dłoń i spojrzał w oczy zagadkowemu mężczyźnie. Ten charakterystycznym niedbałym ruchem ręki spławił swych dwóch groźnych goryli. Ci oddalili się pośpiesznie od stolika i wyszli z restauracji.

- Mój samolot odlatuje za kilka godzin – mówił Malinowski siadając na krześle. – Interesy wzywają za ocean. Stąd ten pośpiech i brak czasu na umawiane spotkania.

- Nadal nie tłumaczy to porwania mnie z teatru!

- Owszem, ale tłumaczy je pewien układ jaki chciałem z panem zawrzeć... – rzekł nalewając czerwone wino do dwóch smukłych lampek. – Jako z prezesem podupadającej firmy – dodał z przekąsem. – Proszę usiąść – wskazał krzesło naprzeciw.

- BykRol jest w stanie przejściowego kryzysu a nie jakąś podupadającą firmą! – zaprotestował Orłowski. Usiadł na krześle, odsunął od siebie lampkę z winem i zapytał: - O jakim układzie mowa?
- Prowadzę interesy w Stanach, ale z uwagą śledzę to co dzieje się z gospodarką w Polsce – położył łokcie na stole i oparł dłoń o dłoń tak, że palce tworzyły daszek. Znad tego daszku uważnie obserwował twarz rozmówcy. – Powszechnie wiadomo, że Austriak Hans Roithner, zamierza zainwestować pewien kapitał, w masarnie należące do Stowarzyszenia. Ale posiadam bardziej szczegółowe informacje pochodzące z dobrze zorientowanych źródeł – odchylił się na krześle, napił się wina i ciągnął dalej: - Tak naprawdę Roithner chce wykupić tylko BykRol bo jest to jedyny zakład nie wymagający modernizacji i posiadający nowoczesną linię produkcyjną – posłał do Orłowskiego żartobliwy uśmiech. – A pan zapewne źle znosiłby takie szefostwo, każące lubiącemu niezależność człowiekowi jakim pan jest, chodzić z precyzją Rolexa? – uśmiechnął się ironicznie. – Widzę, że nawet go pan nie nosi...
- Do czego pan zmierza? – zapytał prezes BykRolu pomijając milczeniem fakt, że ten Albert Malinowski pojawiwszy się jak Filip z konopi dysponował tak drobiazgowymi informacjami. Wiedział nawet, że Austriak podarował mu Rolexa! –Wspomniał pan o jakimś układzie? – zagadnął.
- Dokładnie – potwierdził Malinowski. – Ja jestem Polakiem, pan jest Polakiem. Po co mamy dopuszczać do koryta szwabską świnie?
- Ehe? – mruknął Orłowski z zaciekawieniem.
- Proponuję, żebyśmy założyli spółkę i wykupili tę firmę – dotarł Malinowski do sedna sprawy.
- BykRol? Według moich szacunków jest wart około dwóch milionów złotych. Myślałem o tym, ale nie stać mnie nawet na piątą część – powiedział szczerze.

Rzeczywiście mając na uwadze jak wysoka rotacja występuje na stanowiskach prezesowskich, przemyślał nad zakupieniem BykRolu na spółkę z kilkoma lokalnymi przedsiębiorcami. Jednak kapitał, który byli w stanie zgromadzić nie osiągał nawet połowy wartości zakładu. Poza tym, jeszcze kilka miesięcy temu Stowarzyszenie absolutnie nie zgodziłoby się na sprzedaż tej kury znoszącej złote jajka. Jednak jak

widać w biznesie sytuacja często ulega nieoczekiwanym zmianom. Ale jak wejść w układ z człowiekiem posługującym się gangsterskimi metodami, na dodatek zupełnie nikomu, przynajmniej tutaj w Polsce, nieznanym?

- Mnie również nie stać – przyznał się Malinowski. – Ale to pan kieruje firmą i przy „sprzyjających” okolicznościach za pewien czas jej wartość mogłaby być znacznie mniejsza. Wie pan co mam na myśli?
- Malwersacje – Orłowski nazwał rzecz po imieniu. – Na to nie pójdę.
- Malwersacja, malwersacja – zachnął się Albert Malinowski machając ręką jakby chciał odpędzić brzydki wydźwięk tego słowa. - Raczej błędy w kierowaniu firmą. Każdy może się mylić. „Nobody is perfect” – jak to mówimy w Ameryce.

Prezes BykRolu gwałtownie wstał z krzesła. Machinalnie poprawił grzywkę, która nasunęła mu się na czoło.

- W Polsce mówimy „Temu panu już dziękujemy” – powiedział szykując się do odejścia. Rozejrzał się dookoła i zauważył, że ludzie ze ludzkiej obstawy stoją przy drzwiach.

Albert Malinowski wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na stoliku.

- Nie zatrzymuję pana. Radzę się dobrze zastanowić – wstał i wyciągając przed siebie rękę na pożegnanie. – Czy zatrudnienie młodej dziewczyny po studiach w charakterze dyrektora marketingu nie było jednym z owych błędów, który może okazać się katastrofalny w skutkach?
- Zobaczymy – odparł Orłowski. Nie podniósł wizytówki. Odwrócił się i podążył ku wyjściu z restauracji.
- Moi ludzie pana odwiozą! – zawołał za nim polsko-amerykański przedsiębiorca.
- Dziękuję. Wrócę taksówką! - nawet i ta propozycja została odrzucona.

\* \* \*

Albert Malinowski, Albert Malinowski – chodziło mu po głowie. „Kimże u licha jest ta zagadkowa postać?” - rozmyślał wracając późną

nocą z Warszawy do Wodziejowic swym naprawionym kilka dni temu Porsche. Zdumiewało go, że człowiek ten był w posiadaniu tak poufnych informacji do których miała dostęp ograniczona grupa osób. Skąd wiedział o Rolexie? Być może działa na zlecenie Hansa Roithnera, któremu zależy na obniżeniu wartości BykRolu przed jego zakupieniem? Niewykluczone. Malinowski musiał mieć swoich informatorów w firmie ponieważ o awansie tej nowej pracownicy na dyrektora marketingu wiedziało tylko trzy osoby on – prezes, kadrowa no i ta dziewczyna, jak jej tam Anna Terlecka bodajże. Oficjalna informacja o zajęciu przez nią dyrektorskiego stanowiska miała zostać podana do wiadomości dopiero w poniedziałek. Ale jak widać plotki roznoszą się bardzo szybko.

Kiedy dojeżdżał już do Wodziejowic zadzwonił Hans Roithner. Przełączył go na zestaw głośno mówiący. Austriak głosem swej tłumaczki beształ go bezlitośnie:

- Co pan tam wyprawia? Zwolnił pan połowę pracowników! To karygodny i niewybaczalny błąd!
- Póki ja kieruję tą firmą nic panu do tego! - odparował Orłowski. – Poza tym wiem co robię. Sytuacja jest pod kontrola – dodał nieco łagodniej świadom, że data zakupu BykRolu przez Roithnera może okazać się także datą ostatniego dnia przesuwania w tej firmie.
- Natychmiast zatrudnić ich z powrotem i uruchomić produkcję! – rozkazywał austriacki przedsiębiorca. – Nie zamierzam topić pieniędzy w bankrucie!
- Produkcja cały czas działa, a moim celem jest sukces a nie bankructwo! – odpowiedział z przekonaniem. – Mam już ustalony plan działania.
- Bardzo dobrze. To mi się podoba – pretensjonalny ton znikł z głosu Austriaka. – Przylatuję do Polski za kilka dni. Zamierzam odbyć z panem kilka spotkań. Mam nadzieję, że Rolex dobrze panu służy i że notoryczna spóźnienia nie będą już miały miejsca?
- Kiedy można się pana spodziewać? – zapytał wymigawszy się odpowiedzi na niewygodne pytanie.
- W poniedziałek po południu – Austriak zaszwargotał coś po niemiecku i dodał kończąc rozmowę
- W takim razie do zobaczenia!

- Do widzenia – odpowiedział Orłowski. Przerwał połączenie i zwrócił się do swej jadącej obok niego żony: - Sama widzisz Krysia z kim ja musze pracować...

\* \* \*

Kazimierski niespokojnie przewracał się na boku na bok. Albo mu się wydawało, albo rzeczywiście słyszał jakieś głosy w sadzie. Przestraszył się, że zegarmistrz – bo jak na razie tylko on wiedział, o Rolexie nasłał na niego zbirów, żeby odebrali mu zegarek. A może się wygadał i ktoś inny podjął inicjatywę obrabowania go z drogiego prezentu? W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe...

Usłyszawszy jakiś podejrzany odgłos, powoli wstał z łóżka i schyliwszy się nisko podszedł do okna. Spomiędzy glinianych doniczek obserwował sad. Rąbek księżycy oświetlał świat swym srebrzystym światłem. Kazimierski przebiegał wzrokiem między pniami drzew. Nikogo tam nie zauważył a byłby przysięgł, że odgłosy rozmowy, które słyszał jeszcze przed chwilą dobiegały właśnie z sadu. Akurat teraz na złość nastąpiła cisza. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i obserwować otoczenie za oknem co najmniej przez kilka minut. Od kucania zdrętwiały mu nogi, usiadł więc na zabranym z kuchni taborecie. I rzeczywiście nie mylił się: po kilku minutach w głębi sadu dostrzegł podnoszącą się z ziemi sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Postać ta szła między drzewami i zmierzała w kierunku chaty. Z ust tego człowieka wydobywał się niezrozumiały bełkot. Kazimierski z większą uwagą wodził wzrokiem między drzewami – może jest ich tam więcej? Nikogo jednak nie zauważył. Tymczasem postać zbliżyła się do chaty i przeszła obok okna. Wkrótce rozległo się łomotanie do drzwi.

Starzec poszedł do sieni i odszukał między gratami siekiere. Łomot do drzwi nasilał się. Zapalił światło na dworze i trzymając w ręce siekiere zawołał:

- Kto tam, do licha?

- To ja Antek Świder! – usłyszał odpowiedz.

Znał Świdra bardzo dobrze. Był to mechanik, który wcześniej pracował w kółku rolniczym, ale został zwolniony za pijaństwo. Później nigdzie nie znalazł pracy. Mimo, że był zdolnym mechanikiem, klepał wieczną biedę ponieważ wszystko co zarobił to

niemal tego samego dnia przepijał z kolegami od flaszki. Żona nie chciała go pijanego wpuszczać do domu, więc włóczył się po wsi i nocował w kopach siana, stodołach, starych opuszczonych ruderach. Dziś zawitał w progi starego Kazimierskiego.

- Co chcesz? Do chałupy cię i tak nie wpuszczę! – stary podejrzewał, że Świder może wiedzieć o zegarku i przyszedł tu z zamiarem odebrania go. Pomyślał sobie jak to mądrze zrobił, że dał go do połknięcia swojemu bykowi. Tam nikt go nie znajdzie!
- Jak nie w chałupie, to chociaż w stodole na sianie pozwólcie się przenocować – wołał Świder. – Dzisiaj w nocy rosa zimna na trawie. A wiecie że ja niepalący to stodoły z dymem nie puszcze.

To co mówił brzmiało bardzo wiarygodnie. Kazimierski odłożył siekiere i rzekł pojednawczym tonem:

- Prześpij się Świder na sianie, bo na gołej ziemi można dzika złapać. Tylko jaj kurzych nie ruszaj bo nie mam nic do jedzenia na rano.
- Dziękuję wam! – powiedział Świder i poszedł do stodoły.

Stary ze strachu o zegarek nie mógł w ogóle spać. Zasnął dopiero bladym świtem. Obudził się w samo południe i czując głód od razu poleciał do stodoły żeby zebrać jaja na jajecznice. Świdra już tam nie było, został po nim tylko dół w sianie w miejscu gdzie spał. A jaja w kurzych gniazdach a jakże wypite! Tylko skorupy po nich zostały. I weź tu zaufaj pijanicy!

W południe przed chałupę przyjechał pan Orłowski swoim pięknym czerwonym samochodem. Wsiadł ze środka obszedł wóz dookoła żeby sprawdzić, czy na wskutek jazdy po polnej drodze nie pojawiły się rysy na błyszczącym lakierze. Najwidoczniej oględziny wypadły pomyślnie gdyż odezwał się przyjaźnie do stojącego na podwórku Kazimierskiego:

- Jak zdróweczko?
- Może być – stary machnął ręką, nie chcąc się rozwodzić na temat swych problemów zdrowotnych.

Orłowski podszedł do niego, przywitał się i powiedział:

- Widzicie Kazimierski sprawa jest dość niewygodna, bo ten zegarek co wam go na drodze dałem jest mi teraz pilnie potrzebny – mówił z zakłopotaniem. – Wiem, że nie powinienem tego robić, ale muszę go odzyskać spowrotem, bo to był prezent, a osoba od której go



dostałem byłaby bardzo niezadowolona, gdyby okazało się, że nie noszę go przy sobie – wyjaśnił widząc jak staremu robi się smutno.  
– Ale słowo się rzekło! W zamian dam wam coś innego o równej wartości – dodał mówiąc przekonująco.

Rozległo się muczenie byka. Starzec skinął na swego szacownego gościa, żeby ten poszedł z nim do obory. Weszli do środka i uderzyła ich woń gnoju i słomy. Kazimierski wskazał ręką na wielkiego buhaja, który przeżuwając siano patrzył na nich swoimi ślepiami.

- Bałem się, że zegarek mi ukradną więc ukryłem go w żołądku swojego byka – oświadczył.
- Jak to? Połknął go?
- Tak.

Prezes BykRolu uderzył się ręką w czoło.

- Panie Kazimierski, ja muszę mieć ten zegarek w poniedziałek rano!  
– krzyknął zdenerwowany. Wybiegł z obory i zatrzymał się przy swoim samochodzie. – Zaraz przyślę ciężarówkę! Zabieram ten zegarek razem z bykiem! – wsiadł do środka i mocno trzasnął drzwiami. - A wy przyjdźcie do mnie w przyszłym tygodniu, to się dogadamy!

Uruchomił silnik, zawrócił na podwórku i odjechał polną drogą w stronę wioski.

Rzeczywiście po godzinie przyjechała ciężarówka do przewozu bydła. Byk jednak jakby wiedząc co go czeka, wcale nie zamierzał opuścić obory; wierzgał nogami, rzucał się na boki, ryczał głośno. Dopiero po zastrzyku uspokajającym, jak potulny baranek, dał się bez żadnego oporu wprowadzić na platformę. Samochód odjechał a Kazimierski zmarkotniał. Dziś wieczorem znajomy chłop ze wsi miał przyprowadzić jałówkę do krycia. Skonstatował, że on - stary chytrus - połakomiwszy się na drogi prezent, nie ma teraz ani zegarka, ani byka i nawet nie zarobi stu złotych za krycie. A do renty daleko...

\* \* \*

Czekał na nią na przystanku. Przyjeżdżała codziennie autobusem o godzinie ósmej czterdzieści i szła kilkadziesiąt metrów do bramy zakładów mięsnych. Nie zauważała go, chociaż nie; kiedyś popatrzyła na niego z uśmiechem. Ale co ten uśmiech wyrażał? Co wyrażało to smutne spojrzenie? Może myśl, że marnuje się młody człowiek; stacza

się na dno, wpada w alkoholizm, rozbija sobie życie, z dnia na dzień stając się co raz większym zerem? A przecież mogło być inaczej. Jednak życie potoczyło się w innym, niepożądanym kierunku. Może tylko dlatego, że nie miał z kim porozmawiać? Zabrakło asekuracji, zrozumienia, w życie wkradła się samotność i sięgnął po środek tłumiący wszelkie przykre emocje; alkohol. Skąd jednak ta piękna dziewczyna mogła o tym wiedzieć widząc jedynie efekt końcowy: zapuszczonego, brudnego, śmierzącego brodacza w obdartych ubraniach, siedzącego z posepną miną na ławce. Nie mogła i dlatego nawet jej nie zaczepiał, ale przychodził tutaj codziennie popatrzeć, jak idzie do pracy. Być może kiedyś miałby jakieś szansę, lecz teraz była dla niego nieosiągalna. Mimo tego przychodził tutaj bo była mu nadzieją, chwilowym radosnym zjawiskiem w całej reszcie szarego dnia.

Widząc, że dziewczyna znikła w bramie, wstał ciężko z ławki i podreptał w kierunku parku, gdzie czekali na niego „koledzy”.

Terlecka przeszedłszy przez bramę zakładu, przywitała się z portierem i rzuciła krótkie spojrzenie na dwa Harleye stojące tuż przed budynkiem, w którym mieściły się biura. Ciekawiło ją kto na nich przyjechał. Na odpowiedź nie musiała długo czekać: po wejściu na drugie piętro natknęła się na swego szefa: prezesa Orłowskiego, który ucieszył się na jej widok i poprowadził ją w kierunku sali konferencyjnej. Przez lekko uchylone drzwi widać było dwóch siedzących naprzeciw siebie murzynów. Wyglądali na znudzonych i zniecierpliwionych. Przed nimi stały filiżanki z kawą, której w ogóle nie pili.

- Dobrze, że pani już przyszła – odezwał się Orłowski z westchnieniem ulgi. – Ci dwaj czarni dżentelmeni to przedstawiciele firmy General Food Corporation z siedzibą w Kalifornii. Niestety nikt nie zna angielskiego, więc czekaliśmy z niecierpliwością na panią – strzelił wesoło palcami i dodał: - Ci dwaj murzyni, to znaczy Amerykanie – poprawił się - to są właśnie przebłyski nowych czasów. Zatrudnienie pani na stanowisku dyrektora marketingu, to świetny pomysł! Stary dyrektor nie znał angielskiego, a jak widać będzie nam taka znajomość potrzebna, gdyż oni mówili o „koperejszyn”, co chyba oznacza współpracę, tak?

- Dokładnie – potwierdziła dziewczyna. – To szansa, którą należy wykorzystać.

Prezes nie wprowadził jej od razu do sali konferencyjnej, lecz pociągnął do swojego gabinetu.

- Zanim zacznie pani z nimi rozmawiać, proponuje abyśmy dopełnili formalności i podpisali nową umowę o pracę – mówił idąc szybko wzdłuż długiego korytarza. Popatrzył na swój elektroniczny zegarek i powiedział: - Co za dzień! Po południu przyjeżdża Hans Roithner
- Ten Austriak?
- Tak. Ten austriacki spasiony wieprz, ze swoim prosiaczkiem u boku! – rzekł z irytacją. Zatrzymał się niespodziewanie w miejscu. – A co z pomysłem? Wpadła pani na jakies koncept przez te trzy dni?

Anna Terlecka spoważniała.

- Konsultowałam się ze swymi znajomymi ze studiów i doszliśmy do wniosku, że należy wprowadzić zupełnie nowy produkt – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Coś czego nie mają w ofercie inne masarnie.
- Prawdę powiedziawszy nie jest to zbyt odkrywcze – w tonie głosu Orłowskiego dał się wyczuć wyraźny zawód. – Liczyłem na bardziej konkretne i realne rozwiązanie. Spodziewałem się po pani czegoś więcej – teraz znacznie wolniej szedł w kierunku gabinetu, który mieścił się na końcu korytarza. – Nie dalej niż dwa lata temu wyprodukowaliśmy parówki z indyka. Niestety okazało się, że to niewypał. Nikt ich nie kupował, a my straciliśmy kilkaset tysięcy złotych. To nas wyleczyło z wszelkich nowości na rzecz udoskonalania tego, co z powodzeniem sprzedajemy od lat.
- Nic dziwnego, że przedsięwzięcie to zakończyło się fiaskiem – wzruszyła ramionami Terlecka. – Współczesne podręczniki marketingu mówią, że przed wprowadzeniem produktu na rynek powinno się wykonać badania marketingowe, które sondując gusta klientów pozwolą ustalić jego wygląd i smak oraz kilka innych cech mogących mieć wpływ na sprzedaż.
- Jakich cech? – popatrzył z rozdrażnieniem na tą prawiącą podręcznikowe mądrości smarkule.
- Na przykład cenę – odparła świeżo upieczona absolwentka UW.

- Cenę? No tak rzeczywiście. Ceny zazwyczaj mamy najwyższe – mruknął. Zatrzymał się w miejscu i popatrzył z góry na dziewczynę z groźnym spojrzeniem w oczach. - Co się tyczy badań, to śmie pani twierdzić, że ta hołota, nie zająca się na rzeczy - znaczy się klienci – wiedzą lepiej co jest dobre, niż my ludzie którzy siedzą w branży przetwórstwa mięsnego kilkanaście lat?
- Prawdopodobnie nie wiedzą co jest dobre, ale wiedzą co im lepiej smakuje, a to ma decydujące znaczenie – odparła Terlecka.
- To fakt – musiał się zgodzić wbrew sobie. Położył rękę na klamce do drzwi gabinetu, lecz nie wchodził jeszcze do środka. – Wprawdzie nie zachwyciła mnie pani swym pomysłem, ale badania takie mogą stanowić pewien punkt wyjściowy. Zupełnie nie wiem, jak się do nich zabrać – odpowiedział szczerze. – Nie mamy w tej materii żadnych doświadczeń.
- Badania zleci się specjalistycznej firmie – podpowiedziała rozwiązana dziewczyna ucieszona, że prezes skłania się ku pozytywnemu rozpatrzeniu jej propozycji.
- Ile to może w przybliżeniu kosztować?
- Około piętnastu tysięcy.
- Dobrze. To kwota do zaakceptowania – powiedział otwierając drzwi. – Podpiszmy teraz umowę o pracę. Mam nadzieję, że pani pomysł okaże się trafiony, bo w przeciwnym wypadku za jakiś czas etat dyrektora marketingu znów będzie wolny...

Terlecka mimiką twarzy dała do zrozumienia, że liczy się także i z taką ewentualnością.

Orłowski wszedł do gabinetu i skrzywił się z powodu panującego tam smrodu. Kopnął nogę stertę słomy, która leżała rozrzucona po podłodze aż po same biurko. Z prawej strony pomieszczenia stał przywiązany łańcuchem do kaloryfera byk Kazimierskiego. Pod swym łbem miał chyba z pół kopy siana, a pod tylnymi nogami wielką białą miednicę.

Terlecka stała w progu i zdumiona patrzyła na niego jak ciele na malowane wrota.

- Co tu robi ten byk? – wykrztusiła z siebie w końcu.
- To mój pupilek – odpowiedział Orłowski. – Hans Roithner ma prosiaczka, a ja dorodnego polskiego byka – odwrócił się do siedzącego na taborecie mężczyzny w granatowym ubraniu roboczym. – No i jak? – zapytał z troską w oczach.

- Dalej nic.

\* \* \*

Wysoki, mierzący prawie drwa metry wzrostu mężczyzna czujnym wzrokiem lustrował otoczenie. Był ubrany w czarny garnitur, błyszczące lakierki, białą koszulę i granatowy krawat w prosty, nie rzucający się w oczy wzorek. W prawej ręce trzymał czarny neseser, który został przypięty do przegubu jego ręki policyjnymi kajdankami. Stał w rogu pomieszczenia i przez cały czas spotkania nie odezwał się ani słowem. Również Hans Roithner dla którego pracował, był dziś wyjątkowo małomówny. Nic też dziwnego – przyjechał obejrzeć swoje przyszłe włości, które sporo go będą kosztowały, a prowadzenie rozmów w tej sprawie wymagało skupienia.

Rzeczywiście Zarząd Lubelskiego Stowarzyszenia Przetwórstwa Mięsnego zdecydował się na sprzedanie BykRolu Austriakowi, celem pozyskania środków na rozbudowę i unowocześnienie pozostałych zakładów. Orłowski o tym fakcie jeszcze nie wiedział.

Austriak siedząc za dębowym stołem w obszernym gabinecie Prezesa Zarządu – Adama Cebryńskiego z rutynową ciekawością przeglądał dane dotyczące finansów BykRolu na przestrzeni ostatniego roku. Przystawiały się one bardzo dobrze, a zyski w mniejszym lub większym stopniu rosły z miesiąca na miesiąc. Zanosilo się na to iż niebawem stanie się posiadaczem kolejnej znakomicie funkcjonującej firmy znajdującej się obecnie w stanie przejściowego kryzysu. Niewielki zastrzyk finansów z pewnością spowrotem postawi ją na nogi. Należało się śpieszyć gdyż doszły go słuchy, że BykRolem zainteresowały się również amerykańskie zakłady General Food Corporation. Ci rzutcy Amerykanie mogli mu sprzątnąć tę polską firmę sprzed nosa.

Ponieważ Prezes Zarządu znał dobrze niemiecki, rozmowa prowadzona była w tym języku, bez udziału tłumaczki zatrudnionej na czas wizyty zagranicznego gościa.

- Jeśli oględziny wypadną pozytywnie już dziś wpłacę dziesięć procent ustalonej ceny – powiedział Roithner głaszcząc leżącego na kolanach prosiaczka. – Po to by zadeklarować, że podchodzę do sprawy poważnie.

- To rozsądna i satysfakcjonująca nas propozycja – stwierdził chłodno prezes Adam Cebrzyński. Nie dał po sobie poznać, jak bardzo potrzebne są im te pieniądze. Rachunki za prąd, kary za zanieczyszczenia środowiska, nieopłacone dostawy półfabrykatów i zaległe pensje dla pracowników. Wszystko wali się na łeb. Koszmar!

Austriacki przedsiębiorca spojrział niecierpliwie na zegarek.

- Czy pan Orłowski nie zmienił swojego nawyku spóźniania się? – zapytał patrząc w stronę drzwi. – Jak długo można na niego czekać?
- Przepraszam za mojego pracownika – powiedział Cebrzyński podchodząc do okna. - Coś musiało go zatrzymać. Od pewnego czasu... – przymrużył żartobliwie jedno oko – stał się niezwykle punktualny...

Roithner uśmiechnął się nieznacznie i zdjął z kolan prosiaczka, który położony na podłogę od razu zaczął baraszkować po gabinecie. Machając wesoło krótkim ogonkiem podbiegł do stojącego w rogu pomieszczenia mężczyzny i musnął swym małym ryjkiem nogawkę jego spodni. Ten schylił głowę i kącikiem ust posłał do zwierzaka, smętny wymuszony uśmiech.

Za oknem rozległ się pisk opon gwałtownie hamującego samochodu. Cebrzyński odchylił firankę i wyjrzał na ulicę.

- O wilku mowa – powiedział wychylając głowę przez okno. – Prezes Orłowski jest już na miejscu. Zaraz wyruszamy do Wodziejowic.

Austriak wraz z tłumaczką - wysoką szczupłą kobietą w wieku czterdziestu kilku lat - wstali z miejsca szykując się wyjścia z gabinetu. Mężczyzna trzymający walizkę ruszył w stronę drzwi. Na wysokości klatki piersiowej widać było niewielkie wypukłe odkształcenie materiału. Prawdopodobnie trzymał tam pistolet.

Prezes BykRolu energicznie zapukał do drzwi i od razu wszedł do środka. Nie tłumacząc się ze spóźnienia, przywitał się z Austriakiem eksponując na prawej ręce złotego Rolexa. Podszedł do swego przełożonego Adama Cebrzyńskiego i korzystając, ze tego że Roithner zajął się łapaniem swego pupilka zapytał:

- Przed budynkiem stoją dwa firmowe tiry z zakładów Wien Fleisch Fabrick.. Po co tutaj przyjechały? Czyżby udało nam się podpisać jakiś większy kontrakt na sprzedaż naszych wędlin?

Cebrzyński popatrzył mu prosto w oczy.

- Tiry przywiozły produkty z Austrii, które zostaną rozprowadzone w Wodziejowicach w miejsce luki po towarach z BykRolu – mówił z stanowczością w głosie. – Tak się stanie niezależnie od tego, czy to się panu podoba czy nie.
- Oczywiście, że się nie zgadzam! – zaprotestował Orłowski. – To spowoduje załamanie lokalnego rynku. Austriak wywiezie nam pieniądze, a później być może nikt nie zechce kupować produktów z BykRolu, bo te austriackie mogą okazać się lepsze.
- Jest to prawdopodobne, ale decyzja w tej sprawie została już podjęta – odparł chłodno Cebrzyński.
- Bez mojej wiedzy! – zauważył Orłowski.
- Pan też bez zgody Zarządu zwolnił trzydzieści procent pracowników doprowadzając do zastoju w produkcji – spostrzegł Cebrzyński. – Lukę w towarach należy czymś zapełnić – podszedł do otwartych drzwi przepuścił przed sobą Austriaka, mężczyznę z czarną walizką i tłumaczkę. Gdy schodzili po schodach zwrócił się z pytaniem do zasepionego Orłowskiego: - Kiedy pełną parą ruszy produkcja w BykRolu?
- W przyszły poniedziałek! – odparł ten pewnym siebie tonem. – Przepraszam, muszę zadzwonić – powiedział pozostając kilka kroków z tyłu.

\* \* \*

Antek Świder korzystając z tego, że jego żona wyjechała na urlop, już od dwóch dni spał we własnym łóżku, w wybudowanym przed laty niemal wyłącznie własnymi siłami domu. Pił jednak nadal tak jak poprzednio, a nawet więcej, gdyż kilka dni temu sprzedał na targu pralkę za pół ceny. Po tym incydencie nabrał do siebie takiego niesmaku, że musiał się upić. I pił tak trzy dni z rzędu lecząc kaca moralnego i nie dopuszczając do powstania dokuczliwego kaca fizycznego. Dziś rano był już mocno tą walką zmęczony i niewyspany, a tu nagle bladym świtem zrywa go z łóżka dzwoniący głośno telefon. Otwierając po drodze puszkę z piwem powłókł się do kuchni i podniósł słuchawkę.

- Słucham? – powiedział zaspanym głosem.

- Witam. Prezes BykRolu Zenon Orłowski – usłyszał po drugiej stronie. – Słyszałem, że szuka pan pracy?
- Ehe? – bąknął zdumiony. Tak to prawda, że szukał pracy, ale to było rok temu zanim zaczął ostro pić. Później stwierdził, że w takim stanie i tak go nikt nie zatrudni więc dał sobie spokój z poszukiwaniami. A tu patrzcie go - po roku sam prezes BykRolu do niego dzwoni! Odłożył puszkę na bok i pozwolił sobie na ujście cząsteczce dumy, jaka w nim pozostała z dawnych dobrych czasów kiedy pracował jako świetny mechanik maszyn rolniczych: - Wprawdzie ogłoszenia do prasy nie dawałem, ale jeśli to coś ciekawego, to chętnie się zajmę.
- Zatem od teraz jest pan zatrudniony w BykRolu! O warunkach płacowych porozmawiamy w późniejszym terminie – oświadczył Orłowski. – I już mam dla pana pierwsze zadanie...
- Tak? – mruknął Świder z zaciekawieniem.
- Sprawa wymaga wyjątkowej dyskrecji, czy mogę w tym względzie na panu polegać?
- Pewnie że tak. Gwarantuje że nie puszcze pary z gęby! - rzekł Świder z przekonaniem świadom tego, że normalna praca mogłaby odmienić jego życie. Przestałby pić, zacząłby zarabiać pieniądze, rozwiódłby się z żoną-jędzą a wówczas może ta dziewczyna, na którą zawsze oczekiwał rano o dziewiątej na przystanku autobusowym, popatrzyła by na niego innym bardziej przychylnym spojrzeniem?
- Właśnie takiej osoby potrzebuje! – oznajmił Orłowski. Wziął głęboki oddech i krótko w kilku zdaniach wyłożył szczegóły tajnej akcji, którą należało jak najszybciej podjąć.
- Nie zrobię tego! – zaprotestował poczciwy Antek Świder czując jak włosy na głowie stają mu dęba. – Wsadzą mnie za to do więzienia na parę lat!
- Wczoraj piłem wódkę z komisarzem – uspokajał go prezes. – A w zeszłą sobotę odwoziłem do domu pijanego jak wieprz inspektora. Nic panu nie grozi. Zapewniam!

Antek bił się z myślami. Zgodzić się na to szaleństwo, czy nie? Doszedł do wniosku, że może całe przedsięwzięcie przeprowadzić tak, że jego wina będzie nie do udowodnienia. A propozycja stałej posady w dobrej firmie nęciła go niezmiernie. To tak wiele mogłoby zmienić w jego życiu... Postanowił, że zaryzykuje:



- A pal to lichy! Niech będzie, że się zgadzam!
- Więc do dzieła! – popędził go Orłowski. - Ma pan tylko godzinę czasu!
- Już lecę pogadać z chłopakami z kamieniołomu! Do widzenia!

Rzucił słuchawkę na widełki i szybko opuścił dom w kompletnym zaaferowaniu pozostawiając na kredensie dopiero co otwartą puszkę piwa.

\* \* \*

Długa kolumna samochodów składająca się z jadącego na czele Porsche Carrera, luksusowego Mercedesa oraz dwóch Scanii z przyczepami, na których wymalowano reklamy austriackich zakładów Wien Fleisch Fabrick sunęły wolno szosą do Wodziejowic. Orłowski narzucał irytująco wolne tempo pragnąc dać jak najwięcej czasu działającemu na jego zlecenie człowiekowi. W tej konkretnie sytuacji, każda minuta mogła zadecydować o sukcesie lub niepowodzeniu całej akcji. Poganiany przez Cebrzyńskiego odpowiadał, że jego samochód niedawno wrócił z warsztatu po wymianie silnika, więc przez pewien czas musi jeździć wolno, aby go nie zatrzeć, a poza tym przekraczanie dopuszczalnej prędkości w rejonie często kontrolowanym przez policję może nieść przykre następstwa. Jak na złość jadącej z nim młodej dyrektor marketingu zrobiło się niedobrze; miała mdłości i bóle głowy. W wyniku tych kłopotów musiała spędzić prawie pół godziny w toalecie zajazdu stojącego przy drodze. Na szczęście tę przerwę w podróży wykorzystano na zjedzenie obiadu przez co stała się ona niezauważalna. W efekcie kolumna pojazdów przekroczyła drogowy znak informujący o wjeździe na teren gminy Wodziejowice po upływie półtorej godziny od wyjazdu ze Lublina.

W chwilę potem dojeżdżali już do zabudowań zakładu. Między przydrożnymi drzewami widać było wysoki komin i zabudowania z czerwonej cegły. Nieco na uboczu stał szary budynek, w którym mieściły się biura. Jadące na przedzie kolumny samochody osobowe przejechały przez most i zatrzymały się przed bramą. Kilkadziesiąt metrów za nimi wlokły się tiry. Orłowski oczekując aż stróż podniesie szlaban, cały czas obserwował ich powolny ruch. Pierwszy tir wjechał na most. Kilka metrów za nim podążał następny. Teraz cała nadzieja w miejscowym pijaczku Antku Świdrze! Nie zawiódł! Powietrzem

targnął ogłuszający huk! W potwornym jazgocie giętej stali, rozrywanych prętów, urywanych nitów, zrywanych lin, most na którym znajdowały się dwa tiry zapadł się do rzeki. Ciężkie kontenery łamiąc rosące na brzegu drzewa, rąbnęły z impetem do wody! Głęboka w tym miejscu na dwa metry rzeka zakryła je, porywając rzeczy, które wydobywały się na zewnątrz przez rozprutą burtę jednej z przyczep. Orłowski wyskoczył z samochodu i biegł w kierunku mostu. Za nim podążała zwinna Terlecka, za nią gnał Cebrzyński, a końcu gruby Hans Roithner, który cały czas wołał po niemiecku: „Katastrofa, katastrofa!” Wkrótce wszyscy dotarli nad brzeg wysadzonego mostu. Ujrzeni w dole zatopione w wodzie ciężarówki oraz dwóch stojących na brzegu kierowców, którzy krzycząc coś do siebie, rozbierali się z mokrych ubrań..

Cebrzyński wskazał stojący obok drogowskaz informujący, że przez most mogą przejeżdżać pojazdy o masie do dziesięciu ton. Waga dwóch tirów kilkakrotnie przekroczyła tę krytyczną wartość. Jeśli, Hans Roithner ma mieć do kogoś pretensje, to tylko do swoich kierowców, którzy jadąc przed siebie nie zwracali uwagi na znaki. Austriak milczał z gniewną ponurą miną. W końcu wyjął komórkę i zaczął z niej dzwonić. Orłowski odwrócił się do tyłu i oddalając się od mostu mruknął:

- Nie dla psa kiełbasa, tfu!

\* \* \*

Niestety woda, która dostała się do kontenerów spowodowała, że niewiele znajdujących się w nich artykułów nadawało się do spożycia. Zresztą w czasie akcji wydobywania ciężarówek z rzeki prawie wszystko popłynęło z jej nurtem. Cześć towarów przywłaszczyła sobie kilkunastoosobowa ekipa ratująca, sporo zabrali też „ochotnicy”, którzy zlecieli się tłumnie, aby zupełnie za darmo dopomóc w akcji wydobywania tirów. Austriackimi przetworami nie pogardzili również i strażacy, którzy przyjechali nad rzekę w sile trzech brygad, swoją dolę zabrała też policja drogowa i ekipa z zarządu dróg. Sto metrów dalej za miejscem wypadku rozłożyli sieć „rybacy”. W efekcie, z dwóch po brzegi wypchanych towarami kontenerów ostał się tylko stos sardynek w puszkach, lecz tak mały, że wszystko to zostało zwiezione do BykRolu na trzech taczkach.

Powściągliwość zachował tylko Antek Świder, który kilometr w górę rzeki spokojnie łowił ryby – a jakże; na dynamit!

Roithner, który był przygotowany na to aby już dziś wpłacić dziesięć procent wartości BykRolu, czyli czterysta tysięcy złotych, wycofał się z tego zamiaru oficjalnie twierdząc, że będzie potrzebował pieniędzy na zakup nowych ciężarówek. Prawdopodobnie jednak większą rolę w podjęciu tej decyzji odegrały czynniki emocjonalne niż zdrowy rozsądek, gdyż tiry i znajdujący się w nich towar na pewno zostały wcześniej ubezpieczone i austriacki przedsiębiorca zdawał sobie z tego sprawę, że spora część strat zostanie pokryta przez ubezpieczyciela. Cały czas kipiał gniewem, jak czajnik w którym wrząca woda ma zaraz wsadzić gwizdek. Twierdził z oburzeniem, że jeszcze współpracując żadną inną firmą nie poniósł tak dotkliwych strat jak z BykRolem; najpierw firmował nazwą swoich zakładów wędliny, które wywołały we Wiedniu serię ostrych zatruc, a teraz utracił dwie ciężarówki oraz znajdujący się w nich towar. W zaistniałym wypadku węszył ohydny podstęp ponieważ jak to możliwe, że most stał przez dwadzieścia lat i jak do tej pory z powodzeniem przejeżdżały przez niego ciężarówki, a zawalił się dopiero jak do BykRolu przyjechały dwa tiry wiozące produkty z jego zakładów? Z nieufnością patrzył na Zenona Orłowskiego, którego podejrzewał o dokonanie aktu sabotażu, jednak nie dysponując żadnymi konkretnymi dowodami w tej sprawie, na razie nie mówił na głos o swoich podejrzeniach. Wskutek tych komplikacji, zniechęcony następującymi po sobie niepowodzeniami, odłożył kupno BykRolu na najbliższą przyszłość.

Późnym popołudniem całe grono które przyjechało z siedziby spółki w Lublinie do BykRolu znajdowało się w małej zakładowej stołówce jedząc obiad. Prosiak biegał gdzieś w pobliżu. Nie jadł tylko tajemniczy małomówny mężczyzna, który swoim zwyczajem zajął pozycje w rogu pomieszczenia i trzymając przypięty kajdankami do ręki czarny neseser uważnie obserwował otoczenie. W pewnym momencie Roithner, jakby sobie o czymś przypomniał, odwrócił się do niego i odezwał tylko jednym słowem:

- Klaus!

Wszyscy zgromadzeni za stołem, przerwali jedzenie i z zaciekawieniem czekali na to co będzie się działo dalej. Orłowski

wsunął dłoń pod marynarkę i zacisnął ją na rękojeści pistoletu. Rosły mężczyzna podszedł do stołu, położył na nim neseser. Następnie odpiął kajdanki, schował je do kieszeni i wrócił na swoje poprzednie miejsce. Roithner wetknął do zamka mały klucz, przekręcił go i otworzył neseser. Oczom zaciekawionych osób ukazały się dwie foliowe torebki napełnione jakimś przypominającym kaszę gryczaną specyfikiem oraz plastikowy talerzyk. Austriak bez słowa, otworzył jedną torebkę, wysypał cześć owej „kaszy” do talerzyka i położył go na podłodze obok nogi stołu.

- To jadło dla świnki. Ma alergie prawie na wszystko. Żywi się korzonkami baobabu, które nie są łatwe do zdobycia. Stąd konieczna jest taka ochrona – wyjaśnił i zaczął wołać swojego pupilka.

\* \* \*

Wieczorem, kiedy Hans Roithner i Adam Cebrzyński pojechali okrężną drogą do Lublina, Zenon Orłowski przechadzał się po terenie zakładu i gospodarskim okiem przyglądał się zabudowaniom. W pewnej chwili zauważył starego Kazimierskiego, który szedł wolno biegnącą obok ogrodzenia ścieżką. Machnął do niego ręką i zawołał:

- A czemu nie zgłosił się pan po odbiór nagrody zastępczej, co ja panu obiecałem za tego Rolexa?

Stary przystanął przy siatce i oparł się ręką o metalowy słupek.

- A nie pasuje się tak upraszać – odpowiedział skromnie. – Honor nie pozwala.
- I ja też mam honor! – rzekł Orłowski z dumą. – Jak obiecałem, że nagrodę dam, to dam i basta! – wskazał ręką na prawo gdzie w odległości stu metrów mieściła się brama. – Chodźcie tutaj i wybierzcie sobie co chcecie.

Kazimierski z zakłopotaniem potarł ręką po szyi.

- Skoro się pan taki zdecydowany to ja bym może wziął ten stary parnik, co stoi przy śmietniku – zaproponował skromnie.
- Jak to? – zdumiał się Orłowski. – Złotego Rolexa chcecie zamienić na wyrzucony parnik?
- A bo przez ten zegarek, to więcej utrapienia niż pożytku – wyjaśnił stary przypominając sobie jak przez parę nocy ledwo zmrużył oko z

obawy przed napadem. – Parnik się od razu się przyda do gotowania ziemniaków dla świń.

- Jak pan chce – rzekł zgodnie prezes. – Zaraz powiem kierowcy, żeby go zabrał i zawiózł pod wasz dom.
- Dziękuję! – rzekł Kazimierski. Już szykował się do odejścia, ale przypomniało mu się coś bardzo ważnego: – A co z moim bykiem?
- Byk! – Orłowski otwartą dłonią uderzył się w czoło. – Całkiem zapomniałem! Mam względem niego pewne plany. Czy może mi go pan wypożyczyć na kilka dni?
- Pewnie, że mogę! – zgodził się Kazimierski. – Niech będzie, że go pożyczę za ten parnik. Nie chce niczego tak do końca za darmo.
- Doskonale! Byka też każe panu odwieźć kiedy przestanie mi być potrzebny.

Jeszcze chwilę obydwoj porozmawiali o pechowym wypadku na moście, upałach które doskwierały nieprzerwanie od tygodnia po czym rozeszli się w każdy swoją stronę: Kazimierski podreptał ścieżką w stronę chaty, a Orłowski poszedł do biura, aby zabrać swoją skózaną teczkę, wsiaść do samochodu i ostatecznie pożegnać ciężki dzień w pracy.

\* \* \*

Reperkusje wypadku na moście, w wyniku którego dwa austriackie tiry z zakładów Wien Fleisch Fabrick., pogrążyły się w odmętach przepływającej przez Wodziejowice rzeki, okazały się bardzo nieprzyjemne dla Zenona Orłowskiego. Pomijając fakt iż podejrzewano go o dokonanie sabotażu, pojawiła się fama, że jest to człowiek przynoszący pecha interesom całego Stowarzyszenia. Najpierw zatrucia w Austrii wędlinami z BykRolu, później zupełnie nieracjonalne zwolnienie jednej trzeciej pracowników i zastopowanie produkcji, teraz znowu wypadek na moście do którego doszło w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Decyzja Austriaka o wycofaniu się z kupna BykRolu poważnie zakłóciła plany działalności Stowarzyszenia. Doprowadzony do irytacji Zarząd poważnie rozważał możliwość odwołania Zenona Orłowskiego ze stanowiska prezesa BykRolu. Fakt, że w przeszłości człowiek ten potrafił wykazać się

inicjatywą i obronną ręką wychodzić z tarapatów obecnie niewielu już przekonywał.

Już następnego dnia po incydencie z tirami zebrało się kilkusobowe grono członków Zarządu. Oczywiście osoba, której problem dotyczył bezpośrednio, nie została na to spotkanie w ogóle zaproszona, a nawet o nim nie wiedziała. Orłowski miał jednak swych zwolenników, którzy w wyniku burzliwych sporów zdołali przeforsować pomysł, aby poczekać z tym odwołaniem jeszcze miesiąc. Dać mu szansę, może rzeczywiście się sprawdzi, a w międzyczasie badać sprawę wypadku na moście aby dysponować konkretnymi dowodami, pozwalającymi w sposób rzeczowy zwolnić Orłowskiego.

W tym czasie Anna Terlecka zajmowała się badaniami marketingowymi, które miały na celu opracowanie nowego produktu. Na tym etapie jeszcze nie było wiadomo ani jak ma on wyglądać, ani smakować. Zadecydować o tym miały gusta badanych osób. Rozpisano więc konkurs w regionalnych domach kultury na „Najlepsze nie znane danie mięsne”. Jako że wyznaczono bardzo wysoką nagrodę – sto tysięcy złotych, ludzie ochoczo przystąpili do udziału w kulinarnych zmaganiach.

Rozgotowało się w Wodziejowicach! Wrzało w garnkach i bulgotało w rondlach, skwierczało na patelniach, parowało z baniaków a wonie roznosiły się przeróżne od cudnych, że jak człowiek powąchał, to myślał, że z samej biesiady w raju dochodzą, po tak obrzydliwe, że kiedy go taki smród doleciał, to z miejsca wymiotował.

Stuosobowe jury w skład, którego wchodziłi ludzie o zróżnicowanym wieku i przekroju społecznym przez miesiąc degustowało biorące udział w konkursie potrawy. Oceniono ponad dwa tysiące najrozmaitszych dań np. baran w czarnej porzeczce; pasztet bydlęcy z rodzynkami; kotlet mielony z rabarbarem; uszy wieprzowe gotowane w piwie, płukane w occie, duszone w soku malinowym, nadziewane ryżem, przejechane przez walec żeby miały kształt naleśników, lub banalnie proste; robaki zaparzone nawarem z mięty w śliwce węgierce; itd. Pomysłowość ludzka nie znała granic i obserwując te wytwory samorzutnie nasuwała się myśl „Polak

potrafi”. Jednak w dniu zakończenia konkursu, ze smutkiem stwierdzono, że żadna z ocenianych prac nie spełniła spodziewanych po konkursie oczekiwań. Nic co zgłoszono do konkursu, nie nadawało się do produkcji, a już na pewno nie zapowiadało się na hit w dziedzinie przetwórstwa mięsnego.

I tak piękna idea stworzenia czegoś nowego, zupełnie nieznanego, zakończyła się totalną porażką i rozczarowaniem. Terlecka popadła w rozpacz. Sama nie rozumiała jak kilka tygodni temu mogła być tak naiwna, żeby wierzyć, że uda się wymyślić produkt, który wyciągnie firmę z tarapatów.

Orłowski wiedząc z przecieków jak niepewna jest jego posada na prezesowskim stanowisku popadł w wściekłość. Kazał natychmiast zwolnić Terlecką, a siebie w myślach wyzywał od największych głupców, gdyż to on właśnie zaproponował jej stanowisko dyrektora marketingu i przystał na jej kosztowny i bzdurny pomysł. Teraz tylko patrzeć jak wezwą go do siedziby Stowarzyszenia i wręczą mu wypowiedzenie! Z tej całej złości i frustracji wieczorem po zakończeniu konkursu poszedł do knajpy, upił się i wrócił do domu taksówką na koszt firmy.

\* \* \*

Po zapadnięciu zmroku Kazimierski położył się spać. Nie mógł jednak zasnąć. Przewracał się z boku na bok i myślał skąd by tu wziąć pieniądze na leczenie nogi, która ostatnio co raz mocniej go bolała. Jakieś fatum sprawiało, że byka nie dawało się sprzedać. Dziwna tajemnicza siła nie dopuszczała aby ten piękny zwierz trafił do rzeźni. Ale oprócz byka były też dwie świnie. Można je odchować i zawieść do skupu. Teraz jak jest już parnik, to będą się szybko pasły na gotowanych ziemniakach i brukwi.

Niestety parnik okazał się być zepsuty - w ogóle nie grzał. Musiał go najpierw naprawić za pomocą jakiegoś mechanika. Najlepiej Antka Świdra bo ten pijaczyna zrobiłby to za flaszkę taniego wina. A parę takich flaszek stało w starym kredensie, więc obeszło by się bez żadnych kosztów. Postanowił, że jutro rano poszuka go na mieście i poprosi o udzielenie pomocy w tej sprawie. Jednak los okazał się wyjątkowo pomyślny dla starego człowieka gdyż w parę minut przed

północą rozległo się pukanie do drzwi. Kazimierski wyjrzał przez okno i świetle księżycy zobaczył, że przed chatą stoi nie kto inny jak właśnie jak pijanica i mechanik Antek Świder. Zapalił światło na zewnątrz i zawołał przez drzwi:

- Co jest?
- To ja Antek. Mogę na sianie przenocować?

Drewniane drzwi do chałupy otworzyły się przed nim szeroko.

- A gdzie to tak pasuje gościa na siano posyłać jakby w domu miejsca do spania nie było – powiedział stary. – Chodźcie no Antek do chałupy!

Świder nie był przygotowany na taką miłą niespodziankę.

- Na sianie się przenocuje co wam będę głowę zawracał – odrzekł skromnie.
- Chodź Antek do środka bo chce pogadać z tobą w pewnej sprawie. A i wino jakieś się znajdzie – zachęcał stary.

Antek przestąpił przez wysoki próg i wszedł do sieni. Tuż nad drzwiami paliła się słaba żarówka, która ledwo rozjaśniała zagracone pomieszczenie. Na ścianie obok drzwi wisiało zakurzone i pokryte pajęczynami chomąto, zatknięta za gwóźdź kosa oraz zamocowane na stalowych prętach mocno pordzewiałe brony. Kazimierski podprowadził Świdra parę kroków w głąb sieni gdzie w półmroku widać było parnik, który dziś został przywieziony z BykRolu.

- Chodzi o to żeby tego grata naprawić – powiedział otwierając klapę. – Podłączałem do prądu ale cholera nie chce grzać.

Świder obrzucił parnik oceniającym spojrzeniem. Otworzył klapę, zajrzał do środka, kucnął, przechylił go lekko na bok zaglądając pod spód gdzie mieściła się cała elektryka. Po czym wstał otrzepał ręce i powiedział:

- Za flaszkę wina zrobię.
- Wino mam i to dobre! – pochwalił się stary. – Dwa lata leży w kredensie. „No to już po nim – dodał sobie w myślach. – Jakżeś się tak stary baranie zdradził przed pijanicą to już po winie”. Poszedł do izby, a Świder zaczął grzebać przy parniku. Po chwili Kazimierski wrócił z dużą butelką i dwoma szklankami w rękach. Nalał wina do szklanek usiadł na progu i zaczął się uzalać. – Renta mała, panie Antek, a lekarze drogie. Byk sprzedać się nie chce bo zawsze jak go do skupu prowadzę to się wyrywa i ucieka, to pomyślałem, żeby świnię podtuczyć i sprzedać bo pieniądze na



leczenie nogi są potrzebne – przechylił szklanice i zapytał: - Ile za taką świnie mogę wziąć?

- Ile waży? – mruknął Świder zły, że nie może się skupić na robocie
- A będzie miała z półtora metra, bo to roczna świnia.
- To z tysiąc weźmiecie – odpowiedział Antek . – Idźcie na skup tam wam powiedzą bo ja się nie znam.
- Tysiąc to mało – w tonie starego dało się wyczuć rozczarowanie. – Co najmniej ze trzy potrzebuje.

Świder nic nie powiedział. Położył parnik na boku i trzymając w ręku śrubokręt majstrował przy kostce z instalacją elektryczną. Bardzo słabe światło utrudniało pracę. Sprawdzając czy przewody nie są w którymś miejscu przerwane myślał nad tym co mówił Kazimierski. Napił się wina, które od razu poprawiło jasność umysłu i wpadł na pomysł.

- Kazimierski, przecież wy możecie dostać pieniądze z odszkodowania!
- Jakiego odszkodowania? – zdziwił się starzec.
- Rentę macie to znaczy, że ubezpieczeni jesteście. A więc odszkodowanie w przypadku złamania się wam należy.
- Złamania czego? – zapytał stary drżącym głosem.
- Na przykład nogi – odrzekł Antek. – Albo ręki. Zależy co chcecie.

Kwadrans później Kazimierski leżał częściowo na ławie lewą nogę miał opuszczoną na podłogę a prawą oparł na podstawionym obok ławy krześle. Nogawka spodni została podwinięta do kolana i widać było białą suchą nogę starego.

- To mówisz Antek, że trzy tysiące mi wypłacą? – zapytał ocierając rękawem szarej flanelowej koszuli strużkę potu. Patrzył się w sufit w płaty odpadającej farby i zaciskał rękę na drewnianej łyżce, na której w stosownym momencie miał zacisnąć szczęki. – Czy aby na pewno?

Oparta o ścianę łopata z hukiem zsunęła się na podłogę. Świder podniósł ją przyjrzał się jako potencjalnemu narzędziu do złamania pszczela i napił się wina z butelki. Faktycznie było mocne i szło do łba tak, że już odczuwał zawroty. A jak tak przywali sztychówką w nogę i nie trafi tam gdzie trzeba? Może sam sobie w nogę trafi? Nie no, co to takie wino na niego! Sikacz, a nie żaden mocny trunek! Przecie ostatnio jak opijali pralkę to wyszło po flaszcze wódki na łeb.

Flaszka na łeb i jeszcze na rowerze po piwo do sklepu pojechał! Złamie staremu nogę pięknie jako się patrzy i basta.

- Olcha, ten co pracuje w kołku rolniczym tyle dostał jak mu paleta na nogę poleciała – odrzekł przymierzając się drzewcem łopaty do zadania ciosu. – Tak centralnie przywalę, to ładnie pęknie i bez kłopotu się zrośnie.

Kazimierski okrągłymi ze strachu oczami patrzył się w sufit.

- Daj no Antek tego wina na znieczulenie – powiedział podnosząc do góry tułów. Tam kredensie na samym dole jest jeszcze parę butelek. Podparł się łokciami, podniósł głowę i nieśmiało zaproponował: – Może nie łopata bo jeszcze się złamie, a do węgla mi potrzebna. Szkoda łopaty.

Zapisały otwierane drzwiczki w kredensie. Świder wyjął wszystkie trzy butelki z winem i postawił je na podłodze. Wyciągnął korek zębami i nalał czerwony płyn do szklanki po którą Kazimierski natychmiast wyciągnął drżącą rękę. Wypił całą winą szklankę za jednym zamachem. Wierzchem ręki otarł spoconą twarz i z powrotem położył się na ławce.

- No Antek teraz możesz już łamać – rzekł pokornie pogodzony z losem. – W sieni za drzwiami sto łom. Akurat będzie się nadawał.

Świder wyszedł z izby i po chwili wrócił do niej z grubym, ciężkim łomem. Napił się wina i odstawił butelkę na kuchnie. Trochę nim chwiał ten łom, żeby stary sam nie był już pijany, to pewnie by zauważył jak przy nim tańczy. Ale przecież tylko go raz podniesie i puścić, a to może zrobić nawet po trzech flaszkach będąc kompletnie pijany.

- Wal! Na co czekasz?! – popędził go Kazimierski.

Jeden koniec grubego metalowego pręta zawadził o sufit. Już za chwila miał spaść z impetem na odsłonięty goleń i złamać go kiedy stary dał ręką znać żeby te czynność zatrzymać.

- O co chodzi? – zapytał Antek ciężko sapiąc tak go ten krótkotrwały wysiłek zmęczył.
- Zdejm obrazek ze ściany bo nie chce, żeby Pan Bóg na to całe oszustwo patrzył.

Świder ze zrozumieniem kiwnął głową. Fakt faktem, że to co robili do końca uczciwe na pewno nie było, ale co to znaczy trzy tysiące dla zakładu ubezpieczeniowego? Prawie, że nic, a staremu Kazimierskiemu może to uratować nogę. Uczciwość uczciwością, ale

racja i sprawiedliwość i tak były po ich stronie. Świder zdjął obrazek, położył go na łóżku. Znowu napił się wina i patrząc w jeden; nie już dwa; a nawet trzy; a teraz cztery białe golenie starego podniósł do góry łom i z siłą spuścił go w dół. Usłyszał bolesny krzyk Kazimierskiego i upadł na podłogę. Był już tak pijany, że nie miał siły się podnieść. Leżąc pod ławką zasnął pijackim snem.

Kiedy stary obudził się rano Świdra w izbie już nie było. Na wspartej o krzesło nodze widniał rozległy siniak. Obmacał goleń ręką i stwierdził, że noga raczej nie jest złamana mimo, że bolała go niemiłosiernie. Najwidoczniej skończyło się na stłuczeniu. Wstał z ławki i utykając podszedł do stołu, gdzie w szufladzie miał maść przeciwko tego typu urazom. Zobaczył, że kredens jest całkiem otwarty. W tajemniczy sposób znikł cukier, kawałek słoniny, drzem i drożdże. Znikły również butelki z winem ale łatwo było się domyśleć kto się nimi „zaopiekował”. Wyjął tubkę z maścią, ostrożnie natarł cuchnącą mazią obolałe miejsce i z powrotem wrzucił ją do szuflady. Z jednej strony irytował się na Świdra, że nawet nie potrafił dobrze łomem w goleń przywalić, a z drugiej strony cieszył się, że jego noga nie jest jednak złamana. Postanowił sprawdzić czy ten pijaczyna, który opił go z całego przetrzymywanego na lepszą okazję wina i wyczyścił mu kredens z jedzenia, naprawił chociaż parnik. Wyszedł z izby do sieni i z wrażenia stanął jak wryty. Stojący przy ścianie parnik grzał i huczał, aż podskakiwała gruba blaszana pokrywa. Pokiwał z podziwem głową. To się nazywa dobra robota! Po tym poznasz mistrza, że to co obiecał robi chodźmy się waliło i paliło. Podszedłszy bliżej zauważył, że przy parniku stoi bańka na mleko, do której wpada gumowy przewód. Z bańki tej wystawała szklana rurka z której spływał kropelkami do zielonej butelki po winie bezbarwny płyn. Wokół śmierdziało drożdżami. Stało się jasne, że ten przechera Antek Świder nie tylko naprawił parnik, ale nawet przysposobił go do produkcji bimbrowa! Stary zirytował się na taką niesubordynację. Była mowa o tym, że Świder naprawi parnik tak aby można było w nim gotować ziemniaki i brukiew a nie że robi z niego bimbrownice! „Czekaj no! – pomyślał gniewnie. – Już ty się napijesz samogony aż ci się flaki do góry nogami poprzewracają!”. Przeszedł się po sieni i wydobył z za skrzyni brudny but gumofilcowy. Wrzucił go do gotującego się zaciera z żyta i jabłek. But wpadł do wrzątku i z

miejsca poszedł na dno. Bulgoczący zaczyn ją wydzielać obrzydliwą, cuchnącą woń.

Tymczasem Antek Świder rzeczywiście dostał obiecaną posadę jako mechanik w BykRolu i skoro świt pognął do pracy. Już po siódmej rano ubabrany po łokcie w smarach, zasuwał pod wielką maszyną masarską, która uległa awarii kilka dni temu. Mimo że po raz pierwszy spotkał się z taką maszyną, zdołał ją naprawić w ciągu jednej godziny. Szef zmiany był zachwycony nowym pracownikiem. Usunięcie poprzedniej awarii zajęło autoryzowanemu serwisowi ponad dwa tygodnie i kosztowało pięć tysięcy złotych. Jak widać Świder już w czasie pierwszej godziny pracy zarobił na swoje trzy kolejne pensje.

Okolo dziewiątej za bramę zakładu wjechał swym czerwonym Porsche Carrera Zenon Orłowski. Po tym jak szef zmiany pochwalił Świdra, że już w pierwszych godzinach pracy usnął on poważną awarię maszyny masarskiej, uznanie prezesa dla nowo zatrudnionego mechanika znacznie wzrosło. Zaprosił go do swojego gabinetu, aby porozmawiać o pensji oraz premii za owe ryzykowne zlecenie polegające na wysadzeniu mostu.

- No panie Świder, wiecie że jesteście cennym nabytkiem dla naszej firmy! – mówił podpisując umowę o pracę na okres próbny. – Zupełnie nie rozumiem jak ktoś taki mógł się marnować na bezrobociu...
- I dla mnie to niepojęte, panie prezesie – zgodził się z nim Antek. – Chociaż ja bym tego marnowaniem się nie nazywał, bo nie jedną flaszczkę w wesołym towarzystwie się wypilo.
- Nie cię tylko pijanego w robocie przyłapie, a z miejsca zwolnię dyscyplinarnie! – przestrzegł Orłowski. Popatrzył na niego spod czarnych brwi i zapytał: - A za to wysadzenie mostu co chcesz?
- A niech będzie na flaszkę, panie prezesie – odparł Antek skromnie. – Opiję dziś z kumplami w kamieniołomach tę okazję że dostałem robotę. Jakby mi nie dali dynamitu to bym dziś roboty nie miał – pochylił się nad stołem i przysłaniając usta dłonią szepnął: - A policja na pewno się o tym nie dowie?
- Nie martw się Świder jak będziemy siedzieć to w jednej celi – rzekł prezes.

- Jak to? Przecież była mowa o tym, że ma pan znajomości w policji?! – oburzył się Antek. – Nawet zna pan samego inspektora policji!
- Nie mówiłem prawdy - przyznał się Orłowski. – Ale okoliczności to usprawiedliwiają.

- Jakoś to będzie – machnął ręką z rezygnacją Świder.

Wziął do ręki podpisane papiery i wstał z krzesła. Pożegnawszy się krótko wyszedł na korytarz. Idąc po schodach natknął się na Annę Terlecką. Już na pierwszy rzut oka dawało się zauważyć, że dziewczyna jest wyjątkowo przygnębiona. Świder, poczuł jak mocniej zabiło mu serce. Jest okazja pogadać z obiektem jego marzeń i westchnień. Co powiedzieć? Ach ta cholerna pustka w głowie! Że też właśnie teraz nic sensownego nie przychodzi mu na myśl! W końcu kiedy prawie już mijali się burknął:

- Co pani taka ponura?

Dziewczyna zatrzymała się i popatrzyła na niego smutnymi oczyma.

- Pan jest tym nowym mechanikiem? – zapytała.
- Zgadza się - odparł z dumą. – Nawet naprawiłem już jedną maszynę.
- Słyszałam. Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu – podsumowała Wyszła kilka schodków wyżej i dodała: - Niestety ja na swoim stanowisku pracy nie sprawdziłam się. Właśnie idę do Orłowskiego. Pewnie zaraz wręczy mi wypowiedzenie...

Świder stanął ja wmurowany. Jak to? Robił sobie tyle nadziei z możliwości spotkania tej dziewczyny w pracy a ona mówi, że mają ją zwolnić?

- A to dlaczego? Coś pani zrobiła źle? – dopytywał.
- W pewnym sensie – odpowiedziała niechętnie. – Nie wywiązałam się z ważnego zadania, właściwie nawet misji.
- A co miała pani zrobić? – spojrzał na dziewczynę z zaciekawieniem. – Wiem, że Orłowski ma różne dziwne pomysły. Mnie na przykład kazał wysadzić... – w porę ugryzł się w język.
- Miałam wymyślić nowy produkt – mówiła ze smutkiem w głosie – To był nawet mój pomysł na wyprowadzenie zakładu z kryzysu. Niestety nie udało się opracować nowego produktu, a firma wpakowała się w dodatkowe koszty.

Dał się słyszeć szmer otwieranych drzwi. Orłowski wychodził ze swojego gabinetu. Antek wybiegł kilka schodków do góry i złapał dziewczynę za rękę.

- Chodźmy! Nie może się pani teraz z nim spotkać – pociągnął ją za sobą. Gdy biegli po schodach mówił do niej: - Ja dla pani skonstruuje taką maszynę, że się wszyscy za głowę złapią! Będzie robiła coś jeszcze lepszego niż szynka!

- Ale jak? – wołała przez zadyszkę. – To przecież niemożliwe!

- Co się pani martwi?! Przecież to ja jestem mechanikiem!

Wyszli z budynku na plac. Wciąż trzymali się za ręce. Wyglądający przez okienko na dyżurce portier z zaciekawieniem spojrzął na nietypową parę: Anka Świdra – lokalnego pijanice i wykształconą panią dyrektor marketingu. Co za czasy nastały!

- Lecę teraz do starego Kazimierskiego – powiedział Świder ciągnąc dziewczynę w kierunku bramy. – Tam się jutro zobaczymy!

- A co z pracą? – zapytała. – Nie możesz teraz pójść bo cię zwolnią!

Antek z radością na twarzy wyrzucił w górę papiery z dopiero co podpisaną umową o zatrudnieniu w BykRolu.

- Zwalniam się sam! – wykrzyknął - Praca na etat? To nie dla mnie!

- Wiec i ja idę stąd – zdecydowała Terlecka. – Dziś daję sobie wolne!

Uścisnął rękę dziewczynie i powiedział:

- Do zobaczenia jutro w chacie Kazimierskiego!

- Do zobaczenia!

Po wyjściu za bramę rozeszli się – Świder popędził w lewą stronę w kierunku lasu, aby na skróty dostać się do chaty Kazimierskiego, a dziewczyna poszła w prawo na przystanek autobusowy.

\* \* \*

Niestety mimo najszczęśliwszych zamiarów natychmiastowego zabrania się do roboty, Antek dotarł do chałupy Kazimierskiego dopiero pod sam wieczór. Dochodząc do lasu spotkał kumpla, który podobnie jak on lubił popić. Nie wiadomo skąd znalazła się flaszka wina. A później ruszyli w tango; zaopatrzyli się w „sprzęt” w spożywczym i poszli pić do parku. Wkrótce zleciała się tam cała ekipa miejscowych pijaczków.

Antek cały czas miał nieokreślone poczucie obowiązku. Coś komuś obiecał, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Dopiero jak ktoś wyjął kiełbasę na zagrychę, przypomniało mu się, że do jutra rano ma skonstruować maszynę, która będzie produkowała wędlinę jeszcze lepszą niż szynka. Zerwał się gwałtownie z ławki, pożegnał się z całym zacnym towarzystwem i zataczając się na boki, poszedł drogą do stojącej pod lasem chałupy starego Kazimierskiego.

Leciwy gospodarz miał w zwyczaju kłaść się spać razem z kurami. Toteż gdy Świder znalazł się przed chałupą, światła były już pogaszone, a drzwi zamknięte. Wówczas pomyślał sobie, że nie będzie niepokoił starego człowieka budząc go w nocy, lecz sam wejdzie do sieni, gdzie znajdował się parnik, który zamierzał przerobić na ową maszynę – absolutne novum w dziedzinie przetwórstwa mięsnego. Grube drzwi z desek zostały zamknięte na kłódkę. Sforsowanie ich bez uszkodzenia nie było możliwe. Antek obszedł chatę dookoła i zauważył czarny otwór w ścianie nad stodołą. Tuż nad nią mieściło się boisko służące do składowania siana. Otwór wielkości małego okna miał służyć zapewnieniu prawidłowej wentylacji aby siano nie gniło. Na szczęście Antek po drodze zdołał już nieco wytrzeźwieć gdyż inaczej nie wiadomo jak zakończyłaby się próba wspięcia się po ręcznej młocarni i przedostania się z niej przez okienko do stodoły. Udało mu się bez żadnego kłopotu wylądować na sianie chociaż i tak musiał się namęczyć z wystającym gwoździem, który zahaczył się o pasek do spodni i przez długi czas nie chciał puścić.

Wylądowawszy na sianie, zaczął przedzierać się w kierunku gdzie znajdowała się drabina. Musiał uważać gdyż wokół było ciemno, że choć oko wykol i łatwo mógł upaść z boiska na twarde klepisko w sieni. Idąc na czworaka po sianie odnalazł wspartą o ścianę drabinę i ostrożnie zszedł po niej w dół. Parnik wciąż huczał a wieka pokrywa dudniła i podskakiwała.

Zatem stary Kazimierski musiał zaakceptować fakt przerobienia parnika na małą bimbrownie skoro nie odłączył go od prądu. Na pewno jednak nie bezinteresownie; prawdopodobnie wypił już cały bimber, który skroplił się od rana, bo było powszechnie wiadomo, że i on od kieliszka nie stronił. Świder zapalił światło i ze zdumieniem stwierdził, że butelka w której gromadził się napój księżycowy jest

prawie pełna. Wyglądało na to, że stary w ogóle jej nie tknął. Może się bał, że bimber wypali mu kiszki? Świder takich dylematów nie miał. Złapał flaszkę i pociągnął łyk jeszcze ciepłego napoju. Smak miał dziwny, trochę jakby go było czuć gumą. W sumie nie wiadomo dlaczego bo proporcje składników zostały dobrane tak jak zawsze, czyli na bitwę pod Grunwaldem, a zatem kilogram drożdży, cztery kilogramy cukru i dziesięć litrów wody. Coś mu się mocno w głowie po tej księżycówce zakręciło bo ni stąd ni zowąd wydało mu się, że jest ptakiem. Machał rękoma jakby chciał się wzbić w powietrze, nawet wyłaził na drabinę i trzymając rozstawione ręce zeskakiwał z niej na klepisko. Ale w powietrze i tak nie poleciał mimo, że w wyobraźni pewnie szybował jak orzeł nad Górami Skalistymi. Później znowu złapał za dłuto i siekiere i ją w zapamiętaniu kuć i drażyć ściany z grubych drewnianych bali. Spod jego dłuta ukazywały się ludzkie twarze i zastygłe w bezruchu postaci. Wytrwał w tym transie ponad godzinę. Gdyby znawca sztuki przyjrzał się jego dziełu odkryłby, że ten pijaczyna właśnie odtworzył fragment Kaplicy Sykstyńskiej. Ale Świder już się tym nie interesował. Wypił do reszty bimber i zapamiętaniem rzucił się w stronę parnika.

Przez całą noc z chaty dochodził jazgot i zgrzyty. Coś waliło, tłukło się, warczał jakiś silnik, błyskało się, hurkotało jakież żelazne koło, i coś niemiłosiernie głośno strzelało. W końcu nad ranem wszystko ucichło. Tylko ptaki jakoś tak dziwnie ćwierkały.

A Kazimierski przez całą noc spał kamiennym snem i żadnego hałasu nie słyszał. Obudził się koło siódmej rano, napił kwaśnego mleka i z przyzwyczajenia poszedł do obory. Kiedy wszedł do sieni zdumiał się niesłychanie na widok parnika. Ta cała maszyna, która przedwczoraj służyła do gotowania ziemniaków dla świń, wczoraj do produkcji bimbrowa, dziś rano została tak przerobiona, że wręcz trudno było odgadnąć jej przeznaczenie. Od góry wchodziły do parnika trzy grube rury a u dołu odchodziła jedna i wpadła do blaszanej wanienki. Od spodu wystawały żelazne tryby, zębaki i grube kable. Kazimierski domyślał się, że ta przeróbka to działa Antka, który mimo zamkniętych drzwi dostał się w jakiś sposób do sieni. Na pewno przystosował parnik do produkcji jeszcze bardziej perfidnego napoju alkoholowego niż księżycowa – może nawet koniaku? Tak czy inaczej stary nie zamierzał tolerować tych wybryków lokalnego pijaczka.



Parnik miał służyć do gotowania ziemniaków dla świń, a nie do produkcji wódki dla tego moczymordy Świdra! Złapał za siekiere i już brał zamach, aby uderzyć obuchem w metalowy korpus, kiedy powstrzymał go okrzyk za jego plecami:

- Kazimierski stójcie!

Obejrzał się i zobaczył Antka Świdra biegnącego przez sad. Pijaczyna w jednej ręce niósł reklamówkę, a drugą energicznie wymachiwał i wołał autentycznie wystraszony.

- Nie róbcie tego panie Kazimierski! Nie rozwalajcie parnika!

Stary odwrócił się i opuściwszy siekiere przyglądał się jak Świder w wielkim zaaferowaniu biegnie przez sad. A Antek taszcząc ciężką torbę minął gruszę, pochylił się pod schodzącymi nisko nad ziemię gałęzmi jabłoni i wkrótce stał już przy chałupie.

- Panie Kazimierski, robimy próbę generalną! – oświadczył uroczyście, sapiąc ze zmęczenia. – Gnałem cały czas, aż od spożywczego!

- Jaką próbę? – dziwił się stary. – Co żeś przyniósł? Pewnie cukier na zacier?

- A skądże! – zachnął się Świder. – Dziesięć kilku kaszy gryczanej, dwa kilo mielonki i czosnek do smaku.

- Mnie to nie interesuje! – zezłościł się Kazimierski. – Powiem krótko: świnię chcą zreć! Zrób mi z tego porządny parnik, tak jak był na początku!

- Nie będziecie żałować jak ta cała maszyneria ruszy! – obiecywał Antek. Wyjął z torby reklamówkę wyplenioną kaszą gryczaną, podszedł do skonstruowanej przez siebie maszyny i wsypał całą kaszę do jednej z grubych rur u góry. Do sąsiedniej wrzucił mielonkę, a do kolejnej cebule i czosnek. Wytarł ręce w spodnie i przekręcił włącznik prądu. Maszyna zahuczała, zaczęły wirować tryby, jakaś siła zassała włożoną w rury kasze, mielonkę i czosnek z cebulą. W środku blaszanej beki zakotłowało się. Dobiegła stamtąd fala zapachów surowego mięsa i cebuli. Kazimierski stał pod licznikiem prądu i co chwilę łapał się za głowę na widok wirującego kółeczka. Świder w napięciu obserwował końcówkę blaszanej rury przez którą lada moment miał wydostać się na światło dzienne efekt jego mechanizatorskiego geniuszu. I rzeczywiście po pięciu minutach pracy maszyna wypluła do umieszczonej pod nią misy jakąś gęstą substancję o konsystencji

przypominającej kaszanke. Świder rozgorączkowany pochylił się, nabrał owej substancji do na palec i włożył ją do ust. Niemal natychmiast skrzywił się z niesmaku. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Wypluł czarną papkę na klepisko i rzekł z zawodem w głosie:

- Ech, głupiec ze mnie! – popatrzył z powątpiewaniem na parnik. – Myślałem, że stworzę maszynę, która będzie robiła coś jeszcze lepszego niż szynka, a tu okazuje się, że wychodzi z tego okropne świństwo! Nici z marzeń..

Kazimierski patrzył się na przemian to na czarną substancję w blaszanej wanience, to na skonstruowaną przez Świdra maszynę. Spróbował odrobinę czarnej mazi i po chwili wypluł ją z obrzydzeniem.

- Tego to by się nawet moja maciora nie tknęła – oznajmił z przekonaniem w głosie. – Żadnego pożytku z ciebie Antek nie ma, żadnego! – mówił kręcąc głową z niezadowoleniem. Obszedł maszynę dookoła i powiedział: - Na mój gust trzeba by ten cały zacier posolić i ze trzy jaja wbić, wtedy może coś z tego wyjdzie – posmakował jeszcze raz i stwierdził: - No i koniecznie dodać buraków ćwikłowych.

Antek nie odezwał się. Siedział na progu kompletnie zrezygnowany. Rozwiały się jego nadzieje na skonstruowanie genialnej maszyny, dzięki której spodziewał się podbić serce wybranki. Kompletna klapa, kompletna klapa! Kiedy siedział tak, przygnębiony i zobojętniały, Kazimierski postanowił sprawdzić swój pomysł, żeby dodać do składników jajka, sól i buraki ćwikłowe. Poszedł do kuchni i wrócił po chwili z trzema jajkami i solniczką, po chwili wyszedł na dwór, do piwnicy skąd przyniósł skrzynkę buraków. Poklepał po plecach siedzącego na progu Antka i pocieszył go:

- Nie martw się Świder. Najwyżej przerobisz tą maszynę na porządny parnik, a ja przez kwartał będę ci dawał litr mleka od krowy – wbił do jednej z rur trzy jajka i zabrał się do obierania buraków - Bo wiesz, że jak sprzedam świnie to kupuje krowę. Lekarze mówią, że mleko od krowy dobre na wątrobę.

Antek się nie odezwał. Stracił wiarę w swoje możliwości. Nie rozumiał jak mogło się stać, że ta maszyna nie zadziałała? Wszak jeszcze wczoraj po tym bimbrze miał taką jasność myśli! Wszystko wydawało się takie proste! Z matematyczną dokładnością potrafił

ustalić smak produktu końcowego. A jednak, to nie zadziałało. Coś musiało zawieść. Kątem oka dostrzegł stojącą w kącie sieni butelkę w której pozostała resztką pędzonej wczoraj księżycowy. Musiał zapić koszmarnego doła. Wstał ociężale, powlókł się na wpół przygarbiony do roku pomieszczenia i sięgnął po butelkę. Przyłożył gwint do gęby i napił się bimbru; jeden łyk, drugi, trzeci. Ukojenie wstępuje w umysł. Już się niczym nie przejmuję, już do wszystkiego wyrabia sobie kilometrowy dystans.

Nagle jakby piorun w niego uderzył! Wyprostował się gwałtownie, wyskoczył na beczkę i tak jak wczorajszego wieczora próbował naśladować ptaka. Zeskoczył na podłogę i złapał za ramie zaskoczonych tym dziwnym zachowaniem Kazimierskiego. Z oczyma szaleńca wytrząsnął mu z rąk nóż i na wpół oskrobanego buraka, po czym mocnym głosem zawołał:

- Kazimierski, już wiem czego trzeba!
- No? – stary bezpiecznie oddalał się w kierunku drzwi do kuchni.
- Kartofli! – krzyczał Antek. – Osiem kilko kartofli!
- Toć kartofli mam całą piwnice! – oznajmił stary. – Trzeba było od razu mówić! Leć i przynieś!

Antek złapał za kosz i pobiegł za chałupę. Po minucie wpadł rozgorączkowany do sieni z koszem pełnym kartofli i od razu zaczął wrzucać je do jednej z grubych rur. Przekreśliwszy włącznik uruchomił maszynę. Rozległ się huk silnika, zawirowały tryby, zakotłowało się w środku. Pięć minut coś tam się międlilo, aż w końcu położonej na klepisku misy wpadła bryłka podobna do dużego klopsa. Antek płonąć z ciekawości wziął ją od razu do ręki i ugryzł.

Stojący z boku starzec ze skupieniem obserwował jego twarz, na której z każdą sekundą narastał wyraz co raz to większego rozanielenia. Po chwili Antek zaczął skakać z radości. Podbiegł do Kazimierskiego, złapał go w ramiona wyciskał, wybiegł na dwór i zaczął się tarzać w trawie – przez cały czas wołał: „Udało się! Niedowiary! To jest znakomite!”

Stary wziął do ręki drugą bryłkę wyplutą przez maszynę i spróbował jej. Chwilę posmakował a później powiedział:

- A niech mnie kule biją, toż to lepsze niż szynka! – ugryzł jeszcze kęs i dodał: - A przecież głównie z kartofli zrobione... Ma jednak łeb ten Świder.

## Chicago

Staranie wypielegnowana męska dłoń z brylantowym sygnetem na serdecznym palcu, nacisnęła na wypolerowaną do połysku kławkę drzwi samochodu. Odbity od żółtego lakieru refleks rozjaśnił gładko ogoloną twarz czterdziestokilkuletniego mężczyzny. Człowiek ten z głęboką bruzdą niezadowolenia na czole wsiadł za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozległ się charakterystyczny gang ośmiocylindrowego silnika. Żółta stojąca na kanale naprawczym Corvette ożyła.

- Więcej gazu! – dobiegło wołanie spod samochodu. – I potrzymać przez chwilę na wysokich obrotach!

Mężczyzna za kierownicą wcisnął pedał przyśpieszenia i Corvette zagrała pięknym basowym rytmem pracy silnika 8V.

- Wystarczy! – zawołał człowiek w kanale naprawczym.

Właściciel samochodu zdjął nogę z gazu i wyjął kluczyki ze stacyjki.

- I co? Jest jakaś poprawa? – zapytał wychodząc na zewnątrz.

Upapwany w smarze i oleju mechanik wyszedł z kanał naprawczego i rozłożył bezradnie ręce.

- Wymieniliśmy filtry, ale olej nadal przecieka. Prawdopodobnie to jakiś problem z uszczelkami pod głowicą – mówił pocierając kark z zakłopotaniem. – Pan zostawi nam jeszcze jeden dzień tę ślicznotkę, to ją naprawimy.

- Jak to jeszcze jeden dzień?! – właściciel samochodu nie krył oznak podenerwowania. – Trzymacie ją już ponad tydzień! – przeszedł się wzdłuż warsztatu i ze złością kopnął pustą plastikową beczkę po oleju. – Mam już dość jazdy autobusami! – podszedł do stojącego z ponurą miną mechanika i potrząsnęła go za ramie – Panie od tych ludzi śmierdzi! Czy oni do licha nigdy się nie myją? – spojrzał na Corvette i orzekł: - Dziś wieczorem musi być gotowa! Pan sobie zdaje sprawę, że to jest dla mnie więcej niż samochód!

Wyprany w smarze mężczyzna zdjął roboczy fartuch i odpowiedział starając się opanować podenerwowanie.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe ponieważ nie mamy uszczelek. Ich sprowadzenie może potrwać kilka dni...

- Kilka dni? – powtórzył właściciel Corvetty. – Czy ja dobrze słyszę? To rupieciarnia a nie warsztat naprawczy! Gdzie ja przyjechałem!
- Niestety, nie jest łatwo zdobyć części do tego starego samochodu...
- Starego?! Moja vetta stara? Licz się ze słowami baranie! – wołał rozsierdzony posiadacz Chevroleta. – Powinniście tu naprawiać kosiarki do trawy, a nie samochody!

W drzwiach warsztatu pojawiała się ubrana w zwiewną sukienkę otyła kobieta. Trzymała w ręce przenośny telefon.

- Albert, Albert! Z Polski dzwonią! – zawołała. Przebiegła kilka kroków, wyminęła naburmuszonego właściciela cudu amerykańskiej motoryzacji i włożyła słuchawkę do brudnej od smaru ręki mechanika.
- Słucham! Malinowski z tej strony – odezwał się ten idąc w stronę zaplecza. Przez warkot silnika dochodziły strzępy rozmowy: – Nie kupić? Co ty opowiadasz most wysadzili? Roithner zrezygnował? Niesamowite!

Cały czas rozmawiając wszedł do małego pomieszczenia na zapleczu. Znajdowało się w nich dwóch mężczyzn, ubranych w brudne dżinsowe spodnie i flanelowe koszule. Sącząc herbatę z tłustych szklanek ze znudzonymi minami grali w karty. W środku było aż siwo od dymu papierosowego. Malinowski przysłonił na moment mikrofon w słuchawce i krzyknął do nich:

- Roithner nie kupił BykRolu!

Dwaj mężczyźni z wrażenie rzucili karty na stół.

- Jak to nie kupić? – zapytał jeden z nich. – Przecież to było już ustalone, że kupi!
- Nie wiadomo co się stało, ale wycofał się. Podobno Orłowski kazał wadzić most – odpowiedział Malinowski. Wychylił się przez drzwi i zawołał do grubej kobiety: – Hanka, Hanka! Leć po flaszkę do supermarketu! – kopnął w blat stolika aż przewróciły się szklanki z herbatą i wykrzyknął z radością – Sprzedajemy ten burdel i wracamy do Polski! Wracaaaamy!!!
- Hanka i śledzie na zagrychę węz. Śledzie! – krzyknął barczysty mężczyzna znacząco uderzając się ręką w szyję. Z niewysłowionej radości wstał i mocnym barytonem zaśpiewał:

*Zielony mosteczek ugina się.*

*Zielony mosteczek ugina się.*

*Trawka na nim rośnie, nie siekasz*

*Trawka na nim rośnie nie siekasz*

Albert Malinowski podchwycił rytm i zaśpiewał:

*Gdybym ja ten mostek arendował*

*Gdy ja ten mostek arendował*

*To bym go wyplewił wyrychtował*

*To bym go wyplewił wyrychtował*

- Łezka w oku się kręci – mówił Malinowski. - Mój dziadek stolarz często to podśpiewywał. Wracamy do Polski na stare śmiecie! Wracamy do domu!
- A co z moją Corvetą? - dopytywał się poirytowany Amerykanin.- Tak jak mówiłem, to dla mnie coś znacznie więcej niż samochód!
- Corvetta? Człowieku! Ty nie widziałeś polskiej Syrenki! – odparował Malinowski.

## **Wodziejowice**

Nieprędko świat dowiedział się o genialnej maszynie produkującej znakomitą wędlinę na bazie kaszy gryczanej i ziemniaków (z nieznaczną odrobiną mielonki). Z radości iż udało się taką maszynę skonstruować Antek Świder i stary Kazimierski wypili wszystkie flaszki wina, które leżały w starym kredensie już pięć lat i czekały na lepsze czasy. Libacja trwała dwa dni – pili tak ostro, że momentami zapominali jakąż to okazją ich do tego skłoniła. Sam Świder w upojeniu alkoholowym dostawał takich zaników pamięci, że ze zdziwieniem przyglądał się stojącej w sieni maszynie, nie mogąc sobie przypomnieć do czego ona służy.

Największego jednak zdziwienia doznał kiedy przebudziwszy się w niedzielę rano dojrzał majacząca nad nim niebieską plamę. Czyjaś mocna ręka szarpała go za ramie i biła po twarzy.

- Wstawaj Świder! – słyszał szorstki głos. – Wstawaj!

Otworzył szczerzej oczy i starał się zrozumieć coś z wirującej karuzeli obrazów. Sufit wirował, ściany się kręciły. Tuż nad nim sterczała jakaś ubrana na niebiesko postać. Oś wirującego świata stanowiła ziemista twarz tego mężczyzny. Twarz, która wydawała się znajoma. Gdzie on ją wdział? W parku? Nie! Raczej w komisariacie! Toż po posterunkowy Wrona!

Policjant potrząsał go za ramię i rozkazał:

- Wstawaj Świder! Jesteś aresztowany!

Antek usiadł na klepisku opierając się plecami o ścianę.

- A za co? – odburknął będąc w pijackim zamroczeniu.

- Za wysadzenie mostu przy masarni! – brzmiała surowa odpowiedź.

Świder z trudem maskował strach. Złapał się ręką za głowę jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Ale przecież tam nie ma żadnego mostu! – zauważył.

- Nie rób sobie kpin z władzy – przestrzegał posterunkowy. - Nie ma bo żeś go w zeszły poniedziałek wysadził!

- Panie sierżancie – mówił Antek trzymając rękę na sercu. – Jak Boga kocham mostu nie wysadziłem, bo w zeszły poniedziałek cały dzień kosiłem trawę na Julkowej łące pod lasem.

- A świadków jakichś masz?

- Nie mam, ale jak nie wierzycie to zobaczcie, że trawa ukoszona i siano w kopkach stoi.

- Coś mi się wydaje, że takie alibi jest za mało wiarygodne - stwierdził policjant. – Wstawaj! Będziesz składał zeznania na komisariacie.

- Nigdzie nie idę! – Świder zmienił linię obrony. – Skonstruowałem genialną maszynę i mam na głowie ważniejsze sprawy niż włóczenie się po komisariatach!

Policjant spojrział na niego ze zdziwieniem po czym chwycił go za ramię i szarpnął.

- Wstawaj! Nie gadaj bzdur. Wytrzeźwiejesz po drodze!

Antek podniósł się niechętnie i zataczając się na boki wyszedł z chałupy. Przekroczywszy wysoki próg zauważył dwóch funkcjonariuszy policji. Początkowo zamierzał uciec przez sad do lasu, ale stwierdził, że wobec takiej przewagi nie ma żadnych szans. Jak potulny baranek pozwolił się zakuć w kajdany i wpakować do radiowozu.

\* \* \*

Wiszący na ścianie wahadłowy zegar odmierzał ostatnie sekundy kariery Zenona Orłowskiego jako prezesa BykRolu. Zapowiedziane przez niego wznowienie produkcji nie przyniosło oczekiwanych efektów. Nowozatrudnieni pracownicy nie mieli jeszcze odpowiedniej wiedzy i umiejętności aby wyprodukować pełnowartościowy towar. Okazało się, że wszystko co wypuszczono na rynek w ciągu pierwszego tygodnia funkcjonowania zakładu, prawie w ogóle nie sprzedawało się w sklepach. Znowu napłynęły fakty z reklamacjami i pogróżki o zerwaniu współpracy. Tego było aż nadto. Zarząd niezwłocznie podjął decyzję o zwolnieniu Orłowskiego ze stanowiska prezesa BykRolu. Tym razem nikt nie wstawił się w jego obronie. Szczególnie iż wypłynęły na światło dzienne pewne, na razie jeszcze nie do końca potwierdzone fakty, że to właśnie na jego polecenie zniszczono most w Wodziejowicach. W tej sytuacji prezes Zarządu Adam Cebrzyński nie miał żadnych wątpliwości, że po dwudziestu latach pracy Zenon Orłowski musi pożegnać się z firmą.

Dla tego ostatniego, po wielu latach sukcesów, dzisiejszy dzień stawał się początkiem życiowego dramatu. Wiedząc z poufnych źródeł w jakim to celu wezwano go do siedziby Stowarzyszenia, czuł się jak wyrzucona do śmietnika cytryna, z której wyduszono wszystkie soki. A on przecież tak się przez te wszystkie lata tak się starał. Tak główkował, kombinował aby BykRol i masarnie wchodzące w skład Stowarzyszenia rozwijały się i wygrywały z konkurencją. Tyle nieprzespanych nocy, stresu i zmartwień, siedzenia do późnych godzin w pracy, podróży służbowych, nieustannego opracowywania strategii marketingowych, podejmowania ryzykownych decyzji. A przecież trzy lata temu proponowano mu etat wiceprezesa w konkurencyjnej firmie. Nie przystał jednak na tę propozycję ponieważ identyfikował się z firmą, którą stworzył i rozwinął prawie od podstaw. Co dziś z tego ma? Za chwilę przyjdzie Cebrzyński i w podzięce za tą ciężką harówkę wręczy mu wypowiedzenie! Ten palant Cebrzyński nie zdaje sobie nawet sprawy, że gdyby nie on - Zenon Orłowski - w ogóle nie miałby pracy, nie byłoby BykRolu, a może nawet padłby wszystkie masarnie należące do Stowarzyszenia! Nikt z tych nadętych bufonów w Zarządzie nie potrafi tego zauważyć. Ciekawe jak długo pociągną bez niego? Tylko patrzeć aż zeżre ich konkurencja! Przecież ta banda



kretynów nie potrafi wypracować żadnej korzystnej strategicznej decyzji! Padną szybko bez niego, ale on wtedy będzie zacierał ręce z uciechy.

Adam Cebrzyński wszedł pewnym krokiem do sali konferencyjnej. W rękę trzymał kilka kartek papieru. Popatrzył na swego podwładnego posepnym spojrzeniem, podszedł do stołu i przymierzył się do długiego wywodu:

- Mieliśmy zaszczyt współpracować z panem przez wiele długich lat. Pański wkład w rozwój Stowarzyszenia Masarzy Regionu Lubelskiego jest ogromny, a osiągnięcia niepodważalne – usiadł na krześle i kontynuował: - Doceniamy to, ale rzeczywistość jest jak płynąca rzeka....

Niespodziewanie Orłowski wstał, wyrwał z rąk Prezesa Zarządu kartki papieru na których napisano wypowiedzenie i przechyliwszy się nad nim groźnie zasyczał jak wąż:

- Miejcie się na baczności! - rzucił pogardliwe spojrzenie na Cebrzyńskiego i dodał: - Wy nieudacznicy!

Trzasnąwszy drzwiami wyszedł z sali konferencyjnej . Schodząc po schodach podarł wypowiedzenie i wyrzucił je go kosza.

Jednakże to nie był koniec przykrych niespodzianek jakie na niego czekały w dzisiejszym dniu. Kiedy wyszedł z budynku na ulicę, został zaczepiony przez stojącego przy bramie mężczyznę w czarnym płaszczu. Człowiek ten machnął mu przed oczyma służbową legitymacją i przedstawił się:

- Policja! Komisarz Zaręba – wyciągnął przed siebie dłoń na powitanie. Orłowski machinalnie też to zrobił, ale zamiast uścisku ręki poczuł chłód kajdanek zaciskających się na jego nadgarstku
- Jest pan aresztowany pod zarzutem współudziału w wysadzeniu mostu! – mówił komisarz, ciągnąc go w stronę zaparkowanego na chodniku poloneza. – Widzi pan? Właśnie tak się kończy zabawa w fajerwerki!

Orłowski był zaskoczony szybkością z jaką go pojmano. Zanim wsiadł do poloneza, w którym znajdowało się dwóch ubranych w mundury policjantów, wyjął telefon komórkowy i zażądał możliwości połączenia z adwokatem. Nikt nie słyszał, jego słów wypowiedzianych kiedy rozłączył rozmowę:

- Fajerwerki to dopiero się zaczną...

## Warszawa, Port Lotniczy Okęcie

Na sali przylotów panował duży ruch. Liczący kilkadziesiąt osób tłum stał naprzeciw ogrodzonego barierkami wyjścia z pomieszczenia, w którym odbywały się odprawy celne. Drzwi co chwile otwierały się i pojawiała się w nich co raz to nowa postać, na którą natychmiast padały dziesiątki spojrzeń. Ludzie wyczekiwali na swych znajomych i bliskich z kwiatami w ręku, rozmawiając ze sobą i odprowadzając wzrokiem co ciekawiej ubranych pasażerów. Półgodziny temu wylądował samolot z Nowego Yorku wiozący ponad trzysta osób na pokładzie, stąd też odprawa trwała długo.

W restauracji znajdującej się obok wyjścia z sali odpraw, siedział za stolikiem czterdziestokilkuletni mężczyzna. Wpatrywał się w wypity do połowy kufel piwa i co jakiś czas rzucał wyczekujące spojrzenie w stronę bramek, skąd wychodzili pasażerowie samolotu. Na jego twarzy malowało się skupienie. Bawiąc się od niechcienia telefonem komórkowym, cały czas intensywnie nad czym myślał. Raczej przybył tu w interesach niż dla spotkania z rodziną.

W pewnym momencie przy barierkach pojawiała się dobrze mu znana postać. Poderwał się z krzesła, wypił głębszy łyk piwa i energicznym krokiem wyszedł z restauracji. Albert Malinowski w towarzystwie swej żony i dwóch kuzynów, pchając wózki z walizkami, szli szeroką ławą przebijając się przez tłum ludzi, jak dziób lodołamacza Mężczyzna, który wyszedł z restauracji podniósł do góry rękę i zawołał:

- Tutaj Albert, tutaj!

Malinowski zauważył go i uśmiechnął się szeroko. Odmachnąwszy mu ręką, poszedł w jego kierunku. Przywitał się z nim ściskając się za barki i powiedział:

- Cieszę się że znowu jestem na polskiej ziemi! Ameryka to nienormalny kraj! Nigdy więcej tam nie wrócę! – odwrócił się do swojej żony i przedstawił jej mężczyznę, który wyszedł im na przywitanie. – Poznajcie się. To Aleksander Bartkowski. Wiele ci o nim opowiadałem...

- Olek, po prostu Olek – mówił szczupły człowiek całując w rękę żonę Malinowskiego.

- A ja Helleną – odpowiedziała kobieta. – Olek? Ten co razem kradliście jabłka u sąsiada jak byliście dziećmi? – spojrzała pytająco na męża.
- Jakie jabłka? – Bartkowski udał zdziwienie.
- Nie, nie skądże to nie ten! – zaprotestował Malinowski. – Tamten już ma własny sad. Wyobraź sobie dwieście czterdzieści hektarów sadu! – odwrócił się do tyłu i wskazał ręką na rozmawiających ze sobą kuzynów: - A to są moi krewni; rodzina ze strony matki; Krzysztof i Bolesław.

Bratkowski precyzyjnie przesunął się między wózkami i przywitał z dwoma kuzynami:

- Jak minął lot? – zapytał używając grzecznościowej formułki.
- Był długi i nudny – odpowiedział Bolesław i ziewnął przeciągle. – Przepraszam, u nas w Ameryce o tej porze noc.

Rozmawiając, szli w kierunku wyjścia z obszernego holu. Przez oszklone drzwi widać było kilkupoziomowy parking i sznur taksówek stojących obok hali przylotów. Malinowski wyjął cygaro i próbował odpalić pozłocaną benzynową zapalniczkę.

- To mówisz Olek, że Orłowski kazał wysadzić most? – spojrzał na swego kompana z dziecięcych lat. - Nieprawdopodobne! On chyba oszalał?
- Wysadził most i dwa austriackie tiry które po nim jechały! – dodał Bartkowski. – Wiedziałem, że jest porywczy, ale nie aż do tego stopnia!
- O skurczybyk! – zaklął Malinowski kręcąc głową z podziwem. – Trudny przeciwnik! Skąd o tym wszystkim wiesz?
- Już od kilku dni piszą o tym w gazetach. Tydzień temu on i jakiś pijaczek, który podłożył bombę trafili za kratki!
- To dobrze, że wpakowali go do ciupy. Nie będzie nam przeszkadzał – zauważył Malinowski.
- Jak na razie wszystko idzie po naszej myśli. Po drodze rozliczymy się z wynajęcia pokoju w Mariocie, limuzyny i rachunku za kolację. Ile to wyszło?
- Niewiele. Pokoju nie wynajęliśmy wcale, zamówiłem najtańsze wino, a chłopaki okantowali właściciela limuzyny. W sumie sto pięćdziesiąt złotych...

Pchając przed sobą wózki z bagażami wyszli z sali przylotów. Kilka metrów za drzwiami stał rząd taksówek. Albert Malinowski ze swoją

żoną i Bartkowskim usadowili się w pierwszej z nich, a dwaj kuzyni zajęli drugą. Obydwaj kierowcy zacierali ręce z uciechy, gdyż okazało się, że ich klienci jadą aż do Lublina.

\* \* \*

Pożółkłe palce podniosły położony na krawędzi popielniczki papieros i wetknęły go do grubych warg wystających spod niechlujnych wąsów. Piegowata owłosiona ręka powędrowała w stronę stojącego na biurku radiomagnetofonu. Kłęb siwego dymu poleciał w kierunku siedzącego na krześle, skutego w kajdany mężczyzny. Brud za paznokciem niechlujnego policjanta oznaczył się wyraźną czarną pręgą, gdy wskazujący palec prawej ręki wcisnął przycisk w radiomagnetofonie uruchamiający odtwarzanie kasety. Z głośnika popłynęły słowa:

„ ... Chłopaki z kamieniołomu dali mi takie coś na korbkę co odpala bombę. Patrzą te dwa austriackie tiry już są na moście, no to kręcę tą korbą, a tu nic się nie dzieje! Myślę se, że Orłowski co mi zlecił wysadzenie mostu będzie pioruńsko niezadowolony! A ja jak coś obiecuję, to zrobię jakem Antek Świder! No to kręcę jeszcze mocniej. Mało tej korbki nie urwałem. Aż w końcu, jak nie huknie! Patrzą, a tu w trzy sekundy... dacie głowę? W trzy sekundy cały most zawalił się do rzeki, a razem z nim te tiry... A ten most stał dwadzieścia lat! Patrzą, że ludzie się zbiegają, no to ja chodu w las...”

Posterunkowy Wrona zatrzymał kasetę, strzepał popiół z kołnierza służbowej marynarki, powoli zdjął okulary i spojrzał badawczo na aresztanta.

- I co pan na to, panie Świder?
- Że też człowiek po pijaku takie bzdury opowiada – odparł rezolutnie Antek. – Czemu ja po trzeźwemu takiej fantazji nie mam?
- Jak cię zaraz w łeb zdzielę to cię cała fantazja do reszty opuści! – pogroził policjant, kładąc rękę na leżącej na biurku białej gumowej pale. – Przyznaj się! To twój głos?

- Nic nie pamiętam! – oświadczył Świder. – Skąd to nagranie? To musiało być zmontowane! Ja panie władzo, taki spokojny człowiek miałbym most wysadzić? A niby po co? Żebym potem do spożywczego miał iść trzy kilometry naokoło?
- Ile ci Orłowski za to zapłacił? – niewzruszenie pytał posterunkowy Wrona.
- Nie znam żadnego Orłowskiego!

Wrona popatrzył na niego spode łba i mruknął:

- Poznacie się w mamrze.

Sięgnął do szuflady i wyjął stamtąd zapakowane w foliowe urządzenie w kształcie blaszanej skrzynki z korbą u boku.

- Poznajesz to? – zapytał.
- Pierwszy raz widzę na oczy! – Świder pochylił się i udawał, że uważnie przyglądał się leżącemu na biurku przedmiotowi. – Nigdy tego nie widziałem – powtórzył.
- A jednak są na nim twoje odciski palców! – oświadczył Wrona. Rzucił na biurko plik dokumentów. – To są wyniki ekspertyzy.
- Jak to możliwe?
- Co to „jak to możliwe”?! - zirytował się policjant. Wstał z krzesła i oparłszy się dłońmi o krawędź biurka zawisł nad głową przesłuchiwanego. – Ano tak to możliwe, żeś podłożył ładunki wybuchowe pod most, a później kręciłeś tą korbą żeby je zdetonować!

Policjant wyjął zamknięte w blaszanej obudowie urządzenie z foliowej torebki i rozkazał przesłuchiwanemu aresztantowi:

- Łap teraz za korbę i kręć! Natychmiast!

Antek Świder niewiele myśląc złapał za korbkę i zaczął nią kręcić.

W zadymionej kancelarii rozległ się głośny śmiech posterunkowego Wrony.

- Jak ty tak to robiłeś, to nic dziwnego, że ci nie chciało zdetonować ładunków od razu! – mówił trzymając się rękoma pod boki ze śmiechu.
- A to czemu? – zapytał Świder bezwiednie.
- Bo to trzeba w drugą stronę kręcić!
- Aha! – Antek odruchowo zakręcił w przeciwną stronę.

Policjant zarechotał aż wypadł mu papieros z ust.

- Aleś ty Świder głupi jak but! – podsumował biorąc do ręki kartkę papieru na którym wcześniej już sporządził protokół przesłuchania.

- Przecież to działa w obydwie strony! Widzisz jak to szybko wydało się, że wysadziłeś most?

Świder stał markotny i niezadowolony że tak dał się wziąć pod włos.

- Podpisuj zeznanie! – Wrona rzucił niedbale na biurko protokół przesłuchania i długopis. – Za to co zrobiłeś pójdziesz do więzienia na dziesięć lat!

Antek zmarszczył brwi jakby ważył jakąś trudną myśl. W końcu odezwał się grubym nienaturalnie brzmiącym głosem:

- Wcześniej wyjdę! Za dobre sprawowanie!

To mówiąc błyskawicznie poderwał leżącą na biurku gumową pałę, zamachnął się i zdzielił nią w łeb policjanta, który bezskutecznie próbował zasłonić się ręką. Rozległ się rumor, padającego na podłogę cielska posterunkowego Wrony. Uderzenie pałką było tak mocne, że policjant z miejsca stracił przytomność. Padł na podłogę i leżał z rozkrzyżowanymi rękoma patrząc niewidzącymi oczyma w sufit. Świder zaskoczony własną śmiałością na chwile stanął w bezruchu; rzucając okiem to na drzwi, to na okratowane okno. Wiedział, że musi uciekać, ale nie było to takie proste; za drzwiami znajdowała się dyżurka, w której wcześniej – kiedy go tu prowadzono - zauważył dwóch policjantów. Co też mu do głowy przyszło, żeby walnąć pałą w łeb tego Wronę? Oj, napytał sobie przez to biedy!

Porywając się na ten desperacki czyn działał pod wpływem impulsu – nie mógł marnować czasu na siedzenie w areszcie, kiedy w chałupie Kazimierskiego czekała na niego własnoręcznie skonstruowana genialna maszyna, którą musiał czym prędzej pokazać światu!

- Co tam się dzieje? – przez zamknięte drzwi dobiegło wołanie z dyżurki.

Najwidoczniej policjanci usłyszeli huk kiedy, Wrona upadł na podłogę. Dało się słyszeć zbliżające się kroki. Świder schował się za drzwiami i czekał w napięciu. Czuł, że serce tak mu łomocze jakby za chwilę miało wyskoczyć z klatki. Klamka poddała się pod naciskiem dłoni ciekawskiego policjanta. Antek złapał oburącz grubą pałkę i podniósł ją do góry gotów do zadania ciosu. Drzwi otworzyły się powoli i natychmiast wysunęła się zza nich czarna krótko ostrzyżona czupryna. Świder natychmiast z całej siły uderzył w nią pałką. Policjant wydawszy z siebie krótki bolesny okrzyk, naparł na drzwi, wtoczył się do kancelarii i upadł na podłogę tuż obok posterunkowego

Wrony. Antek stał opierając się plecami o ścianę i ciężko dyszał. Oto on lokalny pijaczyna niemal gołymi rękami pokonał dwóch uzbrojonych policjantów, mając ręce skute w kajdanach! Szło mu co raz lepiej. Z tym trzecim, który pozostał na dyżurce na pewno poradzi sobie już bez trudu. Pochylił się nad nieprzytomnym Wroną i wyjął mu z kabury pistolet. Przez chwilę ważył ciężki metalowy przedmiot w dłoni. Mając w rękę taki mocno przemawiający do rozsądku argument, poczuł się znacznie pewniej.

Uchylił drzwi i wyszedł na wąski korytarz. Usłyszał szum wody lecącej z kranu do umywalki. W pomieszczeniu znajdującym się na końcu korytarza paliło się światło. Ostatni ze znajdujących się na posterunku policjantów nie słyszał żadnych podejrzanych hałasów gdyż przebywał mył się w toalecie, a cieknąca woda zagłuszała wszelkie odgłosy z zewnątrz. Świder przeszedł po cichu przez cały korytarz i mając przed sobą wolną drogę do wyjścia z komisariatu, ruszył przed siebie pewnym krokiem. Policjant w toalecie prychał i podśpiewywał jakąś piosenkę. Ciekawe czy będzie równie wesół kiedy wkrótce okaże się, że wszyscy trzej nie upilnowali jednego więźnia? Uciekinier położył rękę na klamce. W szybie dostrzegł odbicie stojącej za jego plecami wysokiej postaci w czarnym płaszczu.

- Rzuć broń! – padł rozkaz wydany przez inspektora Zarębę. – Nie uciekniesz mi łachudro!

Świder wcale nie zamierzał się dać pojmać. Pomimo tego, że widział wycelowaną w siebie lufę pistoletu, mocnym szarpnięciem otworzył drzwi i jednym skokiem wydostał się na zewnątrz. Straciwszy równowagę zachwiał się i stoczył w dół po kilkustopniowych schodach. Rozległ się huk wystrzału. Szyba w oknie rozprysła się pod wpływem uderzenia pocisku. Kawałki szkła z brzękiem rozbryzgały się po schodach. Świder widząc, że to nie przelewki, czym prędzej podniósł się z ziemi i gnał w stronę szosy biegnącej obok komisariatu. Skute w kajdanki ręce utrudniały mu ucieczkę. Przebiegając w pobliżu sklepu zauważył oparty o ścianę rower. Podbiegł do niego, wyskoczył na siodełko i trzymając blisko siebie ręce na kierownicy popedałował co tchu przed siebie. Kątem oka dostrzegł, jak policjant zbiega ze schodów i wsiada do radiowozu. Przejechawszy na rowerze kilkanaście metrów szosą, skręcił w wąską ścieżkę biegnącą w dół przez las i na złamanie karku popędził w dół. Radiowóz przejechał krótki odcinek drogi na syrenie i zatrzymał się w miejscu gdzie zbieg

zjechał po stromej skarpie w dół. Inspektor Zaręba wysiadł z samochodu, zaklął i oddawał dwa strzały w powietrze. Cichnący dźwięk rozklekotanego błotnika świadczył o tym, że zbieg oddala się co raz bardziej. Policjant kopnął ze złością w oponę i rezygnując z pościgu przez las, spowrotem wsiadł do radiowozu.

\* \* \*

Antek stał skryty za przystankiem autobusowym. Dochodzi dziewiąta rano. Dziewczyna zaraz powinna tutaj przyjechać, o ile pracuje jeszcze w BykRolu. Zza zakrętu doleciał warkot silnika. Przywarł mocniej do cienkiej ścianki licząc się z możliwością, że to może jechać policyjna nysa. Po ucieczce z aresztu policja na pewno intensywnie go teraz szuka. Na szczęście za zakrętu wyłonił się kursowy autobus PKS-u. Zwalniając przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się na przystanku. Świder obserwował go przez dziurę dykcie. Usłyszał trzaśnięcie drzwiami i zauważył pod podwoziem szczupłe kobiece nogi w szpilkach. Autobus ruszył z miejsca odsłaniając drobną postać Anny Terleckiej. Antek prowadząc rower wyszedł z przystanku.

- Dzień dobry! – zawołał machając skutymi w kajdanki rękoma. Terlecka zobaczywszy go odruchowo cofnęła się do tyłu.
- Widzi pani, skonstruowałem tę maszynę! – mówił zbliżając się do dziewczyny. – Słowny człowiek jestem.
- Dlaczego masz kajdanki na rękach? – zapytała przechodząc na drugą stronę ulicy.
- Uciekłem z aresztu – wyznał zgodnie z prawdą. – Później odsiedzę, te dziesięć lat. Teraz nie mam czasu.
- Zabiłeś kogoś? – mówiła rozglądając się strachliwie na boki.
- E nie, tylko wysadziłem most. Ale o tym cisza, bo obiecałem że nikomu nie powiem – oparł rower o biodro i machnął skutymi w kajdanki rękoma w stronę lasu. – Była pani w chałupie Kazimierskiego?
- Nie.
- Niech pani wsiądzie na ramę i pojedziemy. To niedaleko stąd.
- Mam jechać na ramie? – obruszyła się Terlecka.
- A na czym skoro nie ma bagażnika? – zezłościł się Antek. – Nikt nie będzie widział bo zaraz skęcimy w las.



- Rzeczywiście skonstruowałeś tą maszynę? – dopytywała z niedowierzaniem. – Naprawdę robi wędlinę lepszą niż szynka?
- Jasne że tak! – potwierdził Świder. – Na dodatek z ziemniaków i kaszy gryczanej.

Terlecka rozejrzała się po drodze i zdecydowała:

- Jedźmy więc!

Wzięła torebkę pod pachę i usiadła na ramie roweru. Antek przełożył ręce w kajdanach przez jej głowę i złapał za kierownicę. Chwiejąc się, wolno pojechali szosą w stronę lasu, do chaty Kazimierskiego.

Po półgodzinie dojechali na miejsce. Chałupa była otwarta, a jej sędziwy właściciel kręcił się w obejściu. Gdy ich zobaczył zatrzymał się na chwilę zdumiony.

- Cześć Antek! – zawołał machając ręką na powitanie. – A co to za elegancką panią na rowerze wiesz i dlaczego masz ręce w kajdankach?
- Panie Kazimierski, czapka z głowy bo to jest pani dyrektor więzienia, którą wzięłem jako zakładniczkę! – żartował Świder – A maszyna wciąż działa?
- A pewnie, że tak. Przez ten czas co cię nie było dwie miednice tego mięsa wyprodukowałem żebym miał na zapas. Ale ile prądu poszło... – złapał się za głowę.

Antek wszedł do sieni i pociągnął za sobą Terlecką. Przerobiony na maszynę masarską parnik huczał i dudnił. Kręciły się tryby, podskakiwała blaszana pokrywa, a do postawionej na ziemię miednicy co chwilę wpadała gorąca grudka mięsa.

- Spróbuj! – rzekł Świder. - Przekonasz się, że nie kłamałem.

Terlecka wzięła do ręki grudkę mięsa i zbliżyła ją do ust.

- No zobaczymy – kiwnęła głową z powątpiewaniem. Niby jak taki pijaczyna mógłby ze zwykłego parnika zrobić maszynę, na którą duże firmy wydałyby dziesiątki tysięcy dolarów? Ugryzła kawałek mięsnej grudki i natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia: - Przecież to jest... to jest... – nie mogła znaleźć słów. – Fantastyczne! Znakomite! W życiu nie miałam nic lepszego w ustach! – z radości podskoczyła w miejscu. - A ty Świder jesteś genialny! – powiedziała spontanicznie całując w go policzek.

Konstruktor niezwykłej maszyny z zafrasowaniem podrapał się po głowie.

- O tym to ja zawsze wiedziałem, tylko dlaczego wylali mnie z roboty w kółku rolniczym?
- Z tego co wiem, to za picie Antoś! – odpowiedziała Terlecka. – Ale już ja zadbam o to, żebyś ty więcej nie pił... – dodała uśmiechając się mile.

*Koniec  
części pierwszej*

## Cześć II

Mieszczący się na przedmieściach Lublina średniowieczny pałacyk tętnił życiem. W obszernym salonie zgromadziło się około dwustu osób. Wszyscy elegancko ubrani; kobiety w strojach wieczorowych, długich sukniach, oryginalnych kreacjach, być może nawet szytych na okazję dzisiejszego balu, a mężczyźni w wizytowych garniturach, nie granatowych i czarnych lecz białych, kremowych, czasami bez marynarek, ale za to w eleganckich koszulach z jedwabiu. Zewsząd dochodził gwar rozmów, śmiech, pobrzękiwanie kieliszków. Z podwyższenia na którym znajdował się kwartet muzyków płynęły

spokojne nastrojowe melodie. Na parkiecie, powoli i płynnie poruszało się kilka par.

Impreza zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Wszyscy z zaciekawieniem spoglądali w stronę stolika za którym siedzieli Adam Cebrzyński, Hans Roithner i jakiś nikomu nie znany mężczyzna.

Dochodziła godzina dwudziesta. Na znak dany przez ubranego w frak mężczyznę pełniącego rolę wodzireja, orkiestra przestała grać. Tańczące na parkiecie pary zatrzymały się w miejscu. Zamilkły odgłosy rozmów. Nastąpiła cisza. Dało się słyszeć szmer kroków kelnerów, którzy roznosili na tacach kieliszki z szampanem na okazję toastu, który zostanie wzniesiony już za chwilę. Zaledwie garść ludzi wiedziała w jakim celu zorganizowano ten bal i jakąż to za chwilę zostanie ogłoszona nowina. Większość gości którym tylko powiedziano, że dzisiejszego wieczora zobaczą coś niezwykłego, z dużą uwagą i zaciekawieniem obserwowało zachowanie Adama Cebrzyńskiego od którego zależało, kiedy ów moment ma nastąpić.

Na usytuowanym centralnie podeście znajdował się całkowicie zasłonięty płótnem przedmiot gabarytami przypominający dużą beczkę. Teraz właśnie na nim koncentrowało się dziesiątki spojrzeń próbując przebić wzrokiem gruby materiał i odkryć tajemnice, chociaż sekundę wcześniej, zanim stanie się ona powszechnie znanym faktem. Adam Cebrzyński rzucił okiem na zegarek po czym dostojnym krokiem zbliżył się do podestu. Powiedział coś, lecz w olbrzymiej sali jego słowa zabrzmiały zbyt cicho aby każdy mógł go dobrze usłyszeć. Wodzirej prędko podał mu mikrofon.

- Witam serdecznie sympatyków branży przetwórstwa mięsnego! – popłynęło z głośników.

Rozbrzmiały rzęsiste brawa.

- Jak wszyscy dobrze wiemy w naszym Stowarzyszeniu ostatnio niezbyt dobrze się działo – mówił Cebrzyński. – Oczywiście mam na myśli głównie problemy finansowe. Cóż takie czasy. Recesja wszystkim daje się we znaki – dodał tonem usprawiedliwienia. – Jednak mimo trudnej sytuacji nie zaprzestaliśmy działać na rzecz osiągnięcia sukcesu – postąpił kilka kroków do przed siebie, odwrócił się i spojrzał na przykrytą płótnem maszynę. – Dzisiejszy dzień, to przełomowy moment dla nas i całego przemysłu

masarskiego. Ba! Jestem przekonany, że to początek rewolucji, która wkrótce ogarnie tę branżę. Chciałbym państwu zaprezentować niezwykle wynalazek skonstruowany przez tego oto skromnego człowieka – to mówiąc wskazał ręką na nieśmiałego trzydziestokilkuletniego mężczyznę w zielonej marynarce, który chyba aż zgrabił się pod wpływem dwóch setek spojrzeń. – Ta maszyna to dzieło geniuszu! Dzięki niej spodziewamy się wejść z niespotykanym produktem na rynek międzynarodowy i zarobić grube miliony dolarów! – odwrócił się przodem do ukrytego pod grubym płótnem urządzenia i uroczystym pompatycznym tonem głosił: - Panie i Panowie niech mi będzie dane zaprezentować Państwu....

W tym momencie zgasło światło. Rozbrzmiały podnoszące napięcie wyczekiwania dźwięki bębnów. Jasny snop światła padł na podest oświetlając dużą ukrytą za czerwonym płótnem owalną bryłę. W kręgu światła znalazła się też postać Adama Cebrzyńskiego. Zbliżył się on do podestu, podniósł rękę i energicznym ruchem zerwał płótno.

- Parnikoświdrygator! – dokończył. Uroczyście przekręcił zamontowaną do metalowego korpusu dźwignię. Zawył silnik elektryczny, zastukotały obracające się tryby, głośno zabulgotały nagrzewające się płyny. Dzieło geniuszu Antoniego Świdra rozpoczęło swą światową karierę.

W jaskrawym świetle reflektora oczom zebranych w sali osób ukazał się obdrapany metalowy korpus z trzema pokrzywionymi blaszanymi rurami u góry i jedną u dołu. Spod spodu wyglądały czarne od smaru koła zębate i tryby. Blaszana pokrywa podskakiwała z brzękiem pod wpływem wydzielającej się z dużym ciśnieniem pary. Całość wyglądała bardzo topornie i robiła makabryczne wrażenie.

Po chwili ciszy zamiast spodziewanych braw i okrzyków podziwu rozległy się gwizdy i śmiechy. Cebrzyński ze zdziwieniem spojrzął na stojący przed nim tłum gości. Nie takiej oczekiwał reakcji.

- Panie prezesie! – ktoś zawołał. – Ta kupa złomu ma być tym genialnym wynalazkiem, dzięki któremu zarobimy grube miliony dolarów? Chyba pan żartuje!

Wybuch szyderczego śmiechu przetoczył się przez salę.

- To dopiero prototyp – wyjaśniał. – Rzeczywiście nie wygląda zbyt efektownie, ale najważniejsze, że działa.

Do dużej blaszanej misy postawionej przed maszyną zaczęły wpadać grudki mięsa. Cebrzyński wziął do ręki jedną z nich i powiedział:

- Spróbujcie tylko tego, a przekonacie się, że nie rzucałem słów na wiatr, mówiąc o podbiciu rynków międzynarodowych.

Kilka zaciekawionych osób podeszło do blaszanej misy, w której znajdowała się niewielka ilość brunatnych grudek. Parnikoświdrygator pracując niestrudzenie wrzucał do niej co raz to nowe sztuki mięsnego produktu. Zgromadzeni przy misie ludzie, spoglądając po sobie z pewnym niedowierzaniem, wzięli do ręki po jednej ciepłej grudce i próbowali je po odrobinie. Smak, który poczuli w ustach musiał ich zdumieć, gdyż w chwilę potem z ich ust dobyły się słowa autentycznego podziwu:

- To jest niesamowite!
- Rewelacja!
- Po prostu niebo w gębie!

Cebrzyński uśmiechał się triumfalnie.

- A dodać należy, że to zostało zrobione głównie na bazie ziemniaków i kaszy gryczanej ze szczątkową ilością mięsa mielonego. A więc produkt jest tani w uzyskaniu – mówił idąc wolnym krokiem dookoła Parnikoświdrygatora. – Musimy jeszcze tylko popracować nad zapachem, ale to już jest kwestia dobrania odpowiednich aromatów.

Wyglądający topornie huczący parnikoświdrygator prędko został otoczony ciasnym kolorowym wiankiem zaproszonych na bal gości. Przepychając się jeden przez drugiego, próbowali dostać się do blaszanej misy, aby spróbować ponoć niezwykle smacznych mięsnych grudek. Każdy kto ich posmakował odchodził zachwycony niepowtarzalnym i znakomitym smakiem tego mięsnego specyfiku. Chciało by się je wciąż jeść i jeść. Ale maszyna wytwarzała grudki w ograniczonej ilości. Popyt znacznie przewyższał podaż.

- Panie Adamie – odezwał się siedzący przy jednym stoliku z konstruktorem maszyny. – Moim zdaniem, dzięki temu produktowi rzucimy konkurencję na kolana. – wstał i podszedł do prezesa. – Wymyśliłem już nawet nazwę i hasło reklamowe: „Szynkadela – dobry jak szynka, tani jak mortadela”. Co pan na to?
- Znakomite! – pochwalił Cebrzyński. Wskazał ręką na mężczyznę, który podszedł do niego i oznajmił: - Korzystając z okazji chciałbym poinformować państwa, że stojący tutaj Aleksander

Bartkowski, pełniący dotychczas funkcje sekretarza Zarządu kilka dni temu awansował na stanowisko Prezesa BykRolu.

- A co z Orłowskim? – dobiegło wołanie.
- Siedzi w ciupie – padła z tłumu odpowiedź, która wywołała salwę śmiechu.
- No tak, lojalność pana Zenona wobec Stowarzyszenia mogła budzić wiele kontrowersji. Na szczęście wynik wszczętego przez policje śledztwa dopomógł nam w podjęciu decyzji, aby pozbyć się tego... – szukał w myślach właściwego słowa. – Trutnia.

Ta odpowiedź została skomentowana rześnistymi brawami.

Tymczasem konstruktor genialnej maszyny zamiast święcić triumfy siedział cały czas za stolikiem, jakby zupełnie nie interesowała go sensacja i zainteresowanie powstałe wokół jego wynalazku. Bez posługiwania się nożem, jadł kotlet schabowy, który korzystając z zamieszania przełożył przed chwilą z sąsiedniego talerza na swój. Taka skromna postawa wzmogła zaciekawienie jego osobą. Ubrana w długą czerwoną suknie smukła kobieta podeszła do niego i rzekła:

- Jestem pełna podziwu i uznania dla pańskiego geniuszu. Jak pan to zrobił? Skąd inspiracja?

Ten spojrzał na nią znad talerza, zły że przeszkadza mu w jedzeniu.

- Nic nie pamiętam. Pijany byłem – odburknął i na powrót zajął się schabowym.
- Pan Antoni ostatnio sporo pracował i niedojadał – usprawiedliwił jego zachowanie Cebryński. – Proszę mu wybaczyć, że dzisiejszego wieczora nie udziela się towarzysko – podniósł do góry kieliszek szampana i zawołał: - Proponuje wznieść toast za genialną maszynę, jej konstruktora oraz nasz przyszły, oczywisty sukces!
- Wiwat! Wiktoria! - wykrzyknął wodzirej rzucając do góry swój czarny cylinder.

Rozległy się brawa, owacje. W chwilę potem zadźwięczało szkło ponad dwustu kieliszków, którymi spełniano niecodzienny toast. Zaświeciło się światło. Orkiestra zaczęła grać. Ludzie wypiwszy szampana, rozmawiali ze sobą dzieląc się niezwykłą nowiną.

Wtem trzasnęły zamknięte z siłą drzwi. Ktoś zakrzyknął głośno:

- A mnie nikt nie poczęstuje?!

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli w kierunku skąd doleciał głos. Przy drzwiach do sali stał cywilnie ubrany komisarz Zaręba wraz dwoma umundurowanymi policjantami.

- Czy jest tutaj ten gangster, Antoni Świder? – zapytał surowym tonem. Wyjął zza poły marynarki pistolet i poszedł przez rozstępujący się przed nim tłum w kierunku umieszczonego obok podestu stolika. Spojrzał w stronę orkiestry i machnąwszy pistoletem, podniesionym głosem rozkazał: - Cisza!

Wystraszeni muzycy przestali grać. Zdumieni goście szeptem komentowali nieoczekiwane wtargnięcie komisarza na salę.

- Gdzie jest Antoni Świder? – pytał oficer policji głosem chłodnym jak stal. – Gdzie jest ten gałgan?!

W zapadłej ciszy dało się słyszeć ciche pochrapywanie. Niewyspany i wygłodzony konstruktor genialnej maszyny poczuwszy przyjemną sytość w żołądku najzwyczajniej w świecie zasnął sprawiedliwym, zasłużonym snem. Położył głowę na białym obrusie, chrapał i bełkotał coś niezrozumiałego pod nosem, zupełnie nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa.

- A tu jesteś łachudro! – zauważył go komisarz . Widząc, że poszukiwany przez policję złoczyńca jest w tej chwili bezradny, włożył pistolet do kabury i wyjął z kieszeni kajdanki. Podeszedł do stolika, podniósł leżącą na blacie bezładną rękę śpiącego przestępcy i zatrzasnął na niej jedną bransoletę, a drugą zamknął na swojej. Szarpnął mocno kajdankami i syknął: - Wstawaj gnido!

- Dosyć! – Cebrzyński stanowczym krokiem wyszedł zza pleców policjanta i położył dłoń na ramieniu siedzącego na krześle, budzącego się z drzemki mężczyzny. – To z pewnością jest jakieś nieporozumienie! – Zaprotestował. – Pan Antoni jest naszym stałym współpracownikiem. Utalentowanym konstruktorem maszyn. Wypraszam sobie takie zachowanie w stosunku do jego osoby!

- Konstruktorem? – Zdziwił się policjant. – Ten człowiek jest oskarżony o wysadzenie mostu, ucieczkę z aresztu, zabór broni i pobicie dwóch policjantów! Proszę stąd natychmiast odejść i nie utrudniać mi aresztowania!

Zapanowało poruszenie. Szmer zdumienia przetoczył się przez salę.

- Co pan opowiada? Nasz poczciwy Antoni Świder jest przestępcą? – mówił Cebrzyński patrząc na komisarza z niedowierzaniem. – To chyba jakaś pomyłka!
- Wykluczone! – odpowiedział policjant. Pochylił się nad drzemiącym mężczyzną i szarpnąwszy go mocno za ramię rozkazał: - A teraz idziemy Świder! Tylko nie rób żadnych głupich numerów bo jesteś bez szans! – pogroził i skinął ręką na dwóch policjantów, którzy cały czas stali przy drzwiach.

Ci podeszli do stolika, podnieśli z krzesła grzecznego jak baranek niebezpiecznego przestępcę, który tak doprawił się podanym do obiadu winem, że nie bardzo wiedział co wokół niego się dzieje. Złapali go pod ramiona i razem z komisarzem Zarębą prowadzili przez salę do wyjścia. Świder był tak pijany, że nie stawiał żadnego oporu.

Idąc w pełnej napięcia ciszy opuścili salę balową. Kilka ciekawskich osób podążyło za nimi. Kiedy trzech policjanci i aresztant wyszli na dziedziniec pałacyku, w oczy uderzyło ich światło kilkudziesięciu reflektorów. Wokół aż roiło się od policji. Cały budynek został otoczony gęstym wiankiem uzbrojonych w karabiny, ubranych w kamizelki kuloodporne funkcjonariuszy oddziałów prewencji. Droga była całkowicie zastawiona przez migoczące niebiesko-fioletowymi światłami radiowozy. Kilkadziesiąt metrów dalej wylądował na łące policyjny helikopter. Właśnie tam poprowadzono skutego w kajdanki, pijanego złoczyńcę.

Damy, które oglądały z balkonu tę scenę wzdychały namiętnie podziwiając Antoniego Świdra – z jednej strony genialnego mechanika, a z drugiej - aresztowanego z taką klasą groźnego gangstera. Komisarz Zaręba i dwaj policjanci bez cienia uwagi, brutalnie wrzucili obiekt kobiecych westchnień na podłogę helikoptera. Śmigła zaczęły wirować i po chwili żelazny ptak wzbił się majestatycznie w powietrze i poszybował w dal nad lasem. A damy na balkonie wzdychały z zachwytem i biły brawa...

\* \* \*

Potoki deszczu lały się z nieba. Ciemną, głęboką noc przecinały błyskawice. Grzmoty piorunów rozdzierając powietrze, z nagłym



ogłuszającym trzaskiem spadały z nieba, a później toczyły się nad okolicznymi wzgórzami, jak pomruki groźnego zwierza.

Stary Kazimierski szedł w tę ulewę wąską ścieżką przez las. Trząsał się ze strachu, że zabłąkany piorun może uderzyć w któreś z drzew, pod którym będzie akurat przechodził. Nie mógł jednak uniknąć tego niebezpieczeństwa. Burza dopadła go w lesie. Musiał jak najprędzej dojść do znajdującego się już tylko kilkaset metrów dalej domu. Między konarami drzew, na tle czarnego nieba jaśniała, unoszące się nisko nad ziemią czerwona łuna. Iskra złego przeczucia rozbłysła w umyśle starego człowieka. Przyśpieszył kroku, prawie że biegł. Przecież ta łuna biła z miejsca, w którym stała jego chałupa! Rzęsisty deszcz bębnił po mokrych liściach. Drzewa przerzedzały się. Między ich pniami było co raz wyraźniej widać płonącą drewnianą chatę. Dach złamał się wpół i cały stał w ogniu! Płonęło też stojące obok chałupy rozdarte przez piorun drzewo. Ogień huczał, gęsty dym unosił się do góry i zbijany przez deszcz spadał w dół gęstymi ciemnymi cieniami snując się po polanie. Kazimierski stał i z załzawionymi oczyma patrzył jak ogień trawi cały jego dobytek. Czuł się bezradny. Ulewa nie była w stanie ugasić pożaru! Zanim zdąży powiadomić straż i nim tutaj przyjadą na ratunek, chałupa całkowicie się spali! Rzucił się pędem przez polanę aby wynieść ze środka co się da. Z płonącego dachu bił żar, od którego zapiekły go policzki, gęsty czarny dym wywoływał krztuszenie.

Oszalały ze strachu byk ryczał w oborze. Kazimierski otworzył drzwi i przez czarny dym zobaczył rzucające się na boki przykute do żłobu zwierze. Z każdym szarpnięciem mocarnej szyi byka ciężki drewniany żłób co raz bardziej wysuwał się z podmurówki. Wielki buhaj miotał się tak, że stary człowiek bał się podejść, aby uwolnić go od łańcucha. W górze huczał ogień. Płonące belki wyłamały się z sufitu i spadły na podłogę. Przez wyrwę w suficie widać było gorejący na dachu ogień. Stary człowiek nie potrafiłby tak pozostawić zwierzęcia na pastwę ognia. Pomimo lęku, że zostanie przygnieciony ciężkim cielskiem lub stratowany kopytami, wszedł do stajni. Jednak byk widząc w górze ogień, w śmiertelnym przerażeniu zebrał wszystkie siły i mocno szarpnął łańcuchem. Drewniany żłób wyleciał z podmurówki. Rozszalałe zwierze rzuciło się do wyjścia, tratując znajdującego się na drodze człowieka. Nie mogło jednakże wydostać

się z obory, gdyż szeroki żłób zaklinował się w drzwiach. Miotając się z furją bezsilnie próbowało wyjść na zewnątrz; jak najdalej od bijącego z góry żaru. Odrzucony z dużą siłą starzec wylądował w słomie pod ścianą. Biodro bolało go tak, że nie był w stanie stanąć na nogach. Zacisnął zęby i pełzając po klepisku, zbliżył się do drzwi. Będąc tuż obok tańczących chaotycznie kopyt ciężkiego zwierza sięgnął ręką przed siebie i odpiął zaczep mocujący łańcuch do żłobu. Buhaj z głośnym rykiem, jednym skokiem wydostał się z obory i wyskoczył na podwórze. Przez chwilę widać go było w blasku ognia, jak biegnie przez sad, a później wskakuje do lasu.

Kazimierski przeczołgał się nad progiem i pełznąć przez mokrą trawę, oddalił się na bezpieczną odległość od płonącej chałupy. Chciał wstać i ratować dobytek. Wynieść, co cenniejsze rzeczy z izb, ale dotkliwy ból w biodrze nie pozwalał mu ustać na nogach. Bezwiednie zacisnąwszy rękę na kępce trawy z oczyma pełnymi łez patrzył jak płonie jego dom, a wraz z nim dobytek jego życia.

\* \* \*

Aż dwieście tysięcy złotych kaucji musiało wpłacić Lubelskie Stowarzyszenie Producentów Przetwórstwa Mięsnego, aby Antoni Świder mógł cieszyć się wolnością i czekając na rozprawę w sądzie, zająć się konstruowaniem dużej maszyny wytwarzającej Szynkadełę w ilościach przemysłowych. Wespół z kilkoma inżynierami większość czasu spędzał w warsztacie znajdującym się na terenie zakładów BykRolu.

Firma żywiąc duże nadzieje z nowym produktem, który już niebawem miał się stać przebojem rynku przetwórstwa mięsnego, dokładała wszelkich starań, aby zapewnić kilkuosobowemu zespołowi jak najlepsze warunki pracy. Bez jakichkolwiek pytań lub wątpliwości akceptowano wszelkie wydatki związane z budową maszyny będącej powiększoną wersją Parnkoświdrygatora. Pod okiem Antoniego skreślono plany poszczególnych części mechanizmu. Zamówienia na ich wykonanie zostały złożone do hut oraz zakładów zajmujących się

obróbką metali. W celu ułatwienia transportu ciężkich elementów, do zakładu doprowadzono tory kolejowe.

Po kilku tygodniach przewieziono koleją do BykRolu metalowe pierścienie, z których miał powstać korpus maszyny. Kilka dni później ciężarówkami dostarczono pozostałe elementy skomplikowanej konstrukcji. Nie obyło się bez pewnych problemów, zrozumiałych zresztą ze względu na pionierską naturę całego przedsięwzięcia. Okazało się, że niektóre części wykonane z tworzyw sztucznych nie wytrzymują wysokiej temperatury i ciśnienia panującego wewnątrz korpusu już w wstępnej fazie pracy. Na szczęście producent po przeanalizowaniu przyczyn niepożądanego zjawiska, dwa tygodnie później nadesłała nowe ulepszone części, które działały już bez zarzutu. Mimo, że moment oddania maszyny do użytku opóźnił się, warto było poczekać gdyż już trzy dni po pierwszym uruchomieniu, udało się uzyskać pełnowartościową Szynkadę, niczym nie ustępującą jakością tej, którą wytwarzał jej prototyp – Parnikoświdrygator. Na cześć głównego konstruktora maszynę przypominającą ogromny metalowy cylinder nazwano „Świdrygator”. Cały zespół biorący udział w nowatorskim projekcie został wynagrodzony wysokimi premiami. Zarząd Stowarzyszenia zacierał ręce widząc, że po wielu latach biedy nadchodzi czas robienia złotych interesów i to na skalę międzynarodową.

W dniu rozpoczęcia produkcji Szynkadeli zorganizowano uroczyste przyjęcie z udziałem lokalnych władz, miejscowych liczących się biznesmenów, burmistrza Lublina i całej śmietanki towarzyskiej. Przybył też specjalny delegat przysłany przez ministra rolnictwa, który siedząc w swym gabinecie nawet z odległości stu osiemdziesięciu kilometrów, dzielących Wodziejowice od stolicy wyczuwał wielkie pieniądze w nowym nieznanym świecie produkcji. Ekipa telewizyjna ze znanego dziennika na żywo nadawała relację z przyjęcia, przeprowadzając wywiady z osobami zaangażowanymi w powstanie Szynkadeli. Od czasu do czasu na szklanym ekranie pojawiał się obraz pracującej maszyny. Przedstawiciele mediów zgodnie twierdzili, że dzisiejszy dzień zapoczątkuje przełom w postrzeganiu Polski jako producenta wędlin na światowym rynku branży przetwórstwa mięsnego.

Na swój sposób świętował też i Antoni Świder; jako człowiek prosty, skromny i nie lubiący rozgłosu zakupił kilka butelek wina i jak za dawnych czasów popijał w parku ze swoimi kompanami. Tak jak wcześniej wszyscy pili z gwinta; zmieniło się tylko tyle, że oni byli w obdartych ciuchach, a on w białym garniturze...

\* \* \*

Anna Terlecka po odnalezieniu niezwykłego mechanika, który skonstruował maszynę produkującą Szynkadę, zachowała posadę dyrektora marketingu w BykRolu. Stanowisko prezesa tego zakładu objął Olek Bartkowski – kolega ze szkolnej ławy Alberta Malinowskiego. Ten ostatni sprzedał swój warsztat naprawczy w Chicago i zapożyczywszy się w jednym z amerykańskich banków na kwotę dwustu tysięcy dolarów przymierzał się do zakupu BykRolu, konkurując z Austriackim biznesmenem Hansem Roithnerem. Nieoczekiwane wynalezienie Szynkadeli całkowicie pokrzyżowało plany obydwójga inwestorów. Zarząd Stowarzyszenia długo odwlekał decyzję o sprzedaży BykRolu, aż ostatecznie wycofał się z niej całkowicie. Do przetargu nie doszło wcale, a zwrot wpłaconych jako wadium pieniędzy – po czterysta tysięcy złotych od każdej ze stron – został przesunięty w czasie na bliską aczkolwiek trudną do określenia przyszłość (oddanie pobranego wadium było w tym momencie praktycznie niemożliwe gdyż inwestycje na budowę maszyny poczyniły spustoszenie w kasie Stowarzyszenia).

Albert Malinowski pieklił się i popadał w histerie; musiał na bieżąco spłacać raty z wysokimi odsetkami i nie bardzo wiedział, co zrobić z znajdującymi się na jego koncie dwustoma tysiącami dolarów, które przeznaczył na zakup zakładów masarskich w rodzinnych Wodziejowicach. Nieustannie awanturował się ze swym wspólnikiem Bartkowskim, ten jednak niewiele mógł zdziałać gdyż Zarząd Stowarzyszenia cały czas miał pod lupą to co się działo w kierowanym przez niego zakładzie. Pierwotny zamiar kupienia BykRolu przez Malinowskiego w utajnionym przetargu okazał się przedsięwzięciem zakończonym całkowitą kląpą.

Rozwój wydarzeń okazał się być bardzo korzystny dla dwudziestokilkuletniej Anny Terleckiej, która awansowała z zarabiającej sześćset złotych miesięcznie rozbieraczki na dyrektora marketingu z pensją w granicach dziesięciu tysięcy złotych. Zyskała także dwóch adoratorów: z jednej strony cholewki smalił do niej jej przełożony Olek Bartkowski, a z drugiej Antek Świder – człowiek prosty a jednak obdarzony nieprzeciętnym talentem mechanizatorskim. Na jednym ze spotkań dowiedziała się od niego, że skończył technikum rolnicze i przez pewien czas dobrze mu się wiodło. Nieudane małżeństwo, rozwód, utrata stałej pracy spowodowały, że zaczął zaglądać do kieliszka i z roku na rok staczał się co raz bardziej. Był jednak człowiekiem upartym i pracowitym a to rokowało nadzieję, że może się z tego dołka wydobyć.

Ci dwaj mężczyźni unikali się nawzajem jak wilki ognia, jednakże los zrządził, że pewnego dnia zbiegły się ich ścieżki.

\* \* \*

Na gwiazdzistym niebie srebrzył się rąbek księżyca. Łagodny wiatr szumiał między gałęzmi drzew. W chłodnym powietrzu daleko niósł się rechot żab, których setki zaległy się w kilku hektarowym płytkim stawie porośniętym trzciną i tatarakiem. W spokojnej toni wody długą białą smugą odbijały się światła stojącego obok domostwa. Ubrany w nowe dżinsowe spodnie i skórzaną kurtkę Antoni Świder szedł śmiało ścieżką prowadzącą do kładki nad rzeczką, która wpadała do stawu.

Nie był już to ten sam Antek Świder, jakim go znał świat kilka miesięcy temu. Sukces odmienił jego oblicze; przedtem przygnębiona i twarz teraz promieniała radością i pewnością siebie. W dawniej smutnych i niewidzących przyszłości oczach, teraz pojawił się optymistyczny spokój. Napięte wcześniej rysy stały się teraz łagodne. Całe jego oblicze zdawało trwać w radosnym oczekiwaniu na kolejne szczęśliwe wydarzenie. Dawniej Antek chodził ze spuszczoną głową i wtulonymi w kark ramionami. Sprawiał wrażenie jakby nieustannie czegoś szukał; niedopalonego papierosa, zgubionego portfela, przybrudzonej monety – nagrody pocieszenia dla człowieka, z którym brutalnie obszedł się los. Teraz patrzył prosto, żeby wiedzieć, dokąd

idzie. Sukces rozszedł się w nim od kręgosłupa i promieniował na całe ciało. Inaczej teraz chodził, inaczej siedział, co innego o sobie myślał i dziwił się, że wcześniej sam siebie postrzegał jako życiowego pechowca i nieudacznika. Świat widział go jako człowieka, któremu się powiodło, ludzie mu się kłaniali i mówili o nim z uznaniem, a przecież był to ten sam Antoni Świder, co kilka miesięcy temu. Nie zmieniło się tylko jedno; zawsze zabierał ze sobą swą nieodłączną towarzyszkę – butelkę wina. Tyle tylko, że teraz jak mówił, nie zapijał smutków, lecz pił dla dobrego humoru.

Kiedy wchodził na kładkę dostrzegł jaką postać po drugiej stronie. Kładka, a właściwie zwykła przerzucona przez rzeczkę gruba deska, ugięła się pod jakimś ciężarem. Antek zachwiał się lekko i machając rękoma łapał równowagę.

- Kto tam idzie? – Zawołał groźnie. W świetle księżyca postać po drugiej stronie kładki zdawał się mu być dziwnie znajoma. – Kto tam? – powoli pytanie.
- A witam genialnego mechanika – rozpoznał głos Bratkowskiego. – Widzę, że pan Antoni w wieczornych spacerze natchnienia szuka.
- Do Terleckiej idę. Zejdź mi z drogi!
- Właśnie od niej wracam. Nie kazała cię pozdrowić.
- Zejdź mi z drogi, bo się zaraz nażresz żabiego skrzeku.
- Mam nadzieję, że umiesz pływać, bo, jak nie zjedziesz mi z kładki to wylądujesz w rzece! – groził Bartkowski.

Ani jeden, ani drugi nie zamierzał ustąpić. Znajdując się na kładce, obydwaj zrobili kilka kroków przed siebie i spotkali się na samym środku uginającej się pod ich ciężarem deski. Patrząc po sobie nieufnie zbliżyli się na odległość wyciągniętej ręki. Świder zdjął skórzaną kurtkę i trzymając ją za kołnierz przymierzał się do zadania ciosu. Bartkowski widząc to ściągnął płócienną wiatrówkę i wsunął do jednej z kieszeni ciężki pęk kluczy. Przez chwilę stali patrząc się na siebie w milczeniu. Pierwszy zaatakował Świder; zamachnął się kurtką i celując w tułów przeciwnika odchylił się do przodu. Czujny Bartkowski odskoczył, kurka przecięła powietrze a Antek z trudem łapał równowagę na bujającej się do góry i na dół desce. Butelka wina, którą włożył za pasek spodni, wysunęła się i głębokim pluskiem wpadła do wody. Rozległ się furkot materiałowej kurtki, pęk kluczy z głośnym brzękiem wylądował na grzbiecie Świdra. Ten jęknął z bólu i jednocześnie rzucił się przed siebie. Z rozpędu uderzył głowa swego

przeciwnika w brzuch. Bartkowski rozkrzyżował ręce. Mocne uderzenie wytrąciło go z równowagi. Deska zachybotała się niebezpiecznie. Machając chaotycznie rękoma, przechylił się do tyłu i nie natrafiwszy nogą na oparcie wpadł do rzeki. Świder upadł na brzuch i kurczowo złapał się kładki. Ochlapały go fontanny zimnej wody. Kątem oka patrzył na próbującego wydostać się z rzeki pokonanego konkurenta i śmiał się głośno. Tymczasem Bartkowski mimo, że rzeka w tym miejscu sięgała mu zaledwie do pasa, nie mógł się z niej wybrnąć ze względu na głęboki muł. Ślizgał się w nim i co chwilę przewracał, nieustannie krztusząc się wodą. W końcu złapawszy się ręką trzciny, wypęzł na brzeg. Stojąc na czworaka ciężko dyszał i pokasływał wypluwając z ust wywołującą obrzydzenie przezroczystą galaretowatą masę – żabi skrzek. Słyszając za sobą szydery śmiech zaprzysiągł sobie pomścić tę zniewagę.

\* \* \*

Szynkadela sprzedawała się znakomicie. Konsumenci byli zachwyceni jej smakiem i zadowoleni z niewygórowanej ceny. Dzięki sprawnie działającej sieci dystrybucyjnej, w ciągu dwóch tygodni dotarła ona do większości sklepów mięsnych w Polsce. Media nadały faktowi wyprodukowania Szynkadeli rangę sensacji, co znacząco nakręcało sprzedaż. Każdy chciał spróbować owego specjału, o którym ostatnio tak głośno zrobiło się w prasie, radio i telewizji.

Przed sklepami mięsnymi już od wczesnych godzin porannych ustawiały się długie kolejki chętnych do nabycia smakowitych mięsnych grudek. Tym bardziej, że Zarząd Stowarzyszenia nawiązując do hasła reklamowego „Dobry jak szynka, tani jak mortadela”, celowo utrzymywał niewysoką cenę, nie ulegając pokusie podniesienia jej pomimo, że wzrastający popyt jak najbardziej uzasadniałby takie działanie.

Powstawały nowe przepisy kulinarne. Znany prezenter – mistrz patelni – jeździł z ekipą telewizyjną po kraju i w specjalnym programie pokazywał odkryte przez lud sposoby przyrządzania Szynkadeli. Pod tym względem inwencja ludzka nie znała granic; trzeba jednak przyznać, że wytwarzany w Wodziejowicach specyfik

najlepiej smakował z dobrze okraszonymi ziemniakami i gotowaną kapustą.

Sensacją powstałą wokół Szynkadeli zainteresowały się również media zagraniczne; Telewizja BBC nadała półgodzinny reportaż z na temat masarni BykRol i powstającego w niej produktu. W „New York Times” ukazał się artykuł pod tytułem „Geniusze w Wodziejowicach”. Z kolei Niemiecki Der Spiegel opatrzył fakt wyprodukowania niezwykle smacznych mięsnych grudek ironicznym komentarzem „To chyba najlepsze co obecnie Polska może dać Unii”. Wieść o Szynkadeli szeroko rozniosła się po świecie. Na oferty współpracy od zagranicznych firm nie trzeba było długo czekać.

\* \* \*

Prezes Zarządu Adam Cebrzyński siedział w swym gabinecie oczekując na zapowiedziane przybycie przedstawicieli General Food Corporation. Jak do tej pory była to największa firma, która zaproponowała współpracę BykRolowi. Dotychczas podpisano kilka pomniejszych kontraktów z dwoma firmami włoskimi i jedną holenderską.

Kilkanaście minut po godzinie dziesiątej rano przed budynkiem siedziby Zarządu zaparkował czarny Chrysler na amerykańskich numerach rejestracyjnych. Wyszło z niego dwóch czarnoskórych mężczyzn ubranych w granatowe garnitury. Trzymając w rękach nesesery niespiesznie udali się w kierunku wejścia do budynku. W kilka chwil później wysiedli z windy na trzecim piętrze. Recepcjonistka wskazała im drogę do gabinetu w którym oczekiwał na nich Prezes Zarządu.

Nie był to pierwszy kontakt czarnoskórych mężczyzn z Zarządem Stowarzyszenia. Przed dwoma miesiącami przedstawiali oni ofertę kupna BykRolu. Znani byli również ze swojego zamiłowania do motocykli: to właśnie oni jeździli na srebrzystych Harleyach Electra po Wodziejowicach i okolicznych wioskach.

Na pierwszy rzut oka obydwaj Afroamerykanie byli do siebie bardzo podobni. Dopiero z czasem dawało się zauważyć odróżniające ich cechy urody. Nazywali się John Smith i George Tracy. Obydwaj



pochodzili ze stanu Kalifornia. Tutaj w Polsce zajmowali się wyszukiwaniem partnerów handlowych dla swojego pracodawcy za Wielką Wodą.

Gdy weszli do gabinetu Adam Cebrzyński przywitał się z nimi i wskazał miejsca na dwóch fotelach ustytułowanych naprzeciw biurka. Jako że znał biegle angielski, rozmowa toczyła się w tymże właśnie języku.

Spotkanie rozpoczęto od zagajenia o pogodzie i stanie polskich dróg po których praktycznie nie powinno się, zdaniem przybyszów z Ameryki, jeździć motocyklami. Po kilku minutach starszy z nich, John Smith przystąpił do meritum sprawy:

- Panie prezesie, General Food Corporation chce zakupić maszynę służącą do produkcji Szynkadeli – rzekł rzeczowym tonem.

Zaskoczony propozycją Cebrzyński zamilkł na chwilę.

- A za ile? - zapytał będąc człowiekiem otwartego umysłu.

- Dwa miliony dolarów – odpowiedział George Tracy. – To wyjątkowo korzystna oferta biorąc pod uwagę, że i tak nie będziecie w stanie długo utrzymywać tajemnicy jej konstrukcji i działania.

Na czole Cebrzyńskiego pojawiał się surowy mars.

- Być może nie, ale spodziewamy się zarobić na niej więcej niż dwa miliony dolarów, zanim to się stanie – ironiczny uśmiech pojawił się w kącikach jego ust.

Dwaj czarni dżentelmeni jednocześnie wybuchli śmiechem.

- Ależ to był żart! Wiadomo, że nikt nie sprzeda kury znoszącej złote jajka! – rzekł Smith otwierając neseser. Wyjął z niego plik dokumentów i położywszy go na stole powiedział: - Tak naprawdę sprowadza nas tutaj zamiar podpisania kontraktu o wartości siedemnastu miliardów dolarów. Interesuje nas uzyskanie wyłączności na import Szynkadeli do USA i Kanady.

Cebrzyński odchylił się na fotelu i spojrzał w sufit by siedzący przed nim mężczyźni nie zauważyli błysku w jego oczach. Biznes jest jak narkotyki; wciąga i dla dobrego prosperowania potrzebuje co raz większych dawek, jednakże jednorazowy strzał może rozchwiać całą równowagę, wprowadzić w stan pieniężnej gorączki, bezsennych nocy z kalkulatorem, utraty kontaktów towarzyskich, znużenia fizycznego i wyczerpania nerwowego. Wszystko po to aby czegoś nie zawalić, aby wyjść na tym jak najlepiej, znaleźć jeszcze lepsze rozwiązanie od

obecnego, żeby jak najwięcej zarobić. Adam Cebrzyński dobrze o tym wiedział, ale na szczęście nie był sam; jemu udzielała się tylko część tego napięcia.

- Gdybym był chciwy stracilibyśmy szesnaście miliardów i dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem miliardów dolarów - spostrzegł z przelotnym uśmiechem starego przebiegłego lisa: - To bardzo intratna propozycja. Rzeczą oczywistą wszystkie kwestie muszą zostać uzgodnione przez cały Zarząd Stowarzyszenia. Na wstępie zapoznam się waszą ofertą, by przedstawić ją w szerszym gronie.
- Znakomicie – rzekł George Tracy błyskając nieskazitelną bielą zębów. – A zatem przystąpmy do rzeczy...

Spotkanie trwało około półtorej godziny. Uzgodniono na nim wstępne warunki współpracy między obydwojema firmami. Wynik rozmów zdawał się satysfakcjonować obydwie strony, gdyż zarówno Adam Cebrzyński jak i przedstawiciele amerykańskiej korporacji, opuścili gabinet z zadowolonymi minami. Uzgodniono, że za tydzień w tymże właśnie miejscu, w obecności całego Zarządu, przy udziale mediów, dojdzie do uroczystego podpisania kontraktu na niebagatelną kwotę siedemnastu miliardów dolarów!

\* \* \*

A tymczasem człowiek, który w znaczący sposób przyczynił się do powstania Szynkadeli - Zenon Orłowski - miast na równi z innymi święcić sukcesy i zbierać laury, odsunięty w cień zamknął się na terenie swej posesji i całymi dniami przebywał w ogrodzie zajmując się podlewaniem kwiatów i pielęgnacją roślin. Było to do niego, człowieka energicznego otoczonego charyzmą szybkiego radykalnego działania zupełnie niepodobne. Znajomi twierdzili, że po zwolnieniu go ze stanowiska prezesa BykRolu wpadł w przygnębienie i depresję. Jednakże znając go od lat zgodnie wyrażali pogląd, że człowiek ten nie wytrwa długo w takim stanie, wyjdzie z cienia, i znowu wypuści się na głębokie wody. Czasami na przezwyciężenie takiego stanu trzeba trochę poczekać, a czasami dopomaga w tym impuls od życia.

Kiedy pewnego wieczora Zenon Orłowski wracał z biblioteki, w której ostatnimi czasy często przebywał posłyszał za swoimi plecami szept:

- Panie Orłowski, proszę zaczekać.

Kilka metrów za nim, pod świecą mlecznobiałym światłem latarnią, stał lśniący zielonkawym lakierem Jaguar. Drzwi otwały się z ledwo słyszalnym trzaskiem. Po stronie pasażera wysiadł z samochodu Hans Roithner, a po stronie kierowcy nieznanemu mu mężczyzna. Ten ostatni, uśmiechając się wylewnie mówił:

- Jestem tłumaczem. Pan Roithner chciał się spotkać w wyjątkowo ważnej sprawie.

- Słucham – rzekł Orłowski zatrzymując się w miejscu.

Austriak przywitał się z nim i przez swojego tłumacza prowadził rozmowę.

- Czy wie Pan co ostatnio dzieje się w BykRolu?

- Tak. Oglądam telewizję. Firma stała się znana ma świecie – rzekł beznamietnym tonem. – Dzięki Szynkadeli.

- Doszły mnie słuchy, że to właśnie na pańskie polecenie przystąpiono do badań mających na celu wymyślenie nowego produktu.

- To pomysł tej... jak jej tam – szukał w pamięci. – Terleckiej.

- A jednak to pan go zaakceptował i zgodził się na przeznaczenie środków na ten cel.

- Tak to prawda – potwierdził Orłowski.

- Czy w związku z tym, nie czuję się pan dziś pokrzywdzony? Dzięki tej inicjatywie sami wspięli się na świecznik, a panu dali wypowiedzenie.

Były prezes BykRolu, wsunął ręce do kieszeni spodni i popatrzył do góry w miejsce gdzie na niebie jaśniały punkciki gwiazd.

- Bo to głupcy byli – powiedział z westchnieniem. – Co do jednego.

Austriak przez chwilę patrzył w dół oglądając czubki swych butów. Widać było po nim, że zbiera myśli. W końcu podniósł głowę i rzekł:

- Jest pan narwańcem, człowiekiem można by powiedzieć szalonym. Właśnie dlatego do pana przychodzę. Mam na myśli pewne ryzykowne, ale wyjątkowo opłacalne przedsięwzięcie – Orłowski spojrzał na niego w milczeniu a Hans Roithner dostrzegłszy zaniepokojenie w jego oczach kontynuował: - Szukam współnika, który pokieruje akcją wykradzenia maszyny produkującej Szynkadelę. Pan ma zdaję się mieć wszelkie potrzebne predyspozycje... i motywację – dodał po chwili.

Orłowski przyjrzał mu się badawczo. Coś w nim drgnęło, zagrała jakaś emocja, ale prędko wygasła.

- Jak chce pan wykraść tak wieka maszynę, do której części przywożono w wagonach kolejowych? – zapytał cynicznym tonem.

Hans Roithner wzruszył ramionami

- Nie wiem. Chyba też koleją? – powiedział rozglądając się na boki jakby szukał rozwiązania. – W tej gestii zdaje się całkowicie na pańską pomysłowość.

- Nie wchodzę w to – brzmiała zdecydowana odpowiedź byłego prezesa BykRolu. Odwrócił się i zaczął iść w kierunku swojego Porsche.

- Więc co po tym wszystkim zamierza pan robić? W tych stronach nie prędko pojawi się etat, na którym zarobi pan dwadzieścia tysięcy, a w mojej firmie we Wiedniu takie stanowisko może powstać już jutro – zachęcał Roithner. – Zresztą, to zależy tylko od pana.

- Co zamierzam robić? – powtórzył pytanie Zenon Orłowski. – Pomidory hodować.

- Pomidory hodować? – zaśmiał się Roithner. – Nie zarobi pan na tym na paliwo do swojego cacka.

Orłowski nie odpowiedział. Odblokował pilotem alarm i otworzywszy dziwi wsiadł do samochodu. Wkrótce dał się słyszeć miarowy odgłos pracy silnika. Austriak zaklął po niemiecku i spojrzawszy na tłumacza rzekł z rezygnacją w głosie:

- Ten człowiek jest stracony dla biznesu. Wracamy do Wiednia Volfe [niemiecki].

Tak jest panie Roithner – odpowiedział posłusznie tłumacz. – Pomidory hodować. Też mi pomysł – westchnął. – Przecież pomidory w Unii są dotowane... [niemiecki]

\* \* \*

Dwa koty jeden czarny, a drugi bury baraszkowały po podłodze. Wbiegły pod łóżko, walcząc ze sobą rozrzuciły kilka starych par butów, wyciągnęły pazurami żdźbła słomy wystającej między deskami, i spowrotem wytoczyły się na środek izby. Czarny kocur gonił burego a ten z nastroszonym ogonem uciekał przed nim po całej

kuchni. Wskoczył na drewnianą ławę i ukrył się między stojącymi na niej dwoma wiadrami. Czarny podskoczył do góry i uderzył łapką zwisającą w dół, nerwowo poruszając się napuszczony ogon. Bury miauknął, wspiał się na obramowanie kuchni, tuż obok gorących blach, i odbiwszy się mocno od ramy wylądował na suszących się drwach położonych na wierzchu pieca. W pewnym momencie zaczął się zachowywać bezładnie, zeszywniał i pociągając za sobą kilka drew z hukiem upadł na podłogę.

- Właśnie tak działa ta trucizna – powiedziała stara znachorka wstając z krzesła. Podeszła do leżącego na podłodze martwego kota i wrzuciła go do skórzanej torby.
- Piorunująco – zauważył siedzący za stołem mężczyzna. – Czy zawsze jest taka skuteczna?
- Zawsze zabija na amen – odpowiedziała krótko.
- Ile razy otruto nią człowieka?

Stara baba kuśtykając weszła do sąsiedniej izby i położyła tuż przy progu torbę z martwym kotem. Ciężko sapiąc przeszła przez całą kuchnię i usiadła za zagraconym stolikiem.

- A po co to chce wiedzieć? – naburmuszyła się. – Może z policji jaki czy co?
- Gdzie tam ja z policji! – oburzył się mężczyzna. – Muszę mieć pewność, że zadziała. Ot co!.
- Ostatnio to parę lat po wojnie ktoś ją podłożył jednemu człowiekowi – mówiła nalewając ciemnozielony napój do kubków. W kuchni zapachniało miętą. – Teraz ludzie nie używają trucizn. W sądach się procesują całe lata.

Czarny kot podbiegł do niej i zaczął się ocierać o jej nogę. Znachorka pochyliła się i pogłaskała go po głowie.

- Ciebie jednego mam mruć – zaskrzeczała. – Tamten myszy nie łowił, to mu się dostało – popatrzyła na siedzącego naprzeciw niej klienta i zapytała: – A dlaczego chce kogoś otruć?
- O kobietę poszło.

Znachorka poprawiła kraciastą chustę nasuwającą się na jej pomarszczone czoło.

- Z tymi truciznami to zawsze chodziło o kobietę – wyjęła z szuflady butelkę po syropie. Wewnątrz niej znajdował się ciemny gęsty płyn. – Wcale jej nie czuć. Można ją dodać do picia albo do jedzenia. Ino trzeba pamiętać, żeby dłużej nie stała niż jedną dobę

bo zwietrzeje i moc straci – instruowała – A jak lekarze zaczną sprawdzać na co umarł, to wyjdzie że na atak serca – postawiła kubek na stole tuż przed swym gościem i zaproponowała. – Może się herbaty miętowej się napije?

- Nie dziękuj – wzdrygnął się mężczyzna. Klepnął otwartą dłonią w kolano i zapytał: - No dobrze. To ile się należy?
- Ile? Ano nie wiem – ociągała się z odpowiedzią stara kobieta. – Dach się wali, na wiosnę trzeba ściany pobielić...
- Sto złotych?
- Węgiel na zimę kupić – ciągnęła – ze trzy metry ziemniaków przywieźć, bo się już kończą, płot poprawić, bo się dzikie psy pod chałupę się zlatują...
- Dwieście?
- Piec wyremontować, bo dym na izbę leci, szyby w okna wstawić, bo dzieciaki powybijały...
- Trzysta?
- Niech będzie trzysta – zgodziła się baba. – Ino od razu!

Jej zaaferowany klient sięgnął do kieszeni w spodniach i wyjął stamtąd skórzany portfel. Odliczył żadaną kwotę w papierowych banknotach i położył je na stole.

- Takiego zakupu jeszcze nie robiłem – powiedział biorąc do ręki buteleczkę z trucizną. – Liczę na dyskrecje – dodał rzuciwszy nieufne spojrzenie na znachorkę.
- I ja też. Niech nikomu nie mówi, że u mnie był.
- Nie powiem.

Mężczyzna wstał od stołu. Wolnym zamyślonym krokiem podreptał przez kuchnię i wszedł do sieni. Znachorka pośpieszyła za nim, aby otworzyć zaryglowane drzwi.

- Niech się dobrze zastanowi, czy chce komuś podłożyć bo na to odtrutki nie ma – ostrzegła skrzeczącym głosem. – Tylko pięć kropli trzeba żeby zabić człowieka.
- Dziękuję za radę – odparł wychodząc z chałupy. – Do widzenia – pożegnał się będąc na podwórku.

Ciężkie drzwi z desek zamknęły się za nim. Idąc powoli, z rozmysłem, szedł ścieżką biegnącą od starej chaty do drogi. Nad jego głową unosiło się stado czarnych kruków.

\* \* \*

Kilka dni po złożeniu oferty współpracy przez Amerykański Koncern General Food Corporation, Zarząd Stowarzyszenia zebrał się w pełnym składzie, aby przeanalizować szczegóły kontraktu opiewającego na niewyobrażalną kwotę siedemnastu miliardów dolarów. Cztery posiwiałe głowy deliberowały nad tą niecodzienną propozycją. I nic też dziwnego, że trudno im było ogarnąć myślami wszelkie pozytywne jak i negatywne aspekty podpisania tego intratnego, aczkolwiek wyjątkowo zobowiązującego kontaktu, skoro skala działań przypominała operacje międzynarodowych korporacji, a rzeczona kwota dziesięciu milionów dolarów bardziej przywoływała na myśl rozliczenia międzypaństwowe i kontrakty rządowe aniżeli pieniądze, którymi zwykły obracać polskie firmy. Zdawali sobie sprawę, że współpraca z Amerykanami to pierwszy rejs po szerokich międzynarodowych wodach i głowili się nad tym, aby wykorzystać tą szansę i popłynąć jak najdalej. Czy jednak właśnie dzięki temu kontaktowi można było wyciągnąć maksimum korzyści płynących z faktu posiadania jedyne w swoim rodzaju produktu? W przestronnym gabinecie wśród kłębow dymu papierosowego i woni kawy toczyła się na ten temat ostra dyskusja.

- Moim zdaniem podpisanie tego kontraktu to pójście na łatwiznę – mówił Wichrowski grubawy dyrektor odpowiedzialny za marketing. – Więcej osiągniemy współpracując z kilkoma firmami w Stanach niż dając wyłączność jednej – popatrzył do kieliszka z grubego szkła na dnie którego znajdowały się resztki koniaku – Musimy się cenić panowie – dodał pouczającym tonem.
- Amerykanie chcą tak dużych dostaw, że praktycznie zajmą one całe moce przerobowe – twierdził Rychter, poprzednio dyrektor techniczny jednego z zakładów a obecnie członek zarządu wyznaczony do nadzoru nad produkcją. – W tej sytuacji współpraca z innymi firmami odpada. Nawet gdyby maszyna działała nieustannie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – co jest niedopuszczalne ze względu na konieczną konserwację – to i tak nie da się wyprodukować więcej niż trzydzieści ton Szynekadeli w ciągu jednego tygodnia.
- A właśnie tyle chcą Amerykanie – zauważył Cebrzyński.

- Nie, no panowie – wysoki chudy Chojnacki, prezes zakładu znajdującego się w Lublinie, protestująco zamachał rękoma, krzywiąc się jednocześnie z niesmakiem. - Nie możemy się uzależniać od jednego klienta. Później będzie nam dyktował warunki...
- Chyba żeby wybudować jeszcze jedną maszynę – zaproponował rozwiązanie Bartkowski. – Mamy już doświadczenie. Z drugą pójdzie znacznie łatwiej.
- To ogromny koszt. Zaciągnęliśmy wysoki kredyt, żaden bank nie udzieli nam kolejnego – mówił Cebrzyński. – Chyba żeby uzyskać gwarancje skarbu państwa – uśmiechnął się zaciekawiony własnym pomysłem. – Sądzę, że to nawet jest możliwe...

Chojnacki rozlał koniak do pustych kieliszków.

- W przypadku Szynkadeli, filozofia marketingu jest zupełnie inna niż plan na sprzedaż parówek – powiedział siadając z powrotem na fotelu. – Dopóki tylko my mamy maszynę wytwarzającą Szynkadę i dopóki jest na nią popyt, nie musimy zabiegać o zwiększenie produkcji. Tu nie chodzi o to, żeby produkować dużo, lecz sprzedawać za dobrą cenę. Jeszcze jedna maszyna, to tylko zbyt drogi koszt...
- Co racja, to racja... – zgodził się Rychter.

Nagle rozległ się huk otwieranych drzwi. Do gabinetu wtargnęły dwie postacie – pierwszą z nich był Albert Malinowski, a drugą pracownik ochrony, który bezskutecznie próbował zatrzymać go w miejscu. Ochroniarz co chwilę patrzył w kierunku siedzących za stolikiem osób z mocno zrozpaczoną miną.

- Przepraszam panie prezesie... no co za głupi gbur... wepchał się na siłę... – wołał przez zadyszkę – zaraz go stąd wyciągnę...
- Nie trzeba! – odezwał się Cebrzyński. – Pan Malinowski może tu zostać. Proszę wyjść i czekać pod drzwiami.
- Tak jest – pracownik ochrony przestał się szarpać z nieproszonym gościem i posłusznie wyszedł z gabinetu.

Adam Cebrzyński wstał i nie wychodząc zza stołu, dobrze maskując poirytowanie, zapytał:

- Co pana sprowadza w nasze skromne progi, panie Albercie?
- Długo! – odparł krótko Malinowski będąc cały czas w bojowym nastroju.



- Długi? Z tego co mi wiadomo, to pan jest najbogatszy z nas wszystkich! – powiedział wiedząc o tym, że powszechnie znany jest fakt iż niedoszły właściciel BykRolu posiada na swym koncie okrągłą sumkę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W gabinecie rozległy się skrywane za rękawami marynarek prześmiechy.
- Nie mam nastroju do żartów! – ostrzegł groźnym tonem Malinowski. Poprawił pogniecioną w czasie szarpaniny marynarkę i mówił podniesionym podenerwowanym głosem, ledwo hamując się od krzyku: - Bank w którym wzięłem pożyczkę, na zakupienie tego waszego b u r d e l u! – pochylił szyję jak byk szykujący się do walki – tak właśnie b u r d e l u! – powtórzył rozglądając się jakby szukał zaczepki – Burdelu zarządzanego przez czterech a l f o n s ó w! – wykonał ręką szeroki gest wskazujący na całe zebrane za stołem towarzystwo – s t a r y c h Alfonsów! – dodał z naciskiem. – Otóż ten bank chce, żebym spłacił pierwszą zaległą ratę kredytu i drugą bieżącą. A ja nie mam pieniędzy bo je wpłaciłem na kupno tej waszej zaszraney tancbudy! - podszedł do stołu i oparł dłonie na blacie. Powiało od niego alkoholem. Pochylił się i niemal w twarze siedzących za stołem członków zarządu wyszeptał: – Oddajcie mi moje czterysta tysięcy złotych!

Cebrzyński położył mu rękę na ramieniu i odepchnął go od stołu.

- Wypraszam sobie te zniewagę! – krzyknął. Przeszedł się kilka kroków tam i spowrotem. – Pieniądze zwrócimy, to pewne! Ale jak będziemy je mieli – dodał nieco łagodniejszym tonem.
- Panie Albercie u nas kasa pusta – wyjaśniał Rychter. – Zapożyczyliśmy się w bankach na budowę maszyny. Cały czas spłacamy długi... Gdyby pan zechciał jeszcze trochę poczekać...
- Poczekać?! – przerwał mu bankrutujący przedsiębiorca. – Za trzy dni muszę wpłacić dziesięć tysięcy dolarów! – potoczył dookoła mętnym, niespokojnym spojrzeniem i ku ogólnemu zdziwieniu padł na kolana i wyjęczał: - Panowie oddajcie mi pieniądze, bo odsetki mnie zabiją. Ten dług zrujnuje mi życie...

Nie było w gabinecie osoby, której nie ogarnęła by fala współczucia dla tego bądź co bądź pokrzywdzonego przez ich decyzję człowieka. Jednak w biznesie nie ma sentymentów.

- Nie mamy pieniędzy, panie Malinowski! – rzekł twardo Cebrzyński. – Czy pan to rozumie? Oddamy w późniejszym terminie.

- Nie macie pienie... – Malinowski zerwał się gwałtownie na równe nogi. W jego rękę błysnął czarny rewolwer. Padł chaotyczny strzał. Kula zrobiwszy dziurkę w ścianie, odłupała kawałek tynku. Szczęknął mechanizm bębena. W komorze naboju znalazł się kolejny pocisk. Cztery osoby zasłaniając głowy dało nura pod stół. Cebrzyński jako, że stał najbliżej i uciec nigdzie i tak by już nie zdążył, rzucił się wprost na napastnika. Waląc z rozpędu głową w pierś powalił go na podłogę. Rewolwer wypadł z ręki Malinowskiego. Zaczęła się szarpanina. Rychter i Chojnacki rzucili się na pomoc swemu koledze. W kilka chwil napastnik został obezwładniony.

- Ochrona! – zawołał ktoś.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wkroczyło dwóch rosyjskich drabów w jasno niebieskich koszulkach. Widząc przygwożdżonego do podłogi przez wszystkich członków Zarządu człowieka, który wcześniej przebił się przez ochronę i dostał się do środka, zlekli się że zostaną zwolnieni z pracy.

- Wyrzucić stąd tego malkontenta! – rozkazał Cebrzyński. – Natychmiast!

Ochroniarze pochyłili się nad wierzgającym nogami w bezradnej obronie mężczyzną i ująwszy go mocno pod ramiona szli z nim do wyjścia. Malinowski zaprał się w drzwiach i głośnym dramatycznym głosem zawołał:

- Oddajcie mi moje pieniądze!

Teraz nikt nie czuł do niego współczucia.

- A pewnie! – zawołał Cebrzyński. – Jutro przyjdą przekazem pocztowym!

Pracownicy ochrony trzymając wciąż szamocącego się zrozpaczonego przedsiębiorcę, zeszli z nim po schodach na parter i zaciągnęli go do wyjścia z budynku.

- Zabieraj się stąd! – syknął jeden z nich i jednocześnie wypchnął go za drzwi.

Albert Malinowski poleciał do przodu, zawadził nogą o próg i rąbnął jak długi na ulicę. Za sobą usłyszał głośne trzaśnięcie drzwiami. Wsparł się ciężko na obolałych rękach i idąc na czworaka poniósł telefon, który w czasie upadku wyleciał mu z kieszeni.

- Mnie Malinowskiego na bruk? – szeptał w zdumieniu nie do końca wierząc w to co się stało. – Mnie na bruk? – do oczy zaczęły mu

napływać łzy. Wezbrały w nim złość i poniżenie. Nagle jego twarz zastygła w gniewie. – Tej zniewagi nie podaruję!

Wstał i idąc zdecydowanym krokiem poszedł do zaparkowanego kilkanaście metrów dalej samochodu. Po kilku chwilach ruszył ostro z miejsca i taranując najbliższy parkometr znikł za rogiem ulicy.

\* \* \*

Zenon Orłowski czekając na kolację, siedział w fotelu i przeglądał gazetę. Nie zwracał uwagi na chodzący w tle telewizor. Zareagował dopiero na dźwięk słowa, „BykRol” gdy prezenterka wieczornego wydania wiadomości zapowiedziała krótki wywiad z Prezesem Stowarzyszenia ... Adamem Cebrzyńskim.

Dziennikarz i jego były przełożony stali w dużej hali produkcyjnej. W tle widać było przypominającą ogromny silos maszynę. Spod wielkiego korpusu wpadały na ruchomą taśmę gorące, parujące jeszcze mięsne grudki. Słysząc było głos dziennikarza:

- Kiedy jedni chronią się przed wiatrem, drudzy stawiają wiatraki. Przykładem firmy, która znakomicie radzi sobie w warunkach recesji jest masarnia BykRol lansująca z powodzeniem na światowych rynkach swój nowy produkt „Szynkadela”. W ostatnich dniach doszło do przełomowego momentu w pięćdziesięcioletniej historii zakładu.

Pojawia się zadowolone oblicze Adama Cebrzyńskiego.

- To na pewno także przełomowy moment dla całego polskiego przemysłu masarskiego. W najbliższą środę podpiszemy z amerykańskim koncernem General Food Corporation kontrakt o wartości siedemnastu miliardów dolarów na dostawy Szynkadeli do Stanów Zjednoczonych.
- Jak na firmę zatrudniającą czterdziestu pracowników to spektakularny sukces. Czy może pan zdradzić nieco szczegółów tego tak niecodziennego w polskich warunkach kontraktu?
- Nad szczegółami wciąż jeszcze pracujemy wraz z przedstawicielami tej firmy. Mogę jedynie powiedzieć, że General Food Corporation uzyska wyłączność na import Szynkadeli do USA i Kanady.
- Czy w związku z podpisaniem kontraktu przewiduje pan zwiększenie ilości stanowisk pracy?

- Tak. Z pewnością tak.

Kamera pokazuje pracującą maszynę.

- Skądinąd wiadomo, że inicjatywa wprowadzenia na rynek nowego produktu, którym okazała się być Szynkadela, wyszła od nie pracującego już prezesa BykRolu Zenona Orłowskiego. Co sprawiło, że człowiek ten odszedł z firmy w tak niewłaściwym z punktu widzenia swojej kariery zawodowej momencie?

Widać zakłopotane oblicze Cebrzyńskiego.

- Pan Zenon Orłowski po wielu latach kierowania firmą nie wytrzymał już pracy w warunkach stresu. Miał kłopoty ze zdrowiem... Odszedł na własną rękę. Wspominał coś o własnym interesie...

- Dziękuję za wywiad. Życzę sukcesów w realizacji kontraktu.

Ekran telewizora zgasł.

Rzucony z siłą pilot potoczył się po podłodze i uderzył w ścianę. Orłowski do głębi poruszony podawanym do publicznej wiadomości absurdalnym kłamstwem nie mógł zapanować nad swoimi nerwami. Przewrócił kopniakiem stół, rzucił swym neseserem w ścianę i wybiegł z salonu.

Wrócił dopiero późnym wieczorem. W ciągu kilku godzin zdążył się już znacznie uspokoić. Usiadł zmęczony na fotelu, wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i zadzwonił do Hansa Roithnera. Austriak odebrał telefon i poznawszy go po głosie, przekazał słuchawkę tłumaczowi. W czasie krótkiej rozmowy ustalono, że propozycja pokierowania ryzykowną akcją jest nadal aktualna, a Orłowski jest zdecydowany podjąć się tego zadania. Austriacki przedsiębiorca wyraźnie się ucieszył. Zapowiedział że przyleci jutro prywatnym śmigłowcem do Polski, aby wspólnie opracować plan i uzgodnić szczegóły operacji.

\* \* \*

Aleksander Bartkowski wyszedł ze swojego gabinetu na korytarz. To była dobra pora na podłożenie trucizny – ludzie w biurze zajęci pracą, a Antek Świder był na pewno na dole w hali produkcyjnej.

Już od kilku dni głowił się nad tym jak otruć tego prostakapianice, w którym on sam nie widział ani grama geniuszu, a ta

(najwidoczniej ślepa!) Terlecka nieustannie się zachwycała. Zupełnie nie rozumiał co ona może w nim widzieć, zwłaszcza mając tak inteligentnego, przystojnego i dobrze usytuowanego finansowo szefa. Obrzydliwy smak żabiego skrzeku i nienawiść do Świdra podsuwała mu na myśl co raz to nowe sposoby pozbycia się konkurenta. Doszedł do wniosku, że trucizna jest jednak najlepszym rozwiązaniem. Jeśli ktoś pije tyle co Antek, to w każdej chwili może dostać ataku serca, nie budząc żadnych podejrzeń, że ktoś mu w tym pomógł..

Po cichu przeszedł na drugą stronę korytarza i zatrzymał się na chwile przed drzwiami, na których widniała tabliczka z napisem „Antoni Świder – dyrektor techniczny”. Widząc, że wokół nie ma żywej duszy, ostrożnie nacisnął klamkę i wszedł do środka. Tak jak przypuszczał, Świdra w swoim biurze nie było.

Domknął drzwi i podszedł do metalowej szafki. Przekręcił metalowy uchwyt i odetchnął z ulgą – na szczęście była otwarta. Wszystko jak do tej pory szło łatwo jak z płatka. Na dole szafki leżało kilka beładnie rozrzuconych butelek po winie, pobrudzone ubranie robocze, poplamiony ręcznik i buty „lakierki”. Wyżej wisiał kompletny granatowy garnitur, a obok niego pomarańczowa peleryna przeciwdeszczowa. Natomiast na metalowej półce u góry znalazł to, co w tej chwili najbardziej go interesowało - talerz z kilkoma grudkami Szynkadeli.

Antoni Świder jako osoba odpowiedzialna za działanie Świdrygatora zawsze otrzymywał próbną porcję z bieżącej produkcji, aby mieć kontrolę nad tym procesem i zareagować w przypadku zauważenia nieprawidłowości. Bartkowski stwierdził, że właśnie tutaj, w te mięsne grudki będzie mu najłatwiej zaaplikować truciznę. Oczywiście brał pod uwagę możliwość, że Świder wcale nie smakuje tych kontrolnych porcji Szynkadeli, albo że robi to tylko od czasu do czasu. Istniał pewien margines błędu – ryzyko że plan się nie powiedzie. Ale tego czynnika niezależnie od podjętych działań, nigdy nie dało się wykluczyć.

Ostrożnie wyjął z kieszeni strzykawkę wypełnioną nabytą od znachorki trucizną i założył igłę. Uniósł rękę i do każdej z mięsnych grudek wstrzyknął po kilkanaście mililitrów bezbarwnej cieczy – dawkę, która według słów znachorki powinna zabić nawet woła. Rozejrzał się wokół z niepokojem. Włożył spowrotem strzykawkę do kieszeni i cicho zamknął metalową szafkę. Przez lekko uchylone

drzwi wyjrzał na korytarz. Pusto, droga wolna. Wyszedł zdecydowanym krokiem i pogwizdując wesołą melodię wrócił do swojego prezesowskiego gabinetu.

Pierwsza część planu przebiegła bez za żadnych zakłóceń, druga zakończy się sukcesem jeśli Świder skosztuje choćby odrobinę którejkolwiek mięsnej grudki, ale to zawsze wiązało się z pewną dozą niepewności...

\* \* \*

Stojąca tuż przy ogrodzeniu latarnia oświetlała róg parterowego budynku z białej cegły. Szeleściły liście kołysane delikatnymi powiewami wiatru. Tuż nad dachem jaśniał srebrzysty rąbek księżyca. Po niebie sunęły wolno ociążałe chmury o jasnych poszarpanych krawędziach i ciemnych groźnych wnętrzach. Znad pobliskiego zakola rzeki dochodził szum wody rozbijającej się o kamienisty brzeg.

Albert Malinowski leżał w wysokiej trawie obserwując przez ogrodzenie, ubranego na czarno pracownika ochrony, który stał obok budynku i palił papierosa. Jarzący się czerwony punkcik kreślił w powietrzu krzywe linie, co jakiś czas rozjaśniał się i przygasał. Ochroniarz przysiadł na leżącym obok ścianie pustaku i patrzył oparłszy rękę na kolanie patrzył przed siebie. Z dala, prawdopodobnie z okolic mieszczącej się przy bramie dyżurki rozległo się niezrozumiałe wołanie. Siedzący przy ścianie mężczyzna zaklął, przydeptał niedopałek papierosa i idąc pośpiesznym krokiem znikł za rogiem budynku.

Malinowski odczekał chwilę i poniósł się z trawy. Ogrodzenie kończyło się na wysokości jego oczu. Poprawił plecak i zacisnąwszy ręce na kątowniku podciągnął się do góry. Przełożył nogę na drugą stronę ogrodzenia. Ciężki przedmiot w plecaku targnął nim do tyłu. Nie zdołał w porę czegoś mocno się uchwycić i upadł na ziemię. Uderzył się w bok tułowia tak niefortunnie, że nie mógł złapać oddechu. Ogarnęła go panika ze strachu, że się udusi. Na szczęście z sekundy na sekundę klucie w boku ustępowało i krótki chaotyczny oddech uspakajał się.

Poleżał dotąd aż praca płuc unormowała się na dobre i trzymając się ręką za obolały bok, podbiegł do budynku. Zaczaił się właśnie w tym miejscu, gdyż tu znajdowała się wmurowana na stałe do ściany

drabinka z metalowych rurek. Złapał się jej i pokonawszy kilka wysokich szczebli wyszedł na dach. Tu musiał natychmiast skulić. Z tego miejsca wiedział kręcących się przy bramie strażników. Położył się i doczołgał do szerokiego plastra okien w dachu. Wysunął nieznacznie głowę nad szklaną krawędź i obserwował wnętrze hali. Mógł się jej dobrze przyjrzeć, gdyż oświetlenie było włączone. Nie wiedział jak zinterpretować ten fakt. Czy ktoś tam jeszcze jest? Przychodzi od czasu do czasu? A może wcale nie wyłączają światła na noc? Wzmogło to jego ostrożność.

Na środku stała przypominająca duży silos maszyna służąca do produkcji Szykadeli. Obok niej biegł taśmociąg, z tyłu za nią ustawiono rząd dużych plastikowych beczek.

Wychylił się jeszcze bardziej, aby dokładniej zlustrować obszerne pomieszczenie. Wodził wzrokiem dobrą chwilę zanim upewnił się, że nikogo tam nie ma. Wobec tego zdecydował się na wejścia do środka. Szyba przypominała kwadrat o długości boku około sześćdziesięciu centymetrów. Musiał ją wyjąć tak aby nie wpadła do środka. Dźwięk tłukącego się szkła natychmiast ściągnąłby całą ochronę.

Wyjął z plecaka szeroką taśmę klejącą i nakleił kilka jej pasemek na szybę, tak że końcówki wystawały kilkanaście centymetrów poza nią i trzymały się metalowej ramy. W jego ręce pojawiło się narzędzie do ciecienia szkła. Pochylił się i dociskając mocno diamentowe ostrze prowadził je tuż przy samych krawędziach okna. Metoda ta miała taki mankament, że musiał odklejać końcówkę taśmy aby naciąć szybę, była jednak najprostsza ze wszystkich możliwych o jakich myślał planując akcję. Zakończywszy tę czynność kilkakrotnie uderzył pięścią wzdłuż rys na szkle. Wewnętrzna część szyby oddzieliła się od ramy i zapadła się centymetr w dół zawisając na pasemkach taśmy. Wszystko szło zgodnie z jego przewidywaniami. Wykonanym do tego celu narzędziem – zagiętą na końcu blaszką podwadził szybę, podniósł do góry i uchwycił ją końcówkami palców.

Teraz znajdował się po drugiej stronie dachu niż budka strażników. Mógł pracować w pozycji półpochylonej, ale gdyby się wyprostował prawdopodobnie zostałby zauważony. Zwłaszcza, że w miejsce gdzie się znajdował, padał jasny snop światła z stojącej przy ogrodzeniu latarni. Trzymając w jednej ręce szybę, drugą zrywał pasma taśmy

klejącej. Słysząc było cichy trzask, ale było wątpliwe, aby doleciał on do uszu strażników.

Głośne tubalne szczekanie psa, które dobiegło z dołu, rozeszło się po jego ciele jak piorun, paraliżując ruchy i napawając strachem. Obejrzał się. Wielki wilczur rzucał się na trawie i widząc go ujadał wściekle. Szyba wysunęła mu się z palców, wpadała do środka i huśtała się gwałtownie trzymając się na jednym pasku taśmy.

- Co ta suka tam zobaczyła?! – dobiegło wołanie z drugiej strony dachu.

- Zaraz sprawdzę! – usłyszał zaspany głos.

Położył się i zdezorientowanym wzrokiem wodził dookoła rozpaczliwie szukając ratunku. Misternie przemyślany plan wziął w łeb! Pal licha cel akcji, teraz musi ratować siebie. Wyjął kieszeni pistolet i oczekiwał na przybycie pracownika ochrony.

Jednak temu wcale się nie śpieszyło. Obchodząc wolnym krokiem budynek, przystanął przy krzaku skąd po chwili doleciał szelest moczu rozbryzgującego się o gałązki i liście. Później w jego ręce pojawiła się paczka papierosów i zapalniczka. Paląc papierosa szedł powoli wokół budynku marudząc pod nosem i konieczności pracy w tak nienaturalnej ku temu porze, kiedy wszyscy śpią i niskich zarobkach.

Podszedł do psa i oddaliwszy się od ściany rzucił okiem na dach. Nie zauważył tam nic podejrzanego. Ze zdziwieniem spojrzął na wilczura i pociągnawszy go za obroże mruknął:

- Oj, Kaza, Kaza. Ty chyba jakieś duchy widzisz.

Intrygowało go jednak nerwowe zachowanie zwierzaka, który zazwyczaj nie czekał bez powodu. Przyjrząwszy się uważniej dostrzegł czarną plamę w miejscu gdzie rząd okien odbijał srebrzystą poświatę księżyca. Co więcej zauważył, że do czarnego otworu biegnie lina zaczepiona o studzienkę wentylacyjną. Kiwnął głową z przejęciem i ruszył do budki strażniczej by poinformować o tym odkryciu swych kolegów.

Malinowski zwisał na linie z niepokojem patrząc na huśtającą się tuż nad jego głową szybę. Kiedy leżał na dachu doszedł do wniosku, że jednak najważniejsze jest to, aby wykonać zadanie – przecież nawet jak go złapią to i tak nie zabiją, a zemsta musi zostać dokonana.



Zszedł po linie w dół i z ulgą dotknął stopami betonowej podłogi. Idąc czujnie zbliżył się do wysokiej na kilka metrów maszyny produkującej Szynekadele. Obszedł ją dookoła szukając dogodnego miejsca do podłożenia ładunków wybuchowych. Zauważył, że tak naprawdę w zwartej, podobnej do cylindra konstrukcji, nie istniał żadne zakamarek idealnie odpowiadający jego wymaganiom. Dokładnie lustrując metalowy korpus zauważył na spodzie niewielkie metalowe drzwiczki. Zbliżył się do nich i przekręciwszy klameczkę otworzył je. Oczom jego ukazało się kilka wielkich zegarów, mnóstwo przycisków umieszczonych na bakelitowej tablicy, dwa duże mosiężne zawory i elektryczne wskaźniki. To było centrum sterowania całą maszyną. Skrzywił się z niezadowolenia – tutaj nie można podłożyć bomby ponieważ rano ktoś tu zajrzy aby sprawdzić wskazania przyrządów. Jednak na dole między metalowym korpusem a bakelitową tablicą z przyciskami i kontrolkami widniała licząca kilkanaście centymetrów szpara. Ewentualnie właśnie tam można by wrzucić ładunki. Postanowił nie szukać już więcej, lecz wsunąć je przez tę szparę do wnętrza maszyny.

Postawił na podłodze plecak i wyjął z niego trzy pęki materiału wybuchowego w kształcie podłużnych przypominających świece walców. Były one ze sobą połączone za pomocą przewodów elektrycznych. Grube izolowane druty schodziły się w jednym punkcie – elektronicznym urządzeniu z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. Był to opóźniacz zapłonu.

Mokrymi od potu placami, wyregulował go tak, żeby bomba eksplodowała za dziesięć godzin. Podniósł z podłogi ważące w sumie pięć kilogramów ładunki i ostrożnie przecisną je przez szparę w dolnej części tablicy ze wskaźnikami. Z lekkim chrobotem przesunęły się one po metalowym korpusie do wnętrza maszyny. Zatarł ręce z uciechy. Udało się! Teraz musi się stąd wydostać. Zamknął drzwi, zabrał z podłogi plecak i wrócił do miejsca gdzie spuścił się po linie. Jednak ze zdumieniem zauważył, że liny nie ma! Ktoś ją wciągnął! A zatem jego obecność tutaj została wykryta!

Usłyszał zgrzyt metalu. Duże dwuskrzydłowe drzwi otwierały się powoli. Widać było przez nie dwie rosłe postacie. Rozejrzał się ze strachem dookoła. Musi się ukryć! Dostrzegł drzwi za sobą. Kilka kocich kroków i stał już przy nich. Pociągnął za klamkę; otworzyły

się. Powoli wszedł do środka. Zaczepiwszy nogą o plastikowy pojemnik, przewrócił się i wylądował na czymś miękkim o znanym zapachu. Zbadał ręką grunt i okazało się, że upadł na pojemniki z kiełbasą.

Pracownicy ochrony przeczesywali hale produkcyjną. Na dobrą sprawę nie mieli pewności, czy ktoś tu był, czy już stąd wyszedł, nie zabierając ze sobą liny. Zaświecili wszystkie światła i poszli aż do samego końca długiej hali obchodząc maszyny i lustrując wszystkie pomieszczenia. Malinowski zdziwił się ich głupocie – pozostawili nie pilnowane przez nikogo drzwi – mógł przez nie z łatwością uciec. Dzielito go do nich zaledwie dwadzieścia metrów. Wyszedł z pomieszczenia i wówczas dostrzegł, sylwetkę wielkiego psa warującego przy drzwiach do magazynu. Wyjął pistolet i szedł tuż przy ścianie w kierunku wyjścia. Wilczur zobaczywszy go zawarczał groźnie. Ujadając głośno rzucił się przed siebie. Padł strzał. Zranione zwierze zaczęło kwilić i uciekło w popłochu z magazynu. Malinowski miał wolną drogę do ucieczki. Puścił się pędem przez halę. Za jego plecami zagrzmiała seria wystrzałów. Kule przeszły przez blaszane drzwi. Wybiegł z hali i gwałtownie skręcił w bok, aby nie dosięgły go kolejne pociski. Jeszcze tylko dziesięć metrów i jest już przy ogrodzeniu. Wspiął się na nie zadziwiająco sprawnie i skoczył z góry na trawę po drugiej stronie. Przeturlał się kilka metrów, a później wstał i gnał przed siebie co sił w nogach. Nikt za nim nie strzelał. Prawdopodobnie nie zorientowano się w którą stronę uciekł. Dobiegł do lasu i dał nura w poszycie. Dopiero tutaj, kiedy poczuł się bezpiecznie dopadła go fala lęku. Na myśl o tym co mogło się stać rozdygotał się ze strachu. Cieszył się jednak w duchu, gdyż jak na swoje możliwości dokonał rzeczy wielkiej. Żeby jeszcze tylko nie wykryto tych ładunków...

Spojrzał na zegarek; dochodziła pierwsza w nocy. Za dziesięć godzin piękny sen czterech oszustów o podpisaniu kontraktu i zarobieniu niebotycznych pieniędzy, pryśnie jak bańka mydlana, a raczej eksploduje, jak bomba zegarowa.

\* \* \*

Z pobliskiego lasu dolatywało hukanie puszczyka. Księżyc krył się za rozkołysanymi wiatrem wierzchołkami drzew. Tuż za szosą widniały zabudowania uśpionej wioski – kilka szarych dachów, wysoki stóg słomy, pomalowana białym wapnem kapliczka. Gdzieś z głębi zabudowań dochodziło, basowe niespokojne szczekanie psa. Na bocznej drodze stał stary zdezelowany wartburg, a za nim ciężarówka z okrytą brezentem paką. Obydwa samochody miały wyłączone światła. Z przyczepy ciężarówki, przez grube płótno, przedostawały się strzępki cichych rozmów. W samochodzie osobowym paliła się lampka. W jej mdłym świetle z za zabrudzonych szyb dawało się zauważyć zarysy trzech postaci.

Trzysta kilometrów dalej na południe, w zapomnianym hangarze kolejowym kilku mężczyzn siedziało za skleconym z desek prowizorycznym stolikiem. Paląc papierosy rozmawiali ze sobą po polsku i po niemiecku. Zawieszona na szafie krótkofalówka szumiała i wydawała trzaski płynące z pustego eteru. Z łagodnego wzgórza, na którym stał stary budynek rozpościerał się widok na piękne górskie szczyty. Poniżej rozciągała się przykryta mgłą dolina. Tuż za hangarem dało się zauważyć nieregularną ciemno-zieloną bryłę. Między gałęzmi drzew i wojskową siatką maskującą przebijały fragmenty kadłuba helikoptera. Wieczorna rosa zebrała się na opadających w dół śmigłach i małymi drobnymi kropelkami skrzyła się w świetle księżyca.

Siedzący na pniu drzewa austriacki pilot spojrzął na zegarek. Za chwilę powinien nadejść sygnał o rozpoczęciu operacji, którą ze względu na położenie mieszczącej się w górach kryjówki oraz nazwisko kierującego nią człowieka nazwano „Orle gniazdo”. Przetransportowana koleją maszyna zostanie tutaj rozmontowana na czynniki pierwsze i następnie przewieziona ciężarówkami przez granicę do Austrii. Obydwaj współnicy – Hans Roithner i Zenon Orłowski mają stąd natychmiast odlecieć do Wiednia by z bezpiecznego miejsca kierować dalszą częścią akcji. Plan był prosty i śmiały, ale chyba niewykonalny, bo jak niezauważenie przemieścić przez pół Polski tak dużą maszynę?

Człowiek kierujący ryzykownym przedsięwzięciem - Zenon Orłowski, takich wątpliwości nie miał. Siedząc za kierownicą

Wartburga wziął do ręki krótkofalówkę i spokojnym opanowanym głosem rzucił hasło rozpoczynające przygotowywaną od kilku dni akcję:

- Alfa, wyjeżdżaj na pozycję. Zaczynamy!

\* \* \*

Nie było dane zaznać spokojnej nocy czterem strażnikom pilnującym zakładów BykRolu. Zaledwie wystygły lufy pistoletów od strzałów oddanych do uciekającego włamywacza, a już pojawił się kolejny obiekt, który wywołał jeszcze jedną sensację w czasie trwającego zaledwie kilka godzin dyżuru. Lśniący różowym lakierem kabriolet, głośno strzelając z gaźnika, przejechał szosą obok ogrodzenia i zatrzymał się kilka metrów od bramy, tuż pod stojącą przy drodze latarnią. W jej jaskrawym świetle widać było kierującą samochodem kobietę – długowłosą blondynkę ubraną w czerwoną zwiewną sukienkę z głębokim dekoltem na plecach. Bezskutecznie próbowała uruchomić silnik. W panującej nocy ciszy słychać było wyraźnie charakterystyczny dźwięk łamanej kompresji. Blondynka po kilku bezskutecznych próbach poddała się. Sfrustrowana uderzyła ręką w kierownicę i wysiadła z kabrioletu. Wygładziła dłonią krótką, sięgającą jej do połowy uda sukienkę i podeszła na przód samochodu. Otworzywszy kluczykiem długą maskę, pochyliła się nad silnikiem i skomplikowana gmatwaniną rurek i przewodów. Wodząc wyrażającym bezsilę spojrzeniem laika, usiłowała odnaleźć przyczynę usterki. Wiatr niefrasobliwie bawił się jej sukienką, odsłaniając części ciała nie przeznaczone do publicznego widoku.

Cztery pary męskich oczu wpatrywało się w nią jak w nadprzyrodzone zjawisko. Skąd o tej porze, w tak małej wiosce, wzięła się kobieta jadąca kabrioletem? Zachodziło podejrzenie że może to mieć coś wspólnego z włamaniem się do hali produkcyjnej przez tajemniczego osobnika, który nie zatrzymał się nawet pod gradem kul. Może była jego współniczką? Wydawało się to jednak absurdalne ponieważ kobieta ta – z wyglądu usposobienie słodkości – wyglądała na takiego aniołka, który nie mógłby skrzywdzić nawet muchy.

- Zepsuł się dziewczynie samochód, to trzeba jej pomóc! – doszedł do wniosku jeden z ochroniarzy. – Zobaczmy co się stało – powiedział wychodząc przez bramę.

Rozległ się dźwięk otwieranej furtki i czterech rostrych ubranych w czarne stroje mężczyzn wyszło na drogę. Właścicielka samochodu, dostrzegłszy ich zamknęła maskę i radośnie zamachała ręką.

- Pomocy! To coś z zapłonem, ale wystarczy tylko popchnąć kilka metrów i zapali – wołała ucieszona, że od razu trafiła na tak liczną ekipę. – Panowie tacy silni, że ruszy za pierwszym razem.

Rozległ się głośny rechot mile podłechtanych po ambicji mężczyzn.

- No to co chłopaki? Pomożemy przecie! – padło hasło.

Uradowana blondynka usiadła za kierownicą, a oni natarli z całych sił na tylną maskę kabrioletu. Auto zaczęło się toczyć co raz szybciej. Kiedy rozpędzili je do znacznej prędkości, rozległ się cichy trzask włączanego biegu. Silnik dławiąc się, wyhamował pęd pojazdu. Nie zapalił jednak.

- Jeszcze raz! – zachęciła.

Popchnęli samochód po raz drugi. Ale i ta próba nie udała się.

- Ja wam pokaże jak to się robi! – rzekła delikatna kobietka energicznie wysiadając z samochodu. – Wejdźcie do środka. Wszyscy!

Spojrzeni po sobie ze zdumieniem.

- Jak to? Sama jedna nas pani popchnie? – zapytał jeden z nich.

- A pewnie! Co nie wierzycie?

Mężczyźni żartując z zwariowanej właścicielki kabrioletu zajęli miejsca na siedzeniach. Ubrana w skąpą spódniczkę smukła kobieta, odprowadzana pełnymi pożądaniami spojrzeniami, przeszła na tył samochodu. Położyła dwie ręce na masce tuż powyżej świateł i pchnęła lekko auto. Potoczyło się ono zaledwie kilka centymetrów, ale – o dziwo – w zupełności wystarczyło to, aby jak to tej pory uparty silnik nagle ożył. Czterej pracownicy ochrony osłupieli.

Ale nie na tym kończyły się niespodzianki.

- Z przodu pod nogami pasażera jest walizka – powiedziała blondynka odmienionym władczym głosem. – Wyjmijcie ją i otwórzcie!

Otworzyli walizkę. Znajdowało się w niej kilka rzędów banknotów poukładanych w pliki liczące po kilkadziesiąt sztuk.

- Co to jest? – zawołał mężczyzna siedzący za kierownicą.

- Wyprawa. Przejmujemy kontrolę nad tym obiektem! Szerokiej drogi...

Popatrzyli po sobie porozumiewawczo.

- Ile jest tych pieniędzy?
- Wychodzi po trzydzieści kawałków na głowę i do tego samochód. Odjazd panowie bo się rozmyślę!

Biorąc pod uwagę zarobki, rzędu trzech złotych za godzinę, dla każdego z nich była to zawrotna suma, która pozwoliłaby im zapomnieć na długą chwilę o kłopotach finansowych.

- To co chłopaki robimy?

Chwila milczenia, a po niej pojęta jednogłośnie decyzja:

- Jeedzieemy! Nie ma się co zastanawiać!

Kabriolet z piskiem opon ruszył miejsca.

- Dziękujeeemy! – rozległo się wołanie.
- Pa, pa – blondynka machała im na pożegnanie. W jej ręku pojawiło się plastikowe pudełko z kilkoma przyciskami. Nacisnęła czerwony. Z głośnika popłynął metaliczny głos:
- Orzeł, słucham?
- Tu Alfa. Teren czysty!

\* \* \*

Kilkanaście minut później, na postawionym od nowa moście zajaśniały światła kilku jadących w krótkiej kolumnie samochodów. Wartburg i Star z pełną paką ludzi, zatrzymały się wkrótce przed bramą. Z tyłu wolno wślókł się dźwig. Orłowski wysiadł z auta i przeszedłszy przez otwartą furtkę stanął obok budki wartowniczej. Przez uchylone okienko wcisnął przycisk otwierający szlaban. Białoczerwone ramię podniosło się do góry. Wartburg i ciężarówka sprawnie wtoczyły się na teren zakładu. Ciężki dźwig dojechał przed bramę dopiero po minucie. Skręcając pod ostrym kątem z trudem wymanewrował między dwoma metalowymi słupkami, na których opierał się szlaban. Star zatrzymał się pod budynkiem biurowca. Z przykrytej brezentem paki wysypała się kilkunastoosobowa grupa ludzi w czarnych ubraniach roboczych. Niosąc metalowe skrzynie z narzędziami szli w stronę hali produkcyjnej. Plac przed budynkiem

zapełnił się odgłosem wysokopiętnych silników, krótkimi nawoływaniem oraz świstem powietrza cyklicznie wypuszczanego z kompresorów.

Część ekipy została skierowana do demontażu maszyny, a znacznie mniejsza grupa zajęła się ustawieniem dźwigu, który zajął pozycję między tylną ścianą budynku a ogrodzeniem. Biegnące kilkanaście metrów dalej od tego miejsca tory kolejowe, znajdowały się w zasięgu jego długiego i mocnego ramienia.

Już po kwadransie ze wnętrza hali doszedł jazgot ciętych blach, stukot młotów, trzask kluczy pneumatycznych, świst wiertarek i odgłosy pracy innych narzędzi. Szyby rozbłyskiwały jaskrawym fioletowym światłem bijącym od snopów iskier lecących spod elektrod spawarek.

Zenon Orłowski, Hans Roithner oraz towarzyszący im tłumacz weszli do przestronnego pomieszczenia. W środku wrzało jak w ulu. Korpus maszyny został otoczony rusztowaniem, po którym poruszali się rozmontowujący ją robotnicy. Tnąc blachy, rozwiercając nity, odkręcając śruby uwijali się jak w ukropie. Nadzorujący ich pracę wysoki brodacz podszedł do Orłowskiego.

- Rozpołowimy cylinder na dwie części – mówił głośno przekrzykując hałas. - Każda z nich będzie ważyła po około trzydzieści ton. To granice wytrzymałości dźwigu. A części ze środka powkładamy do skrzyń.
- Ile to zajmie czasu? – zapytał Orłowski.
- Trzy do pięciu godzin.

Spod podwiniętego rękawa błysnął złoty Rolex.

- Po tysiąc dolarów nagrody dla każdego jeśli zdążymy przed trzecią. Musimy się sprężyć. Każda minuta dłużej zwiększa ryzyko wypadki.
- Tak jest. Zaraz to ogłoszę! – ucieszył się brodacz. Pobiegł do ludzi pracujących na rusztowaniu i przekazał im radosną nowinę o wyznaczonej nagrodzie. Zapanowało ożywienie. Ze zdwojoną energią przystąpiono do demontażu maszyny.

Austriak odezwał się po niemiecku do tłumacza, a ten pociągnął za rękaw Orłowskiego.

- Pan Roithner, chciałby z panem porozmawiać.
- Wyjdźmy na zewnątrz. Tutaj jest za głośno – powiedział ten wskazując na drzwi trzymaną w rękach krótkofalówką.

Kiedy znaleźli się przed budynkiem. Roithner mówił podnieconym głosem, a jego asystent tłumaczył:

- Jestem pełen podziwu, panie Zenonie! To świetnie przemyślana akcja! Powinien pan być wielkoformatowym terrorysta – zaśmiał się - ale ja uratuję świat przed tak niebezpiecznym, drzemiącym w panu potencjałem i jeśli wszystko się uda, zaproponuję panu stanowisko dyrektora linii produkcji Szynkadeli. Oczywiście wówczas nazwiemy ją inaczej... Pensję ustalimy w wysokości dwadzieścia tysięcy euro...
- To jest propozycja nie do odrzucenia – mruknął Orłowski. – Zwłaszcza w takich okolicznościach...

Tuż przed trzecią w nocy, rozmontowano maszynę na dwa człony przypominające duże cylindry. Zapanowała radość z powodu otrzymania nagrody za szybką sprawną pracę. Rozległ się huk młotów pneumatycznych, którymi burzono dach, tak aby dźwig mógł podnieść do góry ciężkie ładunki. Kierujący akcją Orłowski zbliżył do ust krótkofalówkę i wydał polecenie:

- Beta, podjeżdżaj. Czekaamy.

Na chwilę zapanowała cisza. Zmęczeni ludzie, siedzieli pod ścianą bądź spacerowali odpoczywając po długim wysiłku. Tu o ówdzie żarzyły się ogniki papierosów. Przechodziły ręki do ręki plastikowe butelki z wodą, której do tej pory nikt nie miał czasu się napić.

Po kwadransie dał się słyszeć stukot biegnący spod kół pociągu, który powoli wyłonił się zza lasu. Snop światła z jadącego na przedzie elektrowozu omiótł przez chwilę zabudowania zakładu i rozlał się po rozległej równinie. Skromny zestaw składający się z lokomotywy i jednego wagonu zatrzymał się za ogrodzeniem tuż przy dźwigu. Maszynista wyjrzał przez okno i cofnął skład kilka metrów do tyłu, aby ustawić wagon w miejscu dogodnym dla umieszczenia ładunku.

Ramię dźwigu wychyliło się nad dach hali i wypuściło w dół grubą stalową linę zakończoną ogromnym hakiem. Przez dziurę w dachu widać było szybko uwijających się ludzi, którzy przeciągali liny między wypalonymi spawarką otworami w korpusie metalowego cylindra. Ich dzieło przypominało wielką siatkę zakończoną mocnym metalowym uchem. Za to właśnie ucho zatknięto hak. Silnik zawarczał agresywnie i wszedł na wysokie obroty. Lina naprężała się. Ludzie ostrożnie odsunęli się kilkanaście metrów do tyłu aż pod samą ścianę. Mocarne ramię uniosło ważący trzydzieści ton cylinder i



powoli windowało go do góry. Gdy znalazł się on już ponad dachem, siedzący w małej kabinie operator, pokierował nim na stojący po drugiej stronie ogrodzenia wagon. Czując jak cała konstrukcją drży na wskutek skrajnego obciążenia, powoli centymetr po centymetrze opuszczał ciężki ładunek na dół, aż ten oparł się na podłodze wagonu. Kilka osób natychmiast przeszło przez metalową burtę i rozplotło stalową siatkę z lin. Przytrzymujący ją hak uniósł się do góry i spowrotem majestatycznie powędrował w stronę dziury na dachu hali.

Taką samą operację wykonano z drugim cylindrem. Później zaś przetransportowano kilka drewnianych skrzyń, z elementami pochodzącymi z wnętrza maszyny.

Demontaż Świdrygatora i przygotowanie go do przewozu koleją zakończył się stuprocentowym sukcesem. Zadowolony Hans Roithner podchodził do każdego człowieka biorącego udział tej niecodziennej akcji i szwargocąc po niemiecku wręczał koperty z odliczoną kwotą dwóch tysięcy dolarów, zawierającą już obiecaną wcześniej premię. Biedni, zdesperowani ludzie, którzy podjęli się ryzykownego zadania, skakali z radości, wiąż nie mogą uwierzyć, że w ciągu jednej nocy zarobili tu tak zawrotną sumę pieniędzy.

Orłowski powierzył pokierowanie resztą akcji znajomemu brodaczowi, który nadzorował proces demontażu maszyny. Pozostało jeszcze tylko postawić dźwig na koła, pozbierać narzędzia, załadować całą ekipę na pakę ciężarówki i jak najszybciej opuścić teren zakładu.

Znajdując się już w kabinie elektrowozu, co chwilę nerwowo spoglądał na zegarek i wydawał krótkie zwięzłe polecenia. W pewnej chwili do lokomotywy podbiegł Austriak. Otarł pot zalewający mu czoło i zaczął iść po metalowych szczeblach do góry. Tłumacz gdzieś się zapodział. Orłowski odsunął się od drzwi i przepuścił Roithnera, który po krótkotrwałej wspinaczce oklapł ciężko na siedzenie i dyszał jakby miał się za chwilę udusić.

- Co wieziemy? – zapytał ubrany w kolejowy mundur przeszło pięćdziesięcioletni maszynista.

Zenon Orłowski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, w której przechowywał list przewozowy. Wyjął go i patrząc na zwitek druków z pieczętkami PKP odpowiedział:

- Czterdzieści sztuk bydła. Koni – widząc, że maszynista patrzy na niego jak na człowieka niespełna rozumu wyjaśnił. - W kręgu moich znajomości nic innego nie dało się załatwić.

- Moja godność Pomykała – przedstawił się mężczyzna kierujący lokomotywą. – Bydło też nie raz wozilem. Ze stadionu na stadion...

Przekreślił kierownicą i elektrowóz ruszył z miejsca. Tocząc się po szynach nabierał przyśpieszenia. Charakterystyczne dudnienie kół w miejscach łączenia szyn, stawało się co raz częstsze. Pomykała delikatnie przejechał palcami po przełącznikach i lampkach na desce rozdzielczej.

- EP09. To były moje najlepsze czasy – rzekł z rozmarzeniem. – Tym elektrowozem, za kilka godzin dojedziemy na miejsce.
- Jedźmy jak najszybciej – polecił Orłowski. Wyrzwał przez okno i przez chwilę patrzył na oświetlone latarniami budynki BykRolu. Zanim pojawią się pierwsi pracownicy i odkryją, że maszyny nie ma, będą już daleko stąd. Może nawet zdołają już dotrzeć do „Orlego gniazda”?

\* \* \*

O godzinie siódmej rano Adam Cebrzyński leżał jeszcze w łóżku. Z autentyczną wrogością spojrzął na telefon komórkowy, który rozdzwonił się o tak barbarzyńsko wczesnej porze. Rzut oka na wyświetlacz pozwolił stwierdzić, że dobija się do niego Aleksander Bartkowski. To mogło być coś ważnego, ze względu na kontrakt, który mają dziś podpisać z Amerykanami. Nowy prezes BykRolu powiedział dramatycznym głosem:

- Panie Adamie, zła wiadomość...
- To znaczy?
- Skradziono maszynę do produkcji Szynkadeli.

Cebrzyński usiadł na łóżku.

- Skradziono? Jak to skradziono?! Przecież to do licha nie jest przenośny telewizor! To są tony żelastwa. Co pan opowiada?! Dobrze się pan czuje?
- Nienajlepiej. Wygląda na to, że maszyna została rozmontowana i przeniesiona za pomocą dźwigu do wagonów kolejowych. Dokładnie obejrzałem teren...
- Jak to dźwigu? Przez sufit?
- Dach praktycznie został całkiem zburzony.

- To co pan mówi brzmi jak jakieś naiwne brednie...
  - Jak pan nie wierzy, to niech pan przyjedzie zobaczyć.
- Chwila ciszy po obydwu stronach. Pierwszy odezwał się Cebrzyński.
- Kto mógł to zrobić?
  - Może Malinowski?
  - Malinowski?! To bardzo do niego podobne! Skontaktuje się z nim! Zaraz! Czeka! Powiadomiłeś policję?
  - Jeszcze nie. Stwierdziłem, że najpierw do pana zadzwonię.
  - Bardzo dobrze! To delikatna sprawa. Żaden przeciek nie może się dostać do mediów bo Amerykanie nie podpiszą z nami kontraktu.
  - Ale jak ukryć przed światem ten fakt?
  - Pomyśl.

Sekunda zastanowienia.

- Zrobić atrapę maszyny?
- Brawo! Myślisz jednak! Podpiszemy ten kontakt, a maszyna się znajdzie. Już ja o to zadbam. Bo wiesz...

Moment milczenia.

- Tak?
- Tutaj nie tylko chodzi o te siedemnaście miliardów dolarów, ale o wizerunek Polski w świecie. Nasz przemysł masarski, myśl technologiczną. Rozumiesz?
- Wiem.
- To działaj! Masz trzy godziny do przyjazdu Amerykanów. Zdasz?
- Muszę. Mam już koncepcję...
- Dobrze Twoja w tym głowa. Ja zajmę się policją. Cześć!

Klik rozłączonej rozmowy.

\* \* \*

Ów list przewozowy, wystawiony na czterdzieści sztuk koni okazał się być najsłabszym punktem całego planu. Mimo to skromnemu składowi udało się bez przeszkód pokonać ponad trzysta kilometrów jadąc na południe Polski. Dopiero po godzinie ósmej, kiedy znajdowali się już w górach, na jednej ze stacji, ich małym pociągiem zainteresowali się sokiści. Okazało się, że otrzymali oni

obowiązujący w całym PKP rozkaz kontrolowania ładunków przewożonych w wagonach towarowych. Stanowiło to czytelny sygnał, że jest to reakcja na kradzież maszyny.

Kiedy stali na bocznicy do lokomotywy podszedł jeden z sokistów i poprosił o pokazanie listu przewozowego. Orłowski wysiadł i podał mu do ręki wypełniony odręcznym pismem blankiet. Sokista rzucił nań okiem po czym spojrzał na wagon.

- Ludzie! Jak można konie w takich warunkach przewozić? To nie jest wagon do transportu bydła!
- Kazali takim wieźć, to wieziemy – zawołał maszynista wychylając się przez okno. – Co na to poradzić?
- A czemu te konie takie ciche? Nie rżą, ani nie kwiczą?
- Śpią, bo dostały zastrzyk.
- Tak, śpią – niedowierzał sokista. – Pewnie już dawno wszystkie pozdychały.

Mrucząc coś pod nosem obszedł wagon dookoła i wyskoczył na drabinkę.

- Stój pan! – krzyknął Orłowski.

Ten jednak go nie słuchał; szybko wspiął się do góry i zajrzał przez metalową burtę do środka.

- Ale konie... – zawołał. – Mnie się tu, panie szanowny, ładunek z listem przewozowym nie zgadzają – mówił schodząc spowrotem na ziemię. – Co teraz zrobimy?

Kiedy się obejrzał zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

- To dopiero się okaże – mówił Orłowski trzymając palec na spuście. – Po drodze – dodał. Szturchnął sokistę w plecy i rozkazał. – Idziemy do kabiny! Mówiłem, żebyś pan nie zaglądał, to żeś se pan teraz zafundował przejażdżkę!
- O co tu chodzi? Nie zabijajcie mnie! – przeraził się sokista.
- Tu chodzi o półtora miliarda dolarów, a może nawet i więcej. Włóż pan do kabiny! Szybko!

Przestraszony pracownik kolei widząc, że jego skromna osoba, została wtrącona do gry w której chodzi o wyjątkowo wysoką stawkę, stał się pokorny jak baranek i nie stawiał żadnego oporu. Dał się rozbroić, związać przewodami elektrycznymi a także wetknąć sobie do ust knebel sporządzony z brudnej szmaty. Było to oczywiste, że jego nieobecność zostanie za jakiś czas odkryta. Radio, który miał ze sobą co chwile rozbrzmiewało głosami pracowników kolei. Wszyscy jak

zahipnotyzowani wpatrywali się w sygnalizator, który jakoś nie chciał dać sygnału do odjazdu.

- Dlaczego tak długo stoimy? – odezwał się Roithner. Jedźmy! Naprzód. Naprzód! [po niemiecku]

- Co on mówi? – zapytał Pomykała.

- Nie wiem. Nie znam niemieckiego – odparł Orłowski.

Radio zaczęło uporczywie nawoływać:

- Piątka zgłoś się! Piątka gdzie jesteś? Halo piątka!

Maszynista spojrzał domyślnie na sokistę.

- To on jest „piątka”!

Wyjął mu z ust knebel i podsunął radio.

- Wiesz jak masz mówić – szepnął grożąc jego własnym służbowym pistoletem.

Funkcjonariusz kolei kiwnął głową na znak zgody.

- Tu piątka - zgłosił się.

- Wreszcie! Co z tym EP09?

- Wszystko w porządku.

- Jaki ładunek?

- Konie wiozą do rzeźni.

- Papiery mają w porządku?

- Tak.

- Dobra. Wracaj na dyżurkę.

- Już idę.

Niespełna minutę po tej krótkiej rozmowie zapaliła się zielona lampka na sygnalizatorze, zezwalając tym samym na wyjazd z bocznicy. Maszynista przekręcił kierownicą i mocna lokomotywa ciągnąc za sobą jeden wagon pomknęła do przodu, szybko mijając budynek stacji. Pokonawszy odcinek na którym krzyżowały się torowiska, pędziła do przodu wciąż nabierając prędkości. Wkrótce znaleźli się poza miasteczkiem i mknęli między polami, po świecącej się w słońcu wstędze szyn.

\* \* \*

Pograżone w półmroku wewnątrz kościoła rozbrzmiewało wibrującym dźwiękiem organów. Odbywała się msza poranna. Młody

ksiądz stojąc za ołtarzem śpiewał pieśń kościelną. Kilka starych kobiet w chusteczkach na głowie zajęło pierwsze rzędy siedzeń i trzymając w rękę różańce powtarzało za nim skrzeczącymi głosami słowa pieśni.

Na tle otwartych drzwi pojawiła się ciemna zgarbiona sylwetka. Drobną kobietą weszła do kościoła, przeżegnała się i idąc tuż przy samej ścianie, by nie zwracać na siebie uwagi, podeszła do konfesjonału. Upewniwszy się, że siedzi w nim ksiądz, ulękła na kolana. Zza drewnianej kraty widziała twarz proboszcza, który starał nie pokazać po sobie oznak zdumienia. Do spowiedzi bowiem przyszła znachorka, która długie lata omijała kościół z daleka.

- Przyszłam się wyspowiadać – rzekła krótko. – Stara już jestem i mocno w swym życiu nagrzeszyłam.
- W każdym wieku można się nawrócić – odpowiedział ksiądz zbliżając twarz do kraty.

Znachorka zaczęła wyznawać grzechy:

- Ostatni raz u spowiedzi świętej byłam pięćdziesiąt osiem lat temu....

Kiedy po kilkunastu minutach skończyła spowiedź, ksiądz rzekł:

- Oj srodze nagrzeszyłaś, kobieto!

Znachorka opuściła w dół skruszone spojrzenie.

- Pokutę specjalną muszę ci zadać – mówił z głębokim zastanowieniem w głosie. – Zaraz po mszy, przez cały dzień masz chodzić na kolanach dookoła ołtarza i modlić się. A później jeszcze przez cały miesiąc codziennie odmawiać litanie.
- Dobrze, proszę księdza – odpowiedziała szeptem.

Rozległo się pukanie.

Kobieta przeżegnała się, wstała od konfesjonału i usiadła na ławce, czekając na zakończenie mszy.

\* \* \*

Maszynista siedział na metalowym krześle patrząc daleko przed siebie na tory. Orłowski i Roithner przycupnęli przy ścianie na metalowych skrzynkach z narzędziami. Skrępowany sokista leżał na korytarzu łączącym kabiny po obydwu stronach elektrowozu. Huczał silnik, dudniły koła, świstał wiatr. Za oknem prędko przesuwały się

ładne pagórkowate krajobrazy. Austriak popijał wodę z butelki i co chwilę mamrotał:

- Gorąco, że też tu nie ma klimatyzacji, co za upały [po niemiecku]

Orłowski spojrział na maszynistę i powiedział:

- Dalsza jazda z takim listem przewozowym nie ma sensu. Złapią nas.

- W takim razie co zrobić?

- Trzeba go podrobić. Wpisać inny ładunek.

- Ba, ale jak?

- Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Daleko jest do następnej stacji?

Maszynista spojrział na zegarek.

- Pół godziny.

- Nie możemy tam wjechać z takim listem wystawionym na tabun koni! Hamuj pan!

Elektrowóz zwolnił bieg. Roithnerem rzuciło do przodu, aż butelka z wodą wyleciała mu z ręki.

- Ostrzegajcie panowie! [niemiecku] – krzyknął wstając na nogi. - Co się dzieje? Dlaczego do cholery hamujemy?

Zatrzymali się w szczerym polu, wzbudzając zainteresowanie grupki rolników pracujących przy sianokosach. Leżący na korytarzu sokista szamotał się myśląc sobie, że nadszedł jego koniec. Orłowski wyjął list przewozowy, położył go na desce rozdzielczej i przypatrywał się odręcznie napisanym w rubryce ładunek słowom: *40 sztuk koni*

- To trzeba całkiem wymazać, a wpisać coś innego – zdecydował. – Ale jak to usunąć? Te litery można by wyskrobać żyletką.

W pośpiechu zajrzeli do szafek mając nadzieję, że może ktoś zostawił przybory toaletowe z maszynką do golenia, ale nic nie znaleźli. Natomiast w apteczce znajdował się spirytus salicylowy. Orłowski odkręcił buteleczkę i nasączył czystą chusteczkę wydzielającą ostrą woń ciecżą. Z lekkim naciskiem pocierał namoczonym materiałem papierową kartkę, w miejscu gdzie podano rodzaj ładunku. Litery rozmazywały się pozostawiając po sobie ledwie widoczną, rozmytą niebieskawą plamę. W puste teraz pole można było wpisać coś innego. Powstał jednak dylemat co.

- Jak popatrzą na list i ładunek, to musi się wszystko zgadzać – stwierdził maszynista, marszcząc czoło. – Ale co mogą przypominać te dwa wielkie cylindry?

- Hm, to mogą być dwie turbiny do elektrowni wodnych – wpadł na pomysł Orłowski. – Ale nie, bo takie turbiny powinny być puste w środku, żeby mogła przez nie przepływać woda – wyrżał przez okno jakby szukał natchnienia, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Sokista cały czas patrzył się na nich wielkimi przestraszonymi oczami. Austriak usiadł na krześle i wziął do ręki list przewozowy. Wyglądało na to, że domyślił się o co chodzi w tej sytuacji. Spoglądał na blankiet i coś do siebie mruczał po niemiecku. Nagle wychylił się przez okno, wskazał rękoma na rolników i zamuczał naśladując krowę. Po czym zaczął mieć szczękami i jeszcze raz zamuczał. Palcami pokazywał na kopy siana. Orłowski odgadł jego intencje.

- Pewnie ma na myśli, żeby wpisać siano!

Spojrzeli po sobie jakby doznali olśnienia.

- Ależ to znakomity pomysł! – zakrzyknął Pomykała. – Pójdę pogadać z chłopami.

Ze względu na wysoką zapłatę rozmowy nie trwały długo. Przystawiono do wagonu dmuchawę i po kilku kwadransach został on aż ponad burty załadowany pachnącą wysuszoną na słońcu trawą. W liście przewozowym wpisano: „40 ton siana”. Żwawo ruszyli w dalszą drogę by w zaplanowanym czasie dojechać do kolejnej stacji.

Dzięki podrobieniu listu przewozowego udało im się pomyślnie przejść kilka kontroli w pomniejszych miasteczkach. W końcu ktoś myślący zdał sobie sprawę z absurdu wiezienia wagonu siana z wioski w lubelskiem do wioski w górach, na dodatek szybkim elektrowozem EP09, który zazwyczaj podpina się do pociągów ekspresowych. Odesłano ich na bocznice celem wyjaśnienia sensacji, którą wywołali przewożonym ładunkiem.

Ubrany w moro i uzbrojony w pistolet pracownik kolei podszedł do lokomotywy i rozkazał:

- Proszę opuścić kabinę !

Orłowski, Roithner i maszynista z wyrazem klęski w oczach zeszli po drabinie w dół i stanęli obok siebie spoglądając po sobie niepewnym wzrokiem. Służbisty sokista wziął do ręki list przewozowy i przyglądał mu się w skupieniu.

- Czemu taki wypapraný? – zapytał patrząc nieufnie spode łba. Maszynista pokazał palec owinięty w brudny bandaż.



- Skaleczyłem się i trochę spirytusu salicylowego na kwity poleciało – odrzekł.

Chwila ciszy potrzebna do przetrawienia tej informacji.

- Po co wieziecie siano przez pół Polski, do wioski w górach, jakby tam na miejscu nie było?
- Bo to nie jest zwykłe siano – odezwał się Orłowski.
- A jakie?
- To jest siano z gospodarstwa ekologicznego. Nawożone tylko gnojem.
- A po co komu takie siano?
- Jak to po co? – udał zdziwienie Orłowski. – Wieziemy je go gospodarstwa ekologicznego w górach dla cielaków!

Znów chwila wyrażającej nieufność ciszy.

- Coś mnie się wydaje, że mnie pan robisz w balona! Proszę zaczekać! - rzekł sokista. Odwrócił się i poszedł w kierunku budynku stacji, zabierając ze sobą list przewozowy.
- Wpadliśmy na amen! – podsumował sytuację maszynista. Popatrzył na Roithnera, który cały czas milczał i powiedział: - Kaput! Game over!
- Nie, nie, musimy jechać! Za dużo pieniędzy wydałem! Naprzód, naprzód [ po niemiecku]

Po upływie kilku minut z budynku stacji wyszło trzech członków Straży Ochrony Kolei oraz dwóch policjantów. Idąc niespiesznie przez torowiska kierowali się w stronę odstawionego na bocznicy elektrowozu.

- O jasny gwint! – zaklął maszynista. – Robi się gorąco jak w kotle parowym.

Podszedł do nich strażnik, który przedstawił się jako dowódca lokalnej jednostki SOK. Złapał Orłowskiego za łokieć i ociągnął go na drugą stronę lokomotywy.

- Siano kolejną wieziecie? – rzekł głosem wyrażającym powątpiewanie. – Osobiście sprawdziłem list przewozowy. Został wystawiony na czterdzieści sztuk koni.
- Ależ konie tam są – zapewniał Orłowski. - Tylko się pochowały w sianie bo im pęd powietrza chrapy zatyka – dla dodania wiarygodności swym słowom sięgnął do kieszeni i wyjął z niej gruby plik studolarowych banknotów. Włożył pieniądze do ręki

uśmiechającego się zachęcająco pracownika kolei. – Może czterdzieści sztuk nie ma, ale ze dwadzieścia jest na pewno.

Strażnik odchylił się i popatrzył na wagon.

- Ja tam widzę tylko dziesięć...

Kolejny plik banknotów spoczął w jego dłoni.

- Teraz dwadzieścia...

I jeszcze kilka szeleszczących papierków z przekonywującym obliczem Johna **Washingtona** trafia do jego ręki.

- Trzydzieści...

Kolejny tysiączek dolarów...

- Czterdzieści! Teraz się zgadza – oznajmił chowając pieniądze do kieszeni.

Przeszli spowrotem na drugą stronę torów.

- Wszystko w porządku! – oświadczył na głos dowódca sokistów. Skontaktował się przez radio z zawiadowcą stacji i po chwili zapaliła się zielona lampka w stojącym obok lokomotywy sygnalizatorze. Padło magiczne słowo:

- Odjazd!

Cała trójka prędko wspięła się po drabince do kabiny. Pociąg pośpiesznie wyjechał z bocznicy i szybko opuścił teren stacji. Kiedy emocje minęły zorientowali się, że przymusowy pasażer, którego zabrali dwie godziny, temu przepadł jak kamfora. Zapewne skorzystał z zamieszania i uciekł z elektrowozu w czasie postoju na bocznicy. Przeczuwali, że wynikną z tego nie lada kłopoty...

\* \* \*

Adam Cebrzyński jechał samochodem z Lublina do Wodziejowic. Około godziny dziewiątej rozdzwoniła się jego komórka. Przełączył na zestaw głośnomówiący.

- Oficer operacyjny pułkownik Madera. Wygląda na to, że zlokalizowaliśmy maszynę – rozległ się głos policjanta.

- Bardzo dobra wiadomość! - ucieszył się Cebrzyński. – Gdzie ona jest?!

- W Jeleniogórskim. Czy to mogą być dwa duże czarne cylindry?

- Rzeczywiście była tak skonstruowana, że można było ją rozmontować na dwie części przypominające cylindry.

- Dziękuję za potwierdzenie. Przystępujemy do zatrzymania pociągu i odbicia maszyny. Proszę być cały czas pod telefonem. Do widzenia!
- Do widzenia! – powiedział Cebrzyński słysząc sygnał rozłączonej rozmowy.

\* \* \*

Do „Orlego gniazda” pozostało już tylko nieco ponad sto kilometrów. Lokomotywa ciągnąc za sobą jeden wagon mknęła z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę mijając z głośnym rykiem syreny wsie i miasteczka. Z każdą sekundą ubywało drogi do wyznaczonego celu. Pogoda pogarszała się. W miarę posuwania się na południe poranne słońce co raz częściej chowało się za wiszące nisko nad ziemią chmury. W końcu skryło się za nimi całkowicie. W oddali na granicy horyzontu ciemnym grzbietem rysowało się pasmo gór.

Zenon Orłowski jedną ręką przytrzymał się metalowego uchwyty, a w drugiej trzymał kubek z kawą. Pochyliwszy głowę patrzył przed siebie i sycił wzrok pędem. Przed nimi długa prosta wstęga szyn, u spodu migoczące podkłady a po bokach sekundowe widoczki: łąka, las, klika chałup, polna droga, stado krów, przejazd kolejowy, łagodny pagórek, staw, las, łany zboża, jeziorko... Podłoga drży i wibruje, silnik huczy, szumią dmuchawy. Wszystko to zamyka się w miarowym takcie stalowych kół: tutut tutut, tutut tutut, tutut tutut. W kabinie czuć woń kawy i dym palonego przez maszynistę papierosa. Siwawa mgiełka rozwiewana jest przez agresywne kaśliwe powiewy wiatru wpadającego przez szeroko otwarte okna.

Seria pocisków trafia w lusterko wsteczne i rozbija je w drobny mak. W blaszanej osłonie widać ślady po przejściu kul. Kawa z opuszczonego kubka rozlewa się po podłodze.

- Co się dzieje? Co się dzieje? [niemiecki] – wrzeszczy Roithner padając na podłogę.

Maszynista się na moment wychylił się przez oko i spojrzał do tyłu. Kilkanaście metrów za nimi na sąsiednim torze pędziła lokomotywa. Dwóch osobników w zamaskowanych kominiarkami twarzach wychylało się przez okna i strzelało przed siebie z karabinów.

Seria kul ze świstem przeszła mu koło głowy. Nawet nie wiedział kiedy schował się do środka.

- To pościg! Dopędzili nas! – oznajmił z przestachem w głosie. – Chyba wysłali za nami brygadę antyterrorystyczną!
- Co robimy? Nie możemy się poddać osiemdziesiąt kilometrów od celu! – krzyknął Orłowski, bezwiednie wyjmując z kieszeni pistolet.

Maszynista przekręcił kierownice do oporu. Lokomotywą szarpnęło do przodu. Omal nie upadli na podłogę. Za ich plecami zawył silnik z pełną mocą czterech tysięcy koni mechanicznych.

- Naszą jedyną bronią jest szybkość – mówił kolejarz. – Mimo tego, że jadą samym elektrowozem bez żadnych wagonów, nie dogonią EP09.

- Oby! – wyraził nadzieję Orłowski. – W zetknięciu z nimi jesteśmy bez szans.

Szum wiatru narasta, stukot kół staje się co raz głośniejszy i częstszy. Z boku widać migawki krajobrazów. Wskazówka prędkościomierza odchyłać się w prawo; sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt sto sześćdziesiąt. Z wyjącą syreną przejeżdżają przez małą stację kolejowa. W oddali widać grupę ludzi idących po torach. Znów rozlega się ogłuszający ryk syreny. Gromadka rozpięcha się na boki. Nikt nie spodziewa się pociągu jadącego z taką prędkością. Goniący ich elektrowóz z grupą pościgową zostają co raz bardziej w tyle; pół kilometra, kilometr dwa i znika im z pola widzenia. A oni wciąż pędzą, syrena rozbrzmiewa raz po raz, ostrzegając świat o przejeździe rozpedzonego ważącego kilkaset ton stalowego rumaka.

Z taką prędkością nie daje się jednak mknąć cały czas. Zbliża się zakręt, a za nim wiadukt przez rzekę. Hamują, zwalniają do osiemdziesięciu i jadą tak przez kilka minut. Tuż przed wjazdem na wiadukt pojawia się wchodzący dopiero w zakręt ścigający ich elektrowóz. Przez pewien czas pojazdy ustawione są do siebie bokiem. Z odległości trzystu metrów widać lufy wystawionych przez okna karabinów.

- Na podłogę! – woła Orłowski.

W samą porę; seria pocisków tnie szybę rozbryzgując szkło, które z brzękiem rozsypuje się po wnętrzu kabiny. Słychać uderzenia gradu kul, rozbijających się o grube metalowe drzwi. Dopiero po sekundzie dochodzi ich grzmot palby wystrzałów.

- Nie cackają się... – ręce maszynisty drżą kiedy strzepuje z włosów kryształki szkła. – Żałuje, że dałem się w to wpakować. Po co mnie pieniądze, martwemu?
  - Będziemy we Wiedniu to zmienisz pan zdanie – obiecał Orłowski.
  - Może odpiąć wagon, zostawić im maszynę? Dadzą nam spokój... – proponował Pomykała.
  - Nie! Dowieziemy ją do Orlego Gniazda. Nic nas nie powstrzyma!
- Tor jazdy obydwu pojazdów biegł teraz w jednej linii. Umilkły strzały. Podnieśli się i zobaczyli przed sobą długi prosty odcinek torów biegnących przez las. Znów można było gnać maksymalną prędkością i uciec od grupy pościgowej.

Już od kilkunastu minut mknęli jak strzała tnąc powietrze z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dookoła las i drzewa zamieniające się w jedną rozmazaną zieloną linię. Z głośnym rykiem syreny mijają wlokące się na sąsiednim torze wagony wyładowane drewnem. Las kończy się jak ucięty nożem. Wpadają na równinę, widać zabudowania wiosek, jeden zakręt drugi zakręt, nie schodzą poniżej stu pięćdziesięciu. Dźwięk syreny rozlega się teraz co raz częściej. Maszynista patrzy daleko przed siebie i niespodziewanie wciska dzwignię hamulca. Rzuca ich do przodu. Tory czyste. Nic nie nich nie ma.

- Co się dzieje? – krzyczy Orłowski.
  - Magazyn! – maszynista przekrzykuje świst powietrza.
- Wyhamowali na odcinku kilometra. Z nasypu kolejowego widać było spory połąć równiny. Z głównego torowiska odchodzi pojedyncza para torów, które biegły do stojącego jakieś trzysta metrów dalej wielkiego magazynu z czerwonej cegły.
- Ja tutaj kiedyś pracowałem... drewno woziłem – wołał Pomykała biegnąc do zwrotnicy – mamy parę minut przewagi... poradzimy sobie...
  - Schowamy się do magazynu? – domyślił się Orłowski.
  - Magazyn już od dawna nieczynny – mówił przedstawiając zwrotnice. – Musimy jechać.

Roithner wyjrzał przez okno i wołał:

- Naprzód! Naprzód , to już niedaleko! [niemiecki] – rękawem ocierał grube krople potu na czole.

Maszynista wszedł szybko po drabince do kabiny i przekręcił kierownicę. Lokomotywa nabierała przyśpieszenia. Minęli z prawej strony wielkie smętne gmaszysko z czerwonej cegły i jechali dalej przez równinę.

- Są! – maszynista wskazał na lusterko boczne po swojej stronie.

Pędzący ponad setkę elektrowóz z grupą pościgową doganiał ich. Rósł w oczach z sekundy na sekundę. Wydawało się, że już parę chwil dopędzi ich i prześcignie, ale dwieście metrów wcześniej, z trwającym ułamek sekundy potwornym zgrzytem, skręcił z głównego torowiska i pognął po bocznych torach prowadzących do magazynu.

Rozległ się przenikliwy pisk hamulców. Jednak nawet całkowicie zablokowane koła nie były w stanie zatrzymać rozpędzonej kilkusettonowej masy na odcinku trzystu metrów! Lokomotywa z hukiem przebiła się przez zamkniętą bramę i znikła we wnętrzu przestronnego budynku. Przez duże okna dochodził rumor roztrzącanych przez nią przedmiotów. Ale nic nie mogło powstrzymać jej pędu; widziana z zewnątrz ściana budynku wybuchła gejzerem czerwonych cegieł wypchniętych przez rozpędzonego stalowego potwora. Przebiwszy się przez ścianę Elektrowóz wypadł na łąkę za budynkiem i sunął przez nią przewrócony na bok przez kilkadziesiąt metrów, zatrzymując się dopiero na drzewach w lesie.

Maszynista i Orłowski ze zdumieniem przyglądali się konsekwencjom zrealizowanie pomysłu z przestawieniem zwrotnicy. Przez chwilę panowało ponure milczenie. W końcu Orłowski rzekł:

- Strzelali do nas. Mogli zabić. Albo my ich, albo oni nas!

Austriak podszedł do maszynisty i poklepawszy go z uznaniem po ramieniu powiedział:

- Brawo! To pewnie po dziadku w partyzantce! [niemiecki]

\* \* \*

Dochodziła godzina dziewiątą trzydzieści, kiedy Cebrzyński zdecydował się oddzwonić do pułkownika Madery aby zasięgnąć informacji o odbiciu Świdrygatora. Wybrał numer i czekał na zgłoszenie.

- Słucham pana – rozległ się w słuchawce zniecierpliwiony głos policjanta.
- Co z maszyną? – zapytał krótko.
- Wystąpiły pewne problemy. Nasz pierwszy plan nie powiódł się. Przystępujemy do realizacji drugiego. Tym razem nie ma takiej możliwości aby się nam wymknęli – powiedział stanowczo.
- Aha – westchnął Cebrzyński nie mając ogólnego oglądu sytuacji.
- Proszę czekać na kontakt z mojej strony – powiedział oficer dając do zrozumienia, że nie chce być nękany kolejnymi telefonami.

Dźwięk rozłączonej rozmowy i sygnał kończącej się baterii.

\* \* \*

Już tylko dziesięć kilometrów dzieliło ich od Orlego Gniazda. Nie mogli jednak jechać szybko gdyż znajdowali się w górskim terenie; tory wiły się między wzniesieniem, omijały skały, przechodziły pod tunelami i prowadziły przez wiadukty nad rzekami i przełęczami. Jechali do góry i zajeżdżali w dół. Padający deszcz i unosząca się mgła ograniczały widoczność do kilkudziesięciu metrów. Od chwili kiedy pozbyli się goniącego ich elektrowozu z grupą pościgową nikt nie zakłócał im podróży. Ten spokój, zawał się ich niepokoić; przypominał przysłowiową ciszę przed burzą.

- Za kilka minut będziemy w kryjówce – odezwał się Orłowski. – Zadzwoń, żeby przygotować załogę do przyjęcia pociągu. Wyjął telefon i popatrzył się na lecące przez chwile na równi z nimi stado czarnych ptaków. Widząc, że za moment wjadą do tunelu odłożył rozmowę na później.

Znaleźli się w ciemnościach. W kabinie było jednak widno od palącej się lampy i podświetlonych zegarów.

Jechali powoli, z prędkością dwadzieścia kilometrów na godzinę. Mocne światła lokomotywy sięgały daleko do przodu. Tory biegły na wprost i schodziły cały czas w dół. Dopiero po kilku minutach zobaczyli mały punkcik białego światła. Stawał się on co raz większy, aż w końcu wyjechali z mrocznego tunelu na światło dzienne.

Po drugiej stronie góry była ładna pogoda. Zza snujących się wysoko na niebie białych chmur wyglądało słońce. Przymykając oczy od mocnego natężenia światła rozglądali się dookoła, zdumieni że



panują tutaj zupełnie odmienna niż po drugiej stronie góry aura. Szumiał wiatr, ćwierkały ptaki. Między pniami drzew widać było pola uprawne rozciągające się za lasem porastającym górę w której przebito tunel. Las przerzedzał się i wkrótce zobaczyli przed sobą płaską jak patelnia i ciągnącą się hen aż po horyzont równinę przeciętą wałem nasypu kolejowego. Dwieście metrów dalej stały w poprzek torów dwie przyczepy tirów, blokując dalszy przejazd.

Na łące z prawej i lewej strony roіło się od policji. Lokomotywa toczyła się wolno po torach. Z wysokości kabiny widzieli setki uzbrojonych z karabiny policjantów. Po obydwu stronach stało kilkanaście radiowozów i słuźbowych autobusów. Dalej, w miejscu gdzie urządzono blokadę, ustawiły się wozy straźy pożarnej oraz karetki pogotowia. Z dala za całym zgromadzeniem, przysiadły dwa śmigłowce.

Wydano rozkaz i setki luf karabinów skierowało się w stronę lokomotywy, mierząc do widocznych za szybą ludzi. Roithner i maszynista padli na podłogę. Zapanowała cisza, w której słycać było tylko z rzadka następujący po sobie stukot kół. Znaleźli się w pułapce.

Pociąg jechał co raz wolniej, toczył się metr po metrze, cał po calu aż w końcu zatrzymał się kilka kroków przed przeszkodą. Zapanowała cisza. Zenon Orłowski stał prosto i patrzył przed siebie. Z jego ust popłynęło powiedziane ze spokojem słowo:

- Cofamy.

Leżący na podłodze maszynista podniósł do góry rękę i przekręcił kierownice. Elektrowozem szarpnęło. Potężny silnik z mocą czterech tysięcy koni mechanicznych szarpnął go do tyłu. Wszyscy przywarli do podłogi, chowając się przed gradem kul, które zasypały kabinę odbijając się po niej rykoszetami. Ostrzał trwał pięć sekund, zanim pociąg całkowicie znikł w tunelu.

Nic im się nie stało. Uratował ich kawał blachy, która oderwała się po pierwszych strzałach od sufitu i zakryła ich od góry. Podnieśli się z podłogi i obrzucili ponurym wzrokiem zmasakrowaną kabinę. Wszędzie dziury po kulach, rozbite szkło, mnóstwo gorących jeszcze spłaszczonych od uderzeń pocisków. Wszystko to chrzęściło pod ich nogami przy każdym poruszeniu.

- Jaki plan? Wyjeżdżamy i uciekamy w las? – rzekł Pomykała zajmąwszy miejsce na swym fotelu z którego rozerwanego oparcia odrywała się gąbka.



- Pięć kilometrów od celu?
- Co chce pan zrobić?
- Przebić się przez tę ich blokadę.
- Walnąć z rozpędu w te kontenery?
- Dokładnie! – potwierdził.

Cofając się dojechali do końca tunelu. Roithner leżał na podłodze i trząsał się ze strachu.

- Jak wypadniemy z szyn to po nas – zauważył maszynista.
- A czy czeka nas lepszy los jeśli nas złapią?

Lokomotywa zatrzymała się tuż przed wjazdem do tunelu. Przez chwilę stali w miejscu, jakby sami zbierali siły i dawali wytchnienie silnikowi. W końcu Orłowski rzucił.

- Jedziemy!

Ruszyli. Powoli wtoczyli się do czarnej czeluści. Nie musieli gnać już od samego początku. Mieli kilometr rozpędu.

- Rzeczywiście jest pan szalony! – wykrzyknął maszynista.
- To prawda. Dlatego tu jestem!

Zjeżdżając w dół nabierali prędkości. Powietrze wpadało do środka przez pozbawione szyb okna i trzaskało pootwieranymi blaszanymi drzwiczkami szafek. Chłodny wiatr owiewał ich twarze zmuszając do przymykania powiek. Jechali w absolutnej ciemności; przednie reflektory zostały rozbite w czasie ostrzału; zgasło podświetlenie zegarów, wmontowaną w sufit lampkę roztrzaskały kule. Koła toczą się co raz szybciej. Wiatr furkocze. Wszystko wokół drży i wibruje. Dzwonią kawałki szkła po podłodze. Mkną jeszcze prędzej. Napór powietrza staje się nie do zniesienia. Maszynista blokuje kierownice i wszyscy trzej kładą się na podłogę. Mocno łapią się rękoma metalowych części. Totalna czerń, narastający szum wiatru, coraz głośniejszy stukot kół i jednostajne wycie silnika. Stalowy byk ma wciąż wiele sił i mknąc w dół, rozpędza się i szykuje do decydującej szarży. W kabinie panuje huragan, blaszane drzwiczka tłuką się jak oszalale. Słyszą świst powietrza. Stukot kul zamienia się w jednostajny ogłuszający huk. Każdy element jęczy i wyje jakby był u kresu wytrzymałości. Zdają się że uszy pękną! A pociąg, jak pięść boksera rwie do przodu i gna po torach przed siebie by zadać mocarny cios! Rozbłyskuje światło dzienne. Jeszcze tylko dwieście metrów, jeszcze tylko kilka sekund! Z całych sił zaciskają ręce na trzymany przedmiotach. Może to już ich ostatnie chwile...

Rozpędzony stalowy pocisk wystrzela z tunelu, przez chwilę, dwie, mknie z niewiarygodną prędkością po szynach i z ogłuszającym łoskotem uderza w kontenery. Jak gigantyczny pocisk armatni wbija się w nie, tnie, rozsadza i w mgnieniu oka rozrzuca na boki, jakby to były lekkie pudełka po zapalkach. I pędzi dalej! Huk rozrywanych blach uderza w uszy jak grzmot pioruna...

Stojący obok radiowozu oficer widząc to w zdumieniu opuścił rękę z krótkofalówką i szepnął do siebie:

- Szaleńcy. Zaiste szaleńcy...

\* \* \*

Pociąg gna po szynach. Po upływie pół minuty próbują się podnieść. Pęd powietrza nie pozwala utrzymać się na nogach. W oddali widać wiadukt a za nim znajome wzgórza. Są już blisko celu. Do kryjówki pozostało zaledwie dwa kilometry. Muszą rozpocząć hamowanie. Maszynista ściąga maksymalnie dzwignie hamulca. Iskry lecą spod stalowych kół. Wytracając prędkość przejeżdżają kilometr, suną po długim wiadukcie nad rzeką. Wciąż zwalniając toczą się jeszcze kilkaset metrów. Widzą już drobną postać człowieka, który macha do nich rękoma i przestawia zwrotnicę. W chwilę potem mijają go. Lokomotywa skręca w boczny tor i wjeżdża do lasu. Siłą rozpędu pokonuje niewielkie wzgórze, zjeżdża w dół i po starych porzewiałych torach wspina się na drugie wzniesienie. Stoi na nim posepny budynek starej stacji załadunkowej. Jadą jeszcze kawałek pod górkę i na ostatnich resztach pędu wtaczają się pod jej dach. Rozlega się pisk hamulca. Zatrzymują się. Słyszą krótki syk rozprężanego powietrza. Są u celu.

Do lokomotywy podbiega kilku mężczyzn. Biją barwa. Pomagają zejść Roithnerowi, który mimo tego że cały drży z emocji, cieszy się jak dziecko. Pomykała odwraca się do Orłowskiego i mówi:

- Przemycić przez pół Polski tak wielką maszynę, to mogło się udać tylko panu! Prawdę powiedziawszy nie do końca wierzyłem, że się uda.

- **O! A ja widziałem ocean możliwości...**

Po jakimś czasie rozlega się odgłos lecących śmigłowców. Z ulgą stwierdzają jednak, że pomknęły one dalej, wzdłuż głównego torowiska. Poderwały się z ziemi zbyt późno, by ich wytropić.

\* \* \*

Kiedy o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt Adam Cebrzyński przejeżdżał przez bramę BykRolu, jego umysł zdominowała myśl, czy Bartkowski zdołał wykonać atrapę maszyny produkującej Szynekadę. Operatywność jego podwładnego miała wpływ na nawiązanie współpracy z Amerykanami. Gdyby wyszło na jaw, że maszyny nie ma, to można uznać za pewnik, że General Food Corporation nie podpisze kontraktu na dostawę Szynekadeli.

Jadąc w stronę parkingu minął wozy transmisyjne kilku ekip telewizyjnych. Plac przed budynkiem wypełniał tłum dziennikarzy. Operator kamery z logo Sky News filmował go do momentu zatrzymania się przed budynkiem biura. Za szybą rozbłysły flesze aparatów fotograficznych. Wysiadł z samochodu i przeszedł obok dwóch Lincolnów na kalifornijskich numerach rejestracyjnych. Zmierzał w stronę schodów. Poparzył do góry na okna sali konferencyjnej, w której miało dojść do podpisania kontraktu. Prawdopodobnie Amerykanie już tam są. Musi najpierw spotkać się z Bartkowskim.

Wygląd stojącej obok hali produkcyjnej nie budzi podejrzeń; dochodzą stamtąd odgłosy pracy maszyn. Czy oby dziura na dachu nie jest widoczna z pierwszego piętra biurowca? Może została zakryta? Sięga po telefon i próbuje się dodzwonić do Bratkowskiego. Słyszy urwany dźwięk całkowicie rozładowanej baterii. Trudno, zobaczy się z nim za chwilę.

Podbiega do niego młoda rozentuzjasmowana dziennikarka i podsuwając mu pod usta mikrofon pyta:

- Polskie Radio. Jak się czuję prezes firmy w tak ważnym, przełomowym dla niej momencie?
- Czuję się świetnie. Czy można się czuć inaczej kilka chwil przed momentem, kiedy zrobieniem kokosowego interesu?
- Kiedy pierwsza partia Szynekadeli trafi do USA?
- Ustaliliśmy z przedstawicielami General Food Corporation, że pierwszy transport ruszy już jutro.

- Cała Ameryka czeka na Szynkadełę z Polski! Czy to nie jest wspaniałe?

Wzruszył ramionami.

- Przede wszystkim dochodowe..., przepraszam – wyminął dziennikarkę i zrobił kilka kroków po schodach. Przystanął jednak gdyż dostrzegł podjeżdżającą do bramy długą czarną limuzynę. Na jej przedniej masce, po obydwu stronach powiewały małe biało-czerowne flagi. Wtoczyła się dostojnie przez bramę, skręciła w lewo, przejechała obok zaciekawionych jej przybyciem kilkunastoosobowej grupy dziennikarzy i zatrzymała się na placu, tuż przed budynkiem biurowca. W ślad za nią, na plac wjechał kolejny luksusowy samochód. Tuż po nim wtoczyła się następna elegancka limuzyna, i później jeszcze jedna, a po niej kolejna...

Ostatecznie w ciągu kilku minut, osiem czarnych limuzyn prawie całkowicie wypełniło plac przed piętrowym biurowcem. Na ich przednich maskach powiewały flagi z emblematami państw.

Zapachniało sensacją! Jednocześnie na teren zakładu wjechały cztery granatowe **Lancie** na rządowych numerach rejestracyjnych. Prędko wysiedli z nich postawni, ubrani w czarne garnitury mężczyźni i zdecydowanie odparli na bok tłumek mocno zaaferowanych niespodziewaną sytuacją dziennikarzy.

Raz po raz rozbłyskiwały lampy aparatów fotograficznych. Operatorzy kamer wycelowali obiektywy w stronę samochodów i wychodzących z nich dyplomatów. Jakaś dziennikarka zapowiadała nadawanie relacji na żywo z niezwyklego wydarzenia, do którego doszło w Wodziejowicach.

Cebrzyński stał na schodkach i mocno trzymał się barierki. To co widział przyprawiało go o lekki zawrót głowy: w otoczeniu ludzi z BOR stoi Prezydent Polski Andrzej Kujawa, z sąsiedniej limuzyny wysiada Prezydent Francji, dalej za nim widać Kanclerza Niemiec, który pozdrawia ręką wychodzącego z samochodu Premiera Rządu Brytyjskiego, Nieco z tyłu widać podchodzących do siebie prezydentów Czech i Słowacji. Prezydent Hiszpanii wita się z Prezydentem Włoch.

To wprost nieprawdopodobne! Do małej wioski w Wodziejowicach zawitały głowy ośmiu państw!

Przybyli goście schodzą się na skraju placu, po czym osłaniany po bokach przez funkcjonariuszy BOR oraz własną obstawę, mijają dziennikarzy, przechodzą obok wozów transmisyjnych i zatrzymują przy szerokich schodach. Z okien biurowca wyglądają dziesiątki głów. Widać także i Amerykanów, którzy są nie mniej zdumieni niż wszyscy.

Cebrzyński jest kompletnie zaskoczony. Wiedział, że kilku zagranicznych dygnitarzy ma złożyć kurtuazyjną wizytę w Kraju w związku z przystąpieniem Polski do Unii, ale nie interesował się zbytnio tą sprawą, a już absolutnie nie spodziewał się, że przyjadą oni do masarni w Wodziejowicach!

Kiedy schodził powoli ze schodów, napotykał wzrok polskiego dyplomaty.

- Pan Adam Cebrzyński? – zapytał ten.
- Tak.
- Znakomicie – uśmiechnął się. – Widziałem pana w telewizji – dodał wyjaśniająco. - Przepraszam, że spadliśmy na głowę tak bez uprzedzenia, ale decyzję o tym, żeby zboczyć z Drogi Lubelskiej i zrobić krótką wycieczkę do Wodziejowic podjęto dopiero w ostatniej chwili.

Cebrzyński nie ukrywał, że jest tą wizytą mocno przejęty.

- Tak, tak. To oczywiste. Zapewne zdecydowały o tym względy bezpieczeństwa – próbował okazać oznaki zrozumienia. – Ale dlaczego właśnie tutaj?
- To pomysł Ministra Gospodarki. Chciał się pochwalić waszą genialną maszyną do produkcji Szynkadeli, o której w świecie zrobiło się ostatnio bardzo głośno.

Cebrzyński poczuł falę gorąca.

- Niewątpliwie zrewolucjonizuje ona nasz krajowy przemysł masarski – wydusił z siebie.
- Czy zechciałby pan jako Prezes Zarządu Stowarzyszenia pokazać tę niezwykłą maszynę i pokrótce omówić zasadę jej działania? – przymrużył oko i dodał: - Oczywiście z zachowaniem tajemnicy produkcji.
- To pan nic nie wie...? – wyjąkał, zapewne przeceniając sprawność obiegu informacji w wyższych instancjach państwowych.

- Drogi panie, na temat jej działania wiem rzeczywiście niewiele. Czy zechciałby pan zademonstrować jak produkuje się tę Szynkadelę? – dyplomata ponowił prośbę.
- Dobrze... – odpowiedział Cebrzyński niepewnie. – Nie będzie to trwało długo ponieważ podpisujemy dziś kontakt o wartości siedemnastu miliardów dolarów z amerykańską firmą General Food Corporation. Być może znany jest panu ten fakt?
- Tak, wiem o tym – potwierdził krótko. – Wystarczy, że powie pan tylko kilka słów jako gospodarz, później może kontynuować ktoś inny.

Ruszyli w stronę hali produkcyjnej. Bartkowski gdzieś przepadł. Prawdopodobnie znajdował się w sali konferencyjnej i rozmawiał z Amerykanami. A może, nie sprostawszy zadaniu, najzwyczajniej w świecie zdezerterował? W każdym razie w najbliższym otoczeniu nigdzie go nie było.

Prowadząc za sobą zagranicznych dygnitarzy, zatrzymali się tuż przed dużymi metalowymi drzwiami do hali produkcyjnej. Maszyna, a teraz jej atrapa (jeśli tam w ogóle była!) powinna znajdować się tuż za nimi.

Sześciu prezydentów, jeden kanclerz i jeden premier z zaciekawieniem przyglądało się prostemu, niepozornemu budynkowi z białych pustaków, w którym zmontowano i uruchomiono jedyne w swoim rodzaju na świecie urządzenie. Wręcz nie chciało się wierzyć, że to właśnie tutaj, w tym szarym parterowym baraku wyprodukowano ów mięsny specyfik, który w wielu krajach zrobił prawdziwą i niespotykaną furorę.

Wkrótce, korzystając z możliwości zobaczenia i sfilmowania słynnej maszyny, tłumnie nadciągnęli dziennikarze. Z biurowca wyszło kilkadziesiąt osób, w tym cała delegacja amerykańskiego koncernu General Food Corporation. Nadjechał wóz transmisyjny telewizji BBC News. Szybko uwijający się operatorzy ustawiali stacjonarne kamery. Fotoreporterzy regulowali obiektywy aparatów. Ludzie z BOR mieszały się z tłumem i czujnie obserwowali otoczenie.

W ciągu kilku minut przed wejściem do hali w szerokim półkolu stanęło kilkadziesiąt osób z głowami ośmiu państw na czele. Blaszone drzwi chyba aż uginały się pod naporem dziesiątek ciekawych spojrzeń, chłodnych wejrzeń obiektywów kamer i aparatów, które w

nie wycelowano. Wszystkie ekipy telewizyjne nadawały ten materiał na żywo.

Adam Cebrzyński stał obok wejścia i walczył z ogarniającą go paniką. Wypadki potoczyły się tak szybko, że na dobrą sprawę nie zdołał się zorientować, czy wykonano atrapę maszyny, a jeśli już, to na ile jest ona podobna do oryginału, który został już kilkakrotnie pokazany w prasie i telewizji. To co się tutaj działo, zakrawało na jakąś okrutną kpinę losu! Że też Świdrygator został wykradzony nocą poprzedzająca podpisanie kontraktu z Amerykańskim koncernem i jednocześnie niespodziewaną wizytą przedstawicieli ośmiu państw! Nie ulegało wątpliwości, że po fali sukcesów, zaczyna ich prześladować koszmarny pech!

Czując na sobie ponaglące spojrzenia, drżąc z obawy, podszedł do blaszanych drzwi i patrząc na tłum przed budynkiem, otworzył je. Oślepiły go błyski lamp fotograficznych, przez chwilę zrobiło się ciemno przed oczyma. W sekundę potem usłyszał nagły i głośny jak wystrzał armatni, wybuch śmiechu.

Za otwartymi drzwiami zamiast wielkiej maszyny stała zwykła betoniarka a tuż pod nią na workach po cemencie leżało dwóch robotników. Głośny śmiech przebudził ich; jeden kopnął butem drugiego. Oglądając się z zakłopotaniem na tłum ludzi, wstali, otrzepali robocze ubrania z kurzu włączyli betoniarke i w jaskrawym świetle reflektorów zaczęli wrzucać do niej łopatomy piach z pobliskiej kupki.

Cebrzyński poczuł zawrót w głowie, i mocne uderzenia serca. Niewiele brakowało a upadłby na ziemię, lecz w porę podtrzymał go Bartkowski, który nagle pojawiał się za jego plecami.

- Co to jest? Gdzie atrapa? – wykrztusił do niego, rozglądając się dookoła z palącym policzki wstydem.
- Atrapa jest, ale w innym miejscu! – szeptał z przejęciem Bartkowski. – Nie mogłem się do pana dodzwonić!
- Trzeba było... – umilkł widząc podchodzącego do nich dyplomate.
- Panie Cebrzyński, no to jest przecież kompromitacja! – ryczał ten jak rozdrażniony lew. – Puknijcie się w głowę, co wy ludziom, światu, pokazujecie! Gdzie maszyna?! Dawajcie! Szybko!

- Świdrygator jest gdzie indziej! – Bartkowski szarpnął go za rękę. – Ze względu na niekorzystne działanie pól elektromagnetycznych przenieśliśmy go w inne miejsce! Na drugą stronę hali!
- Prowadź pan! Szybko!

Całe zgromadzenie przemieściło się na drugą stronę budynku. Nowy prezes BykRolu zastępując gospodarza, otworzył drzwi, za którymi widać było dolną część wielkiej przypominającej silos maszyny. Spod otworu na samym dole wypadały z niej na taśmociąg gorące jeszcze mięsne grudki. Ze spokojem obsługiwali ją pracownicy ubrani w białe czyste fartuchy.

Cebrzyński wszedł do hali i wskazując na atrapę Świdrygatora objaśniał głośno jak przebiega proces produkcji Szynkadeli. Tłumaczono to na język angielski. Wszyscy z podziwem kręcili głowami dowiadując się, że produkt ten powstaje na bazie ziemniaków i kaszy gryczanej z dodatkiem mięsa mielonego. Cała istota stworzenia z tych składników rewelacyjnych w smaku mięsnych grudek polegała na właściwym przetworzeniu ich przez maszynę, której to konstrukcja z oczywistych względów, nie mogła zostać całkowicie ujawniona. Po krótkiej, trwającej niespełna minutę prezentacji, przedstawiciele ośmiu państw zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie i ruszyli spowrotem w kierunku placu, na którym stały limuzyny.

Rozległ się zgrzyt zamykanych drzwi.

- Dobra robota! – pochwalił Cebrzyński swego podwładnego. – Do końca nie miałem pewności, że uda się panu w tak szybkim czasie zrobić atrapę. Podziwiam pana.
- Najpierw wykonaliśmy drewniane rusztowanie a później otoczyliśmy je blachą. Z daleka wygląda to jak prawdziwy Świdrygator, tylko dźwięk wydaję zupełnie inny.
- Najważniejsze, że widać jak wypada z niej Szynkadela.

Bartkowski zaśmiał się.

- W środku siedzi dwóch ludzi i z miednicy zrzuca ją w dół.
- Bardzo pomysłowe... – popatrzył w stronę biurowca gdzie przy schodach stało kilka osób z amerykańskiej delegacji. – Zajmijmy się teraz kontraktem, bo nie chciałbym aby te amerykańskie miliardy przemknęły nam koło nosa.

\* \* \*



Śmigłowiec poderwał się do góry i zatoczył koło wokół umiejscowionego na łagodnym wzniesieniu starego magazynu, pod którego dachem ukryto elektrowóz i wagon z wykradzioną maszyną. Zenon Orłowski spojrzął w dół na stojącą przed budynkiem grupkę ludzi. Najtrudniejsza część planu została już zrealizowana – reszta prac pozostawała w ich rękach; rozebrać Świdrygator na części pierwsze i przygotować je do przewiezienia przez dwie granice dzielące Polskę i Austrię. Pomimo tego, że służby celne na pewno zostaną ostrzeżone o możliwości wystąpienia takiego przemytu i będą prowadziły skrupulatną kontrolę, to jednak i tak nie zdołają zidentyfikować pojedynczych części złożonego mechanizmu.

A przed nim był Wiedeń - miasto wielkich możliwości, nowe życie w bogatym państwie i pełna wyzwania praca w firmie Hansa Roithnera. Wyjrzał przez okno i sentymentalnym spojrzeniem powiódł po rozpościerających się poniżej zalesionych pagórkach, łąkach i polach uprawnych. Czy kiedyś tutaj wróci, do Kraju nad Wisłą?

Rozległ się ogłuszający huk eksplozji. Fala uderzeniowa zachwiała śmigłowcem. Oszołomieni popatrzyli na dół: czarna chmura dymu i opadającego gruzu otaczała płonące ruiny budynku. Stojący jeszcze przed sekundą przy nim ludzie bezładnie staczali się z pagórka. Z góry widać było znajdujące się na wraku wagonu dwa fragmenty rozerwanych wybuchem cylindrów. Reszta części została rozrzucona wokół płonącej ruiny. Świdrygator przestał istnieć. Roithner patrzył na to osłupiałym wzrokiem. Wydusił z siebie tylko:

- **Ktoś podłożył bombę! Dlaczego? [niemiecki]**

Nikt z nich nie znał odpowiedzi na to pytanie. Na horyzoncie pojawiły się dwa policyjne śmigłowce, które kierowały się w stronę pióropusza dymu. Austriak z rezygnacją w głosie rzekł do pilota:

- Wracajmy do Austrii. Chcę być jak najdalej tego kraju!

Niedowierzając w to co się stało, z cierpkim smakiem porażki, polecieł na południe.

\* \* \*

Gromkie brawa i wystrzały otwieranych butelek z szampanem uwieńczyły moment podpisania umowy o współpracy między Lubelskim Stowarzyszeniem Producentów Przetwórstwa Mięsnego a Amerykańskim Koncernem General Food Corporation. Kontrakt o wartości siedemnastu miliardów dolarów stał się obowiązującym obydwie strony aktem cywilno-prawnym. Prezes Zarządu Stowarzyszenia Adam Cebrzyński ściskając prawicę George Tracy, reprezentującego interesy Amerykanów tak poddał się panującej atmosferze sukcesu, że zupełnie zapomniał o tym, że narzędzie do jego zrealizowania – Świdrygator - znajduje się daleko stąd, i na dobrą sprawę nie było to takie pewne, że trafi tu spowrotem.

W chwilę po podpisaniu kontraktu stał wraz George Tracy przy oknie zza którego widać było szary budynek hali produkcyjnej. Trzymając w rękach kieliszki z szampanem prowadzili uprzejmą konwersację:

- Cieszę się, że doszło do nawiązania współpracy między nami – basowym głosem mówił Afroamerykanin. – I jednocześnie gratuluję skonstruowania tak unikalnej maszyny!
- Zamierzamy na niej zrobić najlepszy biznes w powojennej Polsce! – odpowiedział Cebrzyński z entuzjazmem przesiąkniętym dużą dozą dumy i pewności siebie.
- W naszej branży o przepływie pieniędzy decydują podniebienia klientów – uśmiechnął się. - Wypijmy za to, aby jak najwięcej z nich rozsmakowało się w Szynekadeli!
- Wypijmy!

Stuknęli się kieliszkami i napili szampana. Jeszcze subtelny dźwięk trąconego szkła nie zamilkł im w uszach, kiedy postyszeli głośny rumor dochodzący z hali produkcyjnej. Drewniane belki wybiły szyby w oknach i wystawały na zewnątrz. Cebrzyński poczerwieniał. Atrapa Świdrygatora zawałiła się sprowadzając go z wyżyn asa międzynarodowych interesów do poziomu prowincjonalnego oszusta. Z wyrazem paniki w oczach rozejrzał się na boki, jakby szukał ratunku w ucieczce przez okno. W stronę hali ruszyli reporterzy z kamerami.

- Nie wpuszczać ich! – zawołał rozpaczliwie.

Na próżno jednak - dziennikarze otworzyli drzwi i dostali się do środka. Wkrótce świat obiegiły zdjęcia przedstawiające stos belek i

pogniecionych blach powstały na wskutek przewrócenia się rusztowania, z którym zbudowano atrapę Świdrygatora.

Pięć minut potem Zarząd Stowarzyszenia spotkał się z przedstawicielami amerykańskiej korporacji. Atmosfera była wyjątkowo napięta. Cebrzyński spróbował przedstawić fakty w innym świetle; sprowadzić żenujące oszustwo do przejawów zwykłego braku zaufania.

- Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę w sprawie kontaktu? – mówił do Johna Smith`a
- Tak. Doskonale – potwierdził Amerykanin.
- Nie kto inny jak właśnie pan wspominał o tym, że nie zachowamy długo tajemnicy produkcji. Zgadza się?
- Tak właśnie powiedziałem.
- Więc aby temu zapobiec, dzisiejszej nocy maszyna została przetransportowana w inne miejsce – uśmiechnął się przekonywująco. – Zamiast niej wstawiliśmy atrapę!

Wybuchł gwar rozmów. Kilka osób nerwowo sięgało po papierosy. Ktoś otworzył okno.

- Rozumiem waszą ostrożność – odezwał się George Tracy – Ale czy sięgnięcie po aż tak radykalne rozwiązanie nie było mocną przesadą?
- Nie! – odparł Cebrzyński krótko.

Przedstawiciele General Food Corporation i członkowie Zarządu Stowarzyszenia opuścili gabinet w minorowych nastrojach. Amerykanie mogli snuć różne domysły związane z dziwnym zaskakującym obrotem zdarzeń, lecz to co mówił Prezes Zarządu polskiej firmy, miało swoje sensowne logiczne uzasadnienie. A że atrapa zwała się właśnie dziś, w dniu podpisania kontraktu i wizyty zagranicznych dygnitarzy, to chyba tylko wyjątkowo pechowy zbieg okoliczności?

Cebrzyński poczuł się niedobrze. Idąc w stronę toalet na końcu korytarza mocno ścisnął aktówkę z dopiero co podpisaną umową. Dzięki przytomności umysłu, udało mu się uratować nadzwyczaj ważny kontrakt. Jednak ogarniało go też zwątpienie; gdyby wiedział, jak potoczą się wypadki związane z zatajeniem faktu, że maszyna

została wykradziona, prawdopodobnie nie zdecydowałby się na postawienie jej atrapy. Teraz już trudno; musi się toczyć z góry w dół jak kamień w lawinie, którą sam wywołał. W kieszeni rozdzwonił się jego telefon komórkowy. Kontaktował się z nim pułkownik Madera.

- Witam pana. Niestety nie mam dobrej wiadomości... – rzekł oficer na wstępie.
- To znaczy? – zapytał przełykając ślinę.
- Znaleźliśmy wrak maszyny.
- Jak to wrak? Co to znaczy wrak?!
- Maszyna eksplodowała w jakimś starym składzie drewna. Znaleźliśmy fragmenty tych dwóch cylindrów. Zostały całkowicie rozerwane przez wybuch.

Cebrzyński przystanął. Przez chwilę pociemniało mu w oczach.

- Dziękuję za informacje – wyszeptał zrezygnowany i rozłączył rozmowę.

Szedł przed siebie otępiały. Jego myśli rozbijały się o siebie jak fale w czasie sztormu. Kompletny chaos. Nic nie przychodziło mu do głowy. Żadna koncepcja. W ciągu trzech pierwszych kroków uświadomił sobie, że kontrakt z Amerykanami przepadł, a w ciągu dalszych pięciu pogodził się z tym faktem. Zatrzymał się w miejscu, bo zapomniał dokąd idzie. Stał chwilę i wykoncypował, że muszą zbudować jeszcze jedną maszynę. Nawet się ucieszył, bo przyszło mu na myśl, że mogą to przecież zrobić. Tylko oni są w stanie zbudować ją od nowa bo mają tego cholernego genialnego pijaka Antoniego Świdra! Nikt im nie podbierze patentu na Szynkadele!

W oddali na korytarzu zamajaczyła mu postać Bratkowskiego. Przywołał go ręką do siebie.

- Maszyna rozbita – oznajmił mu krótko. – Kontrakt nie ważny... Ten zatrzymał się w miejscu.
- Niemożliwe... – pokręcił głową jakby nie przyjmował tego do wiadomości. – Jak to?
- Ktoś ją wysadził w powietrze. Gdzie Świder?
- Nie wiem – powiedział skrywając lęk.
- Dlaczego nigdzie go nie widziałem? – mówił idąc szybkim krokiem przez korytarz. – Chodźmy do jego kancelarii!

Zaledwie uchylili drzwi zobaczyli leżącego na wznak przy biurku Antoniego Świdra. Jego twarz była biała jak kreda, oczy patrzyły prosto w sufit. Cebrzyński przykucnął przy nim, uchwycił ręką

miejsce powyżej nadgarstka i badał puls. Nic nie wyczuł. Rozerwał na nim koszulę i przyłożył głowę do klatki piersiowej. Serce poczciwego Antoniego nie biło. Nie żył.

- Zapił się na śmierć! – powiedział Bartkowski pochylając się nad zimnym ciałem.

Cebrzyński wstał gwałtownie. To wszystko wyglądało jak okropny koszmar...Najpierw kradzież, później zniszczenie maszyny; teraz śmierć człowieka który ją skonstruował. Jakieś złe fatum musiało ciążyć nad nimi...

- Co robić? – mówił otwierając aktówkę z dopiero co podpisanym kontraktem. – Czy były jakieś plany Świdrygatora?

- Tylko w jego głowie...

Rozległ się dźwięk rozdieranego papieru. Umowa została podarta na drobne kawałki.

- Jasny szlag! To już po Szykadeli! – mówił Cebrzyński otwierając okno. - Miałeś panie Adamie złoty róg, został ci się jeno dług! – wycedził z nienawiścią do samego siebie i wyrzucił przez okno podarte karteczki papieru. Patrząc przed siebie mówił: - Tam gdzieś w górach rozbita maszyna, tutaj stos blachy i desek po jej atropie. Tam ośmiu prezydentów i amerykańska delegacja, a tutaj trup! A my dwaj jak te kundle... – popatrzył na martwego Świdra i z westchnieniem dodał: - Trzeba zadzwonić do zakładu pogrzebowego – wychodząc z gabinetu rzucił ponurym tonem. – Za słabo pilnowaliśmy tej maszyny!

Bartkowski wychylił się przez okno i zobaczył jak podarte kartki spadają w dół wprost na **stół** za którym siedziało ośmiu dygnitarzy. Ze zgrozą spostrzegł, że na samym środku stołu znajduje się talerz z kilkoma grudkami Szykadeli – bardzo podobny do tego, który widział ostatnio w szafce Antoniego Świdra!

Postanowił zlustrować szafkę. Otworzył ją i już pierwszy rzut oka pozwolił zorientować się, że talerza w środku nie ma! Spojrzał przez okno i widząc jak siedzący za stołem ludzie sięgają po grudki Szykadeli krzyknął głośno „Stać!” i wybiegł z gabinetu. Przemknął przez korytarz, zbiegł ze schodów, okrążył budynek i zdyszany zatrzymał się przed kręgiem ludzi z BOR. Dostrzegł stamtąd postawiony na środku talerz. Był pusty!

Zakręciło mu się w głowie. Odwrócił się to tyłu i na dygoczących nogach zaczął bezwiednie iść w kierunku swojego samochodu. Strach

przepelniał każdą jego myśl. To niepojęte co się stało! Trucizna zabiła już Świdra, a zaraz uśmierci głowy ośmiu państw. Przyznać się, czy uciekać? Może jednak ta stara wiedźma zna jakąś odtrutkę, może jeszcze da się ich uratować? Przystanął w miejscu i zaciśniętymi ustami zaczął iść spowrotem. Powie wszystko, że kupił truciznę, że podłożył ją Świdrowi i że ktoś podsunął ją do zjedzenia ośmiu gościom – nie on. A później niech się dzieje co chce. Mogą go wsadzić do więzienia, może dostać dożywocie, ale jeśli istniał cień szansy na zapobieżenie politycznej katastrofie, to ją wykorzysta. Podeszedł do pierwszego z brzegu człowieka z Biura Ochrony Rządu i przez chwilę patrzył mu w twarz. „Absurd” – rozległo się w jego głowie, przecież w firmie mogło być kilka takich talerzy. Powie, że podłożył truciznę a może wcale jej tam nie było? Wywoła tylko niepotrzebny panikę, i zdradzi się, że zatrul Świdra. Dlaczego ten lęk od razu dyktuję mu najczarniejsze scenariusze? Goście siedzą za stołem zdrowi, uśmiechnięci – po truciźnie tacy by nie byli. Nic nie powie, bo narobi tylko niepotrzebnego fermentu.

Ochroniarz obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem  
- Proszę się stąd odsunąć! – powiedział zdecydowanie,  
Odszedł na bok. Popatrzył na swój samochód. Pojedzie teraz do domu i tam przeczeka wszystko. Upije się i prześpi do rana. A rano, rano niech się dzieje co chce... Wszystko mu jedno.

Pół godziny później, tuż przed Lublinem, minęło go kilka karet pogotowia pędzących na sygnale.

\* \* \*

Kilkanaście minut później świat obiegła sensacyjna wiadomość: - ośmiu prezydentów zatruto się w czasie poczęstunku, który miał miejsce w małej wiosce Wodziejowice gdzie wizytowali zakład produkujący Szynekadelę. Lekarze z Lubelskiej Kliniki Chorób Wewnętrznych toczą dramatyczną walkę o ich życie. Biegli stwierdzili, że w podanym jedzeniu znajdowała się nieznanego rodzaju trucizna.

W świecie polityki i w mediach zawrzało jak w garncu. Ostrożne odpowiedzi polityków mieszały się z sensacyjnymi komentarzami dziennikarzy. Padały takie słowa jak „zamach terrorystyczny”, „atak na nową Europę”, „Skandal polityczny”. W specjalnym przemówieniu

Premier Rządu Polskiego zapewnił, że Polska dołoży wszelkich starań, aby uratować życie gości oraz wykryć trucicieli. Wyznaczono nagrodę w wysokości miliona złotych za wskazanie osoby, bądź osób które podłożyły truciznę.

Wszyscy byli co do tego zgodni, że polityczne konsekwencje tej tragedii są wręcz trudne do przewidzenia...

\* \* \*

Bartkowski oglądając te wszystkie wiadomości nie mógł znieść ciężającej na nim presji. Tylko on wiedział, skąd pochodziła trucizna i tylko on mógł pomóc w szybszym odnalezieniu środka, który ją zneutralizuje.

Przejechał na drugi koniec miasta i z budki telefonicznej wykonał anonimowe połączenie pod numer zgłoszeniowy policji. Musiał uzbroić się w cierpliwość. Po upływie pięciu minut telefon odebrał jakiś aspirant. Nieumyślny zamachowiec przełknął ślinę i przez ściśnięte ze strachu gardło mówił do policjanta.

- Niech pan posłucha. Ja podłożyłem truciznę prezydentom.
- Tak? – policjant odezwał się z przejęciem.
- Nie chciałem tego zrobić. To była pomyłka. Zresztą nieważne. Truciznę sprzedała mi znachorka z Wodziejowic
- Kto, kto?
- Znachorka z Wodziejowic! – zdenerwował się. – Niech pan nie przeciąga rozmowy! Znam te wasze numery... Znajdźcie ją, a ona wam powie z czego jest zrobiona.
- A gdzie mieszka?

Rzucił słuchawką na widełki. Wyjął chusteczkę i przejechał nią po plastikowej ręczce ścierając odciski palców. Rozglądając się, czy nie jedzie w jego stronę patrol policyjny wsiadł do samochodu i odjechał.

\* \* \*

Policjanci szybko zlokalizowali chałupę, w której mieszkała znachorka, lecz jej tam nie zastali. Niecałą godzinę później zorganizowano zakrojoną na szeroką skalę akcję poszukiwawczą: ściągnięto kilkanaście oddziałów policji z Lublina i okolic, rzucono trzystu żołnierzy z stacjonującego w tym rejonie III Batalionu Wojsk

Zmechanizowanych, zaangażowano Obronę Cywilną. Specjalni agenci poszli w lud na przeszpiegi. Przeszukiwano dokładnie każdą pędź ziemi, każdy metr po metrze, ale znachorki nie odnaleziono. A stara kobiecina krążyła w tym czasie dookoła ołtarza odmawiając litanie. Cóż warte byłyby takie poszukiwania, gdyby nie zajrzano także i do kościoła: lecz tak się pechowo złożyło, że co ktoś z zaglądnął do środka, to znachorka była akurat skryta za ołtarzem, jak nikt nie patrzył, to szła na klęczkach z modlitewnikiem w rękach, tuż przed nim. W końcu znalazł ją kościelny, który poszedł zapalić świece przed mszą. Złapał babę łeb i wywłókł na dwór. Wpakowano ja w radiowozu i zawieziono na komisariat, gdzie mieścił się sztab kierujący akcją poszukiwawczą. Oficer policji złapał ją za ramię krzyknął:

- Odtrutkę stara jędzo dawaj!
- Przeci jo mówiła, że na to żadny odtrutki nima!

\* \* \*

Tymczasem w Lubelskim Szpitalu Chorób Wewnętrznych na oddziale intensywnej terapii toczył się zaciekły bój o uratowanie życia ośmiu polityków przed śmiercią na wskutek zatrucia. Wszyscy oni leżeli w jednej sali podpięci do kroplówek, z maskami tlenowymi na twarzach. Cześć z nich zapadła w śpiączkę, a cześć jęczała z bólu mimo zaaplikowanych im środków znieczulających. Ich stan pogarszał się z godziny na godzinę. Gdyby nie seria skomplikowanych zabiegów biochemicznych, którym ich poddano już dawno zeszliby z tego świata.

W laboratorium pracował sztab chemików, którzy starali się odkryć antidotum na sporządzoną przez znachorkę truciznę. Jednak mimo tego, że krótkim czasie przebadano dziesiątki substancji chemicznych i przeprowadzono eksperymenty na setkach zwierząt laboratoryjnych, nie odnaleziono, substancji zdolnej zneutralizować szkodliwe toksyny, których działanie prowadziło do śmierci organizmu ludzkiego. Mimo dramatycznej walki stan pacjentów cały czas ulegał pogorszeniu. Żadne zabiegi nie przynosiły nawet najmniejszej poprawy. W pewnym momencie stało się jasne, że są to ich ostatnie godziny życia.



W gabinecie ordynatora zebrało się konsylium lekarskie. Padały propozycje różnych rozwiązań, ale żadne z nich nie wydawało się sensowne. W końcu odezwał się stary lekarz proktolog:

- Panowie, lekarze. Spoczęło na nas bardzo odpowiedzialne zadanie. Próbowaliśmy już wszystkich dostępnych nam medykamentów. Wykonaliśmy dziesiątki zabiegów. Ale nic nie pomaga. Sadzę jednak, że będąc obarczeni wyjątkową odpowiedzialnością, jaka na nas spoczęła, zapomnieliśmy o prostym banalnym zabiegu, który w takich właśnie przypadkach często skutkuje.

Sztab lekarzy powiódł po sobie wzrokiem. Nikomu nie przychodziło do głowy, żadne proste rozwiązanie. Proktolog wstał i powiedział:

- Mam na myśli lewatywę.

Ktoś parsknął śmiechem.

Jeden z lekarzy szepnął do drugiego.

- Stary Kubicki zdecydowanie już dawno powinien odejść na emeryturę.
- Chce pan zrobić lewatywę ośmiu prezydentom? – powiedział z niedowierzaniem jeden z lekarzy. – Co cały świat pomyśli sobie o nas? O naszej medycynie? Toż to wstyd i hańba!
- Mocno powątpiewam w skuteczność tego zabiegu – zabrał głos internista. – Ponadto wykonanie go byłoby ze wszechstron dla nas niekorzystne. Jeśli się nie uda i pacjenci nie przeżyją, to będzie wstyd że z braku konceptu łapiemy się takich prostych metod rodem spod strzechy, jeśli natomiast powiedzie się i uratuje im życie, to pojawią się pretensje, dlaczego nie zrobiliśmy go na samym początku.
- I ja też jestem przeciwko – oznajmił kardiolog.
- Żenująca propozycja – podsumował krótko inny lekarz.

Spojrzenia lekarzy spoczęły na ordynatorze. On tu miał decydujący głos. Ten powiódł dookoła wzrokiem i rzekł:

- Życie i zdrowie pacjentów stawiam ponad nasze ambicje. Skoro i tak mają umrzeć, a jest cień szansy, że lewatywa może ich uchronić od śmierci, to powinniśmy ją zrobić – wstał, poprawił zawieszoną na szyi słuchawkę i jak generał rzucający na front tysiące żołnierzy rzekł: - Zrobić im lewatywę!

Kiedy opuścił gabinet pozostali w nim lekarze byli tak zawstydzeni podjętą decyzją, że nie chcieli wyjść na korytarz. Cześć z nich przeczuwając, że szpital okryje się hańbą zapowiedziała rezygnację z

pracy. Oto już niebawem w świat pójdzie nowina, że w Klinice Chorób Wewnętrznych, właśnie wykonuje się zabieg będący ostatnią deską ratunku dla życia prezydentów – lewatywę.

I rzeczywiście po pięciu minutach w na korytarzu pojawiła się pielęgniarka, która pchała przed sobą wózek z ośmioma gumowymi gruszkami napełnionymi ciepłą wodą z rozrobionym w niej szarym mydłem. Stukając głośno butami na grubych drewnianych podszwach, kierowała się w stronę sali w której znajdowali się nadzwyczaj ważni pacjenci.

\* \* \*

W najgorszym zaś stanie był sam Prezydent Polski Andrzej Kujawa. Późnym wieczorem zapadła decyzja o przetoczeniu mu zatrutej krwi. Zaszła potrzeba, aby go przemieścić do specjalnego gabinetu, gdzie ten zabieg miałby być wykonany. Dwie pielęgniarki pchały przez długi korytarz łóżko z Pierwszym Pacjentem Rzeczypospolitej Polskiej, kiedy aparatura medyczna, do której został podłączony Kanclerz Niemiec, zaczęła sygnalizować zanik tętna. Ordynator zabił na alarm. Powstało zamieszanie. Pielęgniarki pozostawiły łóżko z Prezydentem Polski tuż przy klatce schodowej i ruszyły z pomocą ratować życie umierającemu człowiekowi. Najwidoczniej podłoga tuż przy klatce schodowej nie była zbyt równa. Łóżko z Panem Prezydentem, powoli skierowało się ku schodom, zjechało z pierwszego stopnia, drugiego i kolejnych. Na półpiętrze odbiło się od barierki i zjechało na piętro niżej. Jednak nie zatrzymało się tutaj; w ten sposób tocząc się co raz niżej zjechało aż do samej piwnicy i z rozpędem uderzyło w blaszane drzwi kotłowni.

- Jezusie, Maryjo! Co się dzieje?! – wykrzyknął palacz ze strachem oglądając się za siebie. Zobaczył, sunące z dużą prędkością w jego stronę łóżko z leżącym na nim pacjentem. Uskoczył na bok, zaparł się nogami i złapał je zanim uderzyło w gorący kocioł.
- Widzę brachu, że próbujesz zdezerterować ze szpitala – mówił do półprzytomnego pacjenta. – Wcale się dziwię. Jedzenie tu dają nienajlepsze.

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiałego, trzymając się ręką za bolący brzuch i żołądek.

- Gębę to tak jakbym gdzieś już wiedział – mówił palacz pochylając się nad chorym człowiekiem w łóżku. – Może ty jakiś znany jesteś?
- Andrzej jestem – wystękał pacjent.
- A gdzie robisz?
- W Belwederze.
- Zarobki chociaż dobre?
- Nie narzekam – mówił pacjent z dużym wysiłkiem.

Palacz z troską patrzył jak człowiek na łóżku wije się z bólu, cały czas trzymając się za żołądek.

- Widzę bracie, żeś się czymś pierońsko struł! – pokręcił głową. - Powiedz mi, a co żeś ty ostatnio jadł?
- Szy... Szyn... Szynkadeeęę – wyjęczał pacjent.
- A Szynkadela? Słyszałem! – zawołał głośno palacz. - Też mi jakieś wymysły, nowe mody, jakieś majonezy. Zamiast panie, tradycyjnie: kotlet mielony, ziemniaki i surówka z buraczków ćwikłowych – dobre polskie jedzenie, to oni wam tu jakiś wymysły dają. Wynalazki jakieś.

Pacjent zawył z bólu.

- Widzisz chłopie – mówił palacz idąc za kocioł. – My tu pracujemy na trzy zmiany. Kurzy się od tego węgla jak jasna cholera, to się trzeba czymś ratować, żeby to wykrztusić – znikł za kotłem i po chwili pojawił się znowu trzymając w ręku butelkę. – To jest śliwowica z piołunem. Dobra polska wódka! Nie byle jaka! – wyjął korek i rozglądając się za szklanką mówił. – Mój szwagier ją robi. Sprzedaje po pięć złotych za flaszkę. Jakbyś kiedyś potrzebował to wal do mnie jak w dym! – nalał pół szklanki śliwowicy i podniósłszy lekko głowę strutego mężczyzny przytkną mu ją do ust – Pij Andrzej – mówił przechylając szklanekę. – Pij to ci przejdzie.

I rzeczywiście Pan Prezydent już po pierwszym łyku śliwowicy poczuł znaczną ulgę w dolegliwościach, a z każdym kolejnym, jego stan znacznie się poprawiał. Kiedy opróżnił pół flaszki usiadł zadowolony na łóżku i uśmiechnął się.

- Panie drogi! Życie mi pan uratował! – zawołał z radością do palacza. – Czego oni tam z nami nie robili. Krew chcieli mi przetaczać! Moją własną krew z dziada pradziada... – zeskoczył z łóżka, poprawił spodnie od piżam i zapytał: - Może znajdzie się jeszcze trochę tej śliwowicy? Na górze jest jeszcze więcej zatrutych tą całą cholerną Szynkadela!

- Zaraz przyniosę tylko najpierw do pieca podłóżę. Później będą narzekać, że kaloryfery zimne – rzekł otwierając metalowe drzwiczki. Wrzucił przez nie do paleniska kilka szufli węgla i poszedł za kocioł. Przyniósł stamtąd osiem flaszek śliwownicy – Tylko nie mów Andrzej, żeś ode mnie dostał bo jak się szefowa dowie, to nie z roboty wyleje...
- Ani słowa nie pisnę – obiecał Prezydent i trzymając po cztery flaszki śliwownicy w jednej ręce chyżo wybiegł z kotłowni i popędził po schodach na górę.

Pielęgniarka pchająca przed sobą wózek, w którym znajdowało się osiem gumowych gruszek, już zbliżała do sali z specjalnymi pacjentami, kiedy na korytarzu pojawiał się Polski Prezydent (ten co jeszcze przed chwilą zwijał się z bólu!) i wielkimi susami sadył przez korytarz pobrzękując trzymanymi w rękach butelkami. Z rozpędu przewrócił stolik i wpadł do sali. Osiem gumowych gruszek potoczyło się po podłodze korytarza.

Powiódł wzrokiem po leżących na łóżkach pacjentach – ich stan był wyjątkowo ciężki. Większość z nich zapadła w śpiączkę i nie dawała żadnego znaku życia. Lekarze na widok ozdrowiałego Prezydenta, patrzyła nań jak na zjawę.

- Panie Prezydencie, pan już biega....? – ordynator ledwo się powstrzymał przed przetarciem oczu ze zdumienia.
- Nie tylko biegam, ale i lekarstwo przyniosłem! – podszedł do blaszanego stolika i położył na nim osiem butelek śliwownicy. – Oto jest antidotum na truciznę!

Kilku lekarzy zbliżyło się do stolika i z ciekawością przyglądało się zawartości butelki.

- A co to takiego? – zapytał jeden z nich.
- Kiedy wy tutaj cuda na kiju wyprawicie i nic nie skutkuje okazuje się, że pomaga zwykła Śliwownica z piołunem, którą dostałem od.... no nie ważne od kogo dostałem, ważne że działa i to jak!
- Przecież my stosowaliśmy wszystko co ma do zaoferowania współczesna medycyna. Zwykła śliwownica z piołunem? To niemożliwe!
- A jednak tak!

Bardzo dobry stan zdrowia Prezydenta, jak również jego znakomite samopoczucie, świadczyły same za siebie. Mimo, że wyglądało to niewiarygodnie, alkoholowy trunek na bazie śliw okazał się bardziej

skuteczny niż wszystkie zdobywcze współczesnej medycyny!  
Ordynator spojrział na lekarzy i wydał polecenie:

- Zaaplikować pacjentom śliwownicę!
- Szybko panowie śpieszmy się! – zachęcał internista. – To nasze jedyna nadzieja!

Porwali butelki ze stołu i w kilka chwil podpięli je do kroplówek. Podawania dożylnie śliwownica zadziałała bardzo szybko. Już po minucie zagraniczni dygnitarze zaczęli odzyskiwać przytomność. Siadali na łózkach, coś do siebie mówili w swoich językach, i ze zdumieniem przyglądali się dookoła jakby nie mogli sobie przypomnieć skąd się tu wzięli. Niemiecki kanclerz, podparł się na łokciach ziewnął i zaśpiewał:

Ja wol, ja wol is libe

alkohol...

Prezydent Francji weselo pogwizdywał, brytyjski premier rozłożył szeroko ręce i kręcił się dookoła łóżka udając samolot.

- Oni są pijani! – zauważył jeden z lekarzy.
- Ale żywi! Przede wszystkim żywi! – radował się ordynator.

Wnet całe to odtruwanie, zamieniło się w międzynarodową imprezę, odbywającą się przy drzwiach szczelnie zamkniętych. Kiedy skończyła się śliwownica dostarczono inne alkohole. Ktoś przyniósł harmonie i grał skoczne melodie. Ordynator zaprosił kilka urodziwych pielęgniarek. Śpiewano w różnych językach, mówiono przeważnie po angielsku, a tańczono kto co chciał, lub co potrafił. Już późnym wieczorem w tym międzynarodowym tyglu, osiągnięto pełną integrację kulturową,; każdy mówił w swoim języku a i tak był przez wszystkich rozumiany, a trakcie nieformalnych rozmów rozwiązano zasadniczą część animozji międzypaństwowych.

Tuż przed północą ktoś wpadł na pomysł, aby połączyć wszystkie łóżka bandażami i zrobić z nich pociąg. Idea się spodobała. Natychmiast przystąpiono do jej realizacji. Punktualnie o dwunastej w nocy na korytarz wyjechał jedyna w swoim rodzaju „kolejka” składająca się z ośmiu łóżek zczepionych ze sobą bandażami. Na każdym łóżku siedział przedstawiciel europejskiego państwa. Chętnych do udzielenie siły motorycznej, temu niecodziennemu

pojazdowi nie zabrakło; pchali go pacjenci, lekarze i pielęgniarki. Tuż przed nim szedł człowiek, który grał na harmonii i śpiewał piosenkę:

Do Europy ten pociąg jedzie.  
Jutro powiemy „Do widzenia” będzie!

Unia niańczy, Unia głaszcze  
I nakarmi każdą paszcze

Bezdomnemu dom postawi  
Chłopu na wsi płot poprawi

I tak się toczył przez korytarz dookoła bloku, a pacjenci widząc go wychodzili z sal i obsypywali kwiatami z doniczek.

Kiedy okrążył cały blok dookoła Prezydent Polski zeskoczył z łóżka, wyszedł na korytarz i windą zjechał na dół aż do samej kotłowni. Palacz coś tam robił przy kotle. Na widok wyleczonego z zatrucia pacjenta, zaśmiał się i zapytał:

- No i co? Innym też śliwowica pomogła?
- Tak! Chyba uratował pan cały świat – mówił Prezydent otwierając portfel. Wyjął z niego dwa banknoty dwudziestozłotowe i wręczył palaczowi. – Osiem butelek po pięć złotych sztuka, wychodzi czterdzieści złotych.
- Tylko czterdzieści złotych za uratowanie świata? – zażartował palacz.
- No wie pan, ja panu tylko za śliwowicę mogę zapłacić... – powiedział Prezydent. Schował portfel do kieszeni, pożegnał się i szybko wyszedł z kotłowni.

A impreza trwała aż do białego rana. Następnego dnia prezydenci odlecieli do swych krajów, twierdząc zgodnie, że już dawno tak dobrze się nie bawili. Kilka dni później z Banku Światowego przelano na konto Ministerstwa Zdrowia olbrzymi zastrzyk pieniędzy, który jak krew z aorty przetoczył się do tętnic, a później do tętniczek zasilając konta poszczególnych lokalnych jednostek w terenie.

## Kanada, Hamilton

Padał deszcz. Krople bębniły po dachach samochodów. Ulicami spływała pieniaąca się woda do kratek ściekowych. Przechodnie omijali tworzące się na chodniku kałuże. Przy wejściu do sklepu obuwniczego siedział stary brudny żebrak z długą posiwiałą brodą. Tuż przed nim stało kartonowe pudełeczko, a w nim kilka centów na zachętę. Człowiek ten, uderzał ręką w bębenek i śpiewał po polsku smutną piosenkę:

Hej Ojczyzno, moja miła.  
Czemu żeś mnie w świat puściła?

Tu dokoła obcy ludzie.  
A ja siedzę cały w brudzie.

Dałby Bóg by mi przyszło.  
Znow zobaczyć Kraj Nad Wisłą.

Powiedz Jemu żem stęskniony.  
Tych widoków pół ojcowych.

Po których żem jako dzieciak latał.  
Motyle łapał i przez strumyk skakał...

Drzwi do sklepu otworzyły się gwałtownie. Pojawił się w nich rozniewany murzyn. Patrząc na żebraka krzyknął:

- Zabieraj się stąd! Odstraszasz mi klientów! Już!

Żebrak podniósł się ciężko, zabrał kartonowe pudełeczko i utykając na jedną nogę oddalił się od sklepu i skrył za śmietnikiem. Bolał go palec, ten na którego kiedyś nadepnał byk i wdała się w niego gangrena. Nie kto inny to był tym nędzarzem jak Kazimierski. Starzec po tym jak jego chałupa spłonęła od uderzenia pioruna, nie wiedział co ze sobą począć. W kraju nie miał rodziny, więc sprzedał za pół ceny byka sąsiadowi i przyjechał do brata w Kanadzie. Tutaj z początku wiodło się całkiem dobrze, jednak z biegiem czasu zaczęły

między braćmi narastać dawne konflikty. Doszło do kilku ostrych kłótni. Kazimierski miał ambicje – nie chciał być na czyimś utrzymaniu - pewnego dnia zabrał torbę ze swoimi rzeczami i cichaczem wymknął się z domu. Chciał wrócić do Polski za resztę pieniędzy, ale na lotnisku okazało się że nie było ich w torbie. Na powrót do kraju nie miał środków, mimo tego nie chciał wracać do brata. Koczował na dworcach, szukał jedzenia na śmietnikach żebrał na ulicach i zbierał metalowe puszki, które sprzedawał na złomowisku. Wpadł w dojmująca nędze, co chwilę przed oczami stawały widoki z Polski, a to jak w sadzie jabłka zbiera, to jak kurom zborze z garści rzuca, to znowu jak trawę pod lasem kosi. Chociaż w skrajnym ubóstwie sam w to nie wierzył, nadzieja podpowiadała mu, że kiedyś jeszcze tam wróci, w swe rodzinne strony. Ale tylko cud mógł to sprawić.

Mały zgarbiony człowiek pchając przed sobą prowizoryczny wózek przemieszczał się drogą wśród rzędów sprasowanych samochodów. W posepnej przygnębiającej ciszy słyhać było odgłos jego powolnych kroków. Auta, zarówno luksusowe jak i przeciętne, te które kiedyś woziły ludzi, patrzyły na niego smutnymi wybitymi oczyma lamp. Minął długi rząd wraków i szedł dalej w kierunku skupu. Po bokach przesuwaly się góry pokrytego rdzą złomu. A Kazimierski szedł przed siebie i patrzył na skrzynkę brzęczących przy każdym gwałtownym ruchu zgniecionych puszek po piwie. W pewnej chwili coś go tknęło, zdało się mu, że dostrzegł znajomy kształt; zatrzymał się i spojrział na kupę złomu po prawej stronie. Wśród stosu pociętych rur, części maszyn dostrzegł metalowy, częściowo pordzewiały korpus. Skupił na nim wzrok i podszedł bliżej. Widział wyraźnie: u góry wystają trzy rury, spod spodu jedna, a na boki wychodzą koła zębate. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości; to był parnik, który kiedyś dostał od pana Orłowskiego, a później Antek Świder przerobił go na maszynę, produkującą rewelacyjny w smaku mięsny specyfik. Nazwano ją Parnikoświdrygator. Nie mógł uwierzyć, że maszyna ta pokonała taką samą drogę jak on i z małej wioski w Polsce – Wodziejowic - trafiła na tutejsze złomowisko.

Z dużym wysiłkiem wydobyl ją spod metalowych gratów, przetoczył i dzięki pomocy dwóch robotników umieścił na wózku. Ledwo pchał tak ciężki ładunek, ale uparł się i dojechał z nim aż do



samego skupu. Tam sprzedał pogniecione puszki po piwie i za cztery dolary odkupił maszynę - prototyp Świdrygatora, którego tajemnica działania była warta krocie!

\* \* \*

Złą sławą okryły się zakłady BykRolu. Najpierw żenujące oszukanie Amerykanów i definitywne zerwanie współpracy z nimi, a później fatalne zatrucie się zagranicznych dygnitarzy. A przede wszystkim te koszmarnie długi, które zaciągnięto na budowę Świdrygatora. Wszystko to wpłynęło na ostateczną decyzję Zarządu Stowarzyszenia, aby BykRol sprzedać. Jednak wcale nie było łatwo znaleźć chętnych do kupienia tak mocno zadłużonego zakładu. Dopiero po kilku miesiącach do wzięcia udziału w ogłoszonym przetargu zgłosiła się dwie firmy z Rosji i jedna z Turcji. Wszystko wskazywało na to, że wkrótce nowoczesna linia produkcyjna, zamontowana jeszcze za czasów kiedy firmie prezesował Zenon Orłowski, zostanie wywieziona z kraju, a cały zakład zlikwidowany.

Przetarg odbywał się późnym popołudniem na placu przed budynkiem biura. Przebiegał on bez zbytecznego szumu, bez dziennikarzy – można by rzec że nawet po cichu, tak jak milczy się po poniesionej porażce. Licytator stał przed trzema grupami obcokrajowców i na bieżąco podawał aktualną cenę, zachęcając jednocześnie do jej podbicia. Umiarkowany apetyt na nabycie zakładu odzwierciedlał się w jego niskiej cenie – powyżej pułapu miliona złotych licytacja prawie zatrzymała się w miejscu – oferenci tylko nieznacznie podwyższali cenę. Już po dziesięciu minutach przetarg miał się już ku końcowi Zapowiadało się na to, że BykRol stanie się własnością firmy tureckiej, która najwyraźniej nastawiła się na przelicytowanie Rosjan.

W oddali, na tle zachodzącego słońca pojawiła się postać drobnego, skulonego człowieka oraz idącego obok niego wielkiego byka. Człowiek i zwierze szli powoli, nieśpieszne drogą biegnącą obok ogrodzonego drutem zakładu. Mężczyzna prowadził byka za postronek. Na plecach dźwigał wór z sianem. Zwierz niespokojnie rozglądał się na boki i wierzgał głową, ale nie wyrywał się. Idąc

wolno drogą doszli przed samą bramę. Słysząc było tutaj odgłosy odbywającej się na placu licytacji:

- Milion złotych, sto tysięcy! – wołał Rosjanin.
- Milion złotych sto tysięcy! – powtórzył po nim licytator. - Kto da więcej za BykRol?
- Milion sto pięćdziesiąt! – podbił cenę Turek.
- BykRol za milion sto pięćdziesiąt po raz pierwszy! Milion sto pięćdziesiąt po raz drugi!
- Milion dwieście! – przelicytował przedstawiciel drugiej rosyjskiej firmy.
- Milion dwieście po raz pierwszy. Milion dwieście po raz drugi! – licytator wziął do ręki młotek – I milion dwieście po raz....
- Dwa miliony! – rozległ się słaby głos starca, który wszedł z bykiem przez bramę na teren zakładu i stanął przy grupie licytujących.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Tak rezolutnego dziadka dawno nie widzieli.

- A skądże ty dziadu weźmiesz dwa miliony złotych? – zaśmiał się licytator.

Starzec bez słowa zdjął z pleców worek, zrzucił z niego wierzchnią warstwę siana i przewróciwszy go do góry nogami wysypał na ziemię stos tysiąc dolarowych banknotów. Wszyscy patrzyli na nie oniemieli ze zdumienia. Licytator po chwili jakby się przebudził i kontynuował dalej przetarg.

- Dwa miliony złotych za BykRol po raz pierwszy, dwa miliony złotych po raz drugi i dwa miliony złotych po raz trzeci! – uderzył młotkiem kończąc licytację. – BykRol został sprzedany, temu oto panu – wskazał ręką na starca..- Przepraszam, jak pana godność?
- Michał Kazimierski – odezwał się stary człowiek. – Michał Kazimierski – powtórzył.
- Szanowni Państwo zakłady BykRol w Wodziejowicach właśnie stały się własnością pana Michała Kazimierskiego!

Rozległy się krótkie oklaski. Ktoś podszedł do starca i składał mu gratulacje. Zakładowy kasjer zbierał leżące na kupie pieniądze, liczył je i wkładał do przenośnego sejfu. W pewnym momencie popatrzył do góry i zapytał:

- Gdzie pan tak się dorobił?
- W Ameryce – oparł Kazimierski.

\* \* \*

Po odkupieniu Parnkoświdrygatora ze złomowiska Kazimierski skontaktował się ze swoim bratem. Nikt z rodziny nie wiedział, że od kilku miesięcy koczuje na dworcu i wiecie życie żebraka. Myśleli, że zabrał swoje rzeczy i wrócił do Polski. Rodzina zdumiała się zatem widząc go w takiej nędzy.

Wspominał coś o rewelacyjnej maszynie, która dotarła na tutejsze złomowisko aż z Polski. Tego samego dnia pojechali samochodem, do sąsiedniego miasta i wydobywszy ją z ukrycia, przywieźli do domu. Kazimierski ożywił się, apatia w którą zapadł, przysnęła jak bańka mydlana, a on nabrał wigoru i wesół ją szczygieł, czyścił maszynę przygotowując ją do przeprowadzenia próby. Obawiał, że mechanizm, mógł zostać uszkodzony w czasie transportu i składowania na złomie, ale okazało się że działał prawidłowo. Chociaż nie do końca bo Parnkoświdrygator, wprawdzie produkował mięsne grudki, ale nie tak dobre jak te, które przedtem udało im się uzyskać w jego starej chałupie w Wodziejowicach. Kazimierski uparł się i dotąd zmieniał proporcje składników, że po późną nocą udało się uzyskać znakomity efekt: produkowane przez Parnkoświdrygator grudki były tak samo dobre jak te, których smak znał wcześniej z Polski.

Zgłosił kilku firmom, że posiada maszynę, która służy do produkcji specyfiku nazwanego Szynkadela. Wywołało to sporą sensację gdyż w świetle ostatnich wydarzeń: zniszczenia Świdrygatora i otrucia człowieka, który go skonstruował panowało przekonanie, że Szynkadela nigdy więcej nie pojawi się na stołach konsumentów. Amerykańskie firmy chciały natychmiast zakupić Parnkoświdrygator od Kazimierskiego. Licytowały się między sobą ceną. Ostatecznie zakupiła go firma General Food Corporation – ta sama, która podpisała niezrealizowany kontrakt z BykRolem. Kazimierski z dnia na dzień stał się bogatym człowiekiem. Na założone w banku konto wpłynęło dwa miliony dolarów. Nie zastanawiał się: kupił bilet lotniczy i wrócił do Polski, do rodzinnych Wodziejowic. Przyjechawszy do swojej wioski nabył dom murowany, a również odkupił po dobrej cenie byka, którego przed wyjazdem do Ameryki sprzedał sąsiadowi. Był jednak prostym człowiekiem, przyzwyczajonym do prostego życia. Prawdę powiedziawszy nie

wiedział co tu teraz począc z taką fura pieniędzy... Kupienie BykRolu, to był dobry pomysł, na to aby czymś się zająć w przyszłości.

Pewnego wieczora kiedy siedział w domu usłyszał pukanie do drzwi:

- Kto tam? – zapytał stojąc przy progu.
- Panie Kazimierski, otwórzcie, to ja Antek Świder! – usłyszał wypowiedzianą głośnym szeptem odpowiedź.
- Wszelki duch Pana Boga chwali! – zawołał stary i ze strachu cofnął się kilka kroków do tyłu.
- Jaki tam duch? – zza drzwi dolatywał głos Świdra. – Antek jestem, żywy i cały. Z krwi i kości.
- Jakże to? To mówili żeś umarł otruty! – Kazimierski zbliżył się do drzwi i otworzył je. W progu stała chuda postać w długim płaszczu, z głową skrytą za kapturem. - Wchodź! – powiedział stary.

Świder odchylił kaptur i wszedł do domu. Rozejrzał się dookoła, wytarł z zakłopotaniem buty w wycieraczkę.

- Aleście się panie Kazimierski urządzili – powiedział z uznaniem. – To nie to co stara chałupa.
- Wolałbym starą, ale się spaliła. Chodź do izby.
- Wypijemy panie Kazimierski, powspominamy dawne dobre czasy – powiedział Antek pokazując włożone za pas spodni dwie butelki wina.
- Ludziska mówią, że cię otruli, a ty żyjesz. Jak to możliwe? – mówił stary siadając na krześle za stołem. – Bujdy opowiadają, czy co?
- Ano faktycznie, że trutkę jakaś połknąłem, ale wie pan różne kwasy w parku się piło. Denaturat zresztą też. Taka trutka mnie nie zabiła chociaż już jedną nogą na drugim świecie byłem – powiedział Świder otwierając zębami butelkę z winem. Wyplótł korek na podłogę i zawołał: - To na zdrowie! – wypił z gwinta.
- Na zdrowie! – odpowiedział Kazimierski. – A czemu w kapturze chodzisz?
- Ukrywam się – mówił Antek ostrożnie rozglądając się dookoła. – Jak się dowiedzą, że żyję do mnie wsadzą do więzienia za wysadzenie mostu.

Stary usiadł za stołem.

- Oj Antek, Antek, ty zawsze musisz się w jakąś kabale wpakować – stwierdził z ciężkim westchnieniem. – Polewaj!

Jak Antek polał wina szklanki, tak już wpadli w trzydniowy cug. Po tym czasie rozstali się; Kazimierski został w domu, a Antek skrywając twarz pod kapturem poszedł nie wiadomo dokąd. Starego łeb jeszcze dwa dni bolał zanim mu po tej popijoszce kac całkowicie przeszedł.

\* \* \*

Tydzień po kupieniu BykRolu przez Kazimierskiego, do masarni w Wodziejowicach przyjechała ekipa telewizyjna, by przeprowadzić wywiad z nowym właścicielem zakładu. Odbywał się on w gabinecie w którym do tej pory prezesowali kolejno Zenon Orłowski i Aleksander Bartkowski.

Stary Kazimierski, siedział za szerokim biurkiem i udzielał wywiadu dziennikarce. W pewnym momencie zwróciła się ona do niego z pytaniem:

- Sprzedał pan Amerykanom jedyną na świecie maszynę wytwarzającą Szynekadele. Czy, to nie był błąd? Może lepiej wyszedłby pan na produkowaniu i sprzedaży Szynekadeli? Przecież w tak krótkim czasie zrobiła ona fenomenalną furorę...

Stary przejechał ręką po nieogolonym policzku.

- Oni w tej Ameryce mogą robić Szynekadeli ile chcą – mówił mocnym głosem. - Ale my ich przebijemy zwykłą kiełbasą! - złożył ręce na brzuchu i dodał: - Bo od dawien dawna wiadomo, że w Polsce robi się najlepszą na świecie kiełbasę!

*koniec*